

P. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/271

1970



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

WARSZAWSKI PROCES

**CZ. MIŁOSZ : O HISTORII POLSKIEJ LITERATURY,
WOLNOMYŚLICIELACH I MASONACH**

T. TERLECKI :

GRYDZEWSKI

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	<i>O historii polskiej literatury, wolnomyslicielach i masonach</i>	3
Hanna Kostek:	<i>Glossy do książki Grudzińskiego</i>	26
	WIERSZE	
Cyprian Norwid:	<i>Powiedz im</i>	40
	OBSERWATORIUM	
—	<i>Proces</i>	41
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Juliusz Mieroszewski:	<i>Może zdarzyć się i tak</i>	47
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	54
	SĄSIEDZI	
A. Sacharow:	<i>List do Leonida Breżniewa</i>	65
Ivan Bystrina:	<i>Czas płaczu proroków i zasada nadziei</i>	66
—	<i>List Wiktora Hugo do Herzena</i>	70
—	<i>Końkowski w „samizdacie”</i>	71
—	<i>Comes</i>	71
	◆	
—	<i>Subskrypcja na „Dziela” Gombrowicza</i>	72
	K R A J	
Antoni Gutowski:	<i>Statystycy i statysci</i>	73
Michał Zieliński:	<i>Po inwazji</i>	85
—	<i>Organizowanie dywersji ideologicznej</i> ..	94
—	<i>W Kraju po procesie</i>	95
—	<i>Czarna lista</i>	95
	SPRAWY I TROSKI	
Jacek Lech Mostwin:	<i>Dziennik i listy z podróży do Polski</i> ..	96
Edward Puacz:	<i>Śmierć górnika</i>	107
—	<i>Możliwości emigracji do Afryki Płd.</i> ..	111
—	<i>Emigracja Polska w Australii</i>	113
	STRATY KULTURY POLSKIEJ	
Tymon Terlecki:	<i>Grydzewski</i>	115
	KRONIKA KULTURALNA	
Adam Sutkowski:	<i>Historyczna panorama muzyki Europy</i>	
—	<i>Wschodniej</i>	129
—	<i>Komunikaty</i>	134
	a) <i>Stypendia „Polonia Technica”</i>	
	b) <i>Działalność Biblioteki Polskiej w Londynie</i>	
	c) <i>Two Przyjaciół Paryskiej „Kultury” w Toronto</i>	
	d) <i>Two Przyjaciół Paryskiej „Kultury” w Melbourne</i>	
	e) <i>Apel do „Wetziokończyków”</i>	
	K S I A Ź K I	
Wit Tarnawski:	<i>Conrad ma własną bazę</i>	138
Stanisław Wygodzki:	<i>„Mała Encyklopedia Powszechna”</i>	142
Maria Danilewiczowa:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	147
—	<i>Nadstawane nowości wydawnicze</i>	151
	◆	
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	152
	◆	
J. Klepaczko, J. Kowalewski, J. Maciejowski, J. Stosius, K.C. PPS, Londyn:	<i>Listy do Redakcji</i>	156
—	<i>Wpłaty na Fundusz „Kultury”</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień-Avril

1970

INSTITUT



LITERACKI

Z ostatniej chwili

Le Monde z dn. 22/23 marca 1970 podaje:

INTELEKTUALIŚCI I STUDENCI W LICZBIE OK. 30-tu ZOSTALI ZWOLNIENI I NIE BĘDĄ SĄDZENI

Dowiadujemy się z wiarygodnego źródła, że intelektualiści i studenci, którzy od prawie dziewięciu miesięcy znajdowali się w więzieniach Warszawy i którzy mieli być sądzeni, wszyscy zostali uwolnieni w połowie marca. Zarówno w stosunku do nich, jak i w stosunku do tych którzy byli zwolnieni z więzienia tymczasowo — postępowanie sądowe zostało zamknięte. Wśród zwolnionych intelektualistów znajdują się: Włodek, wnuk znanego pisarza Jarosława Iwaszkiewicza; Bukowski, asystent Uniwersytetu i Bierzyński, inżynier-chemik.

Seria procesów, w czasie których miano sądzić około trzydziestu młodych ludzi, prawdopodobnie nie będzie miała miejsca. Bez wątpienia jasne jest, że więcej niż mizerny dla władz polskich rezultat kampanii prowadzonej wokół procesu pięciu, który zakończył się 25 lutego rb., odegrał wielką rolę w tej decyzji czynników politycznych w tym kraju (*Le Monde*, z 26 lutego rb.).

Są jeszcze i inne oznaki uspokojenia. Po raz pierwszy od dwóch lat tygodnik *Kultura* (którego nie trzeba mylić z miesięcznikiem o tej samej nazwie, wydawanym przez emigrantów w Paryżu) opublikował w swoim ostatnim numerze tekst wielkiego pisarza, Jerzego Andrzejewskiego, który w 1968 roku zajął potępiające stanowisko wobec inwazji Czechosłowacji i od tego czasu znajdował się na indeksie. Tak samo Z. Mycielski, znany muzykolog, który się wówczas zsolidaryzował ze swoimi kolegami w Czechosłowacji w liście skierowanym do *Monde'u*, i został usunięty z redakcji pisma *Ruch Muzyczny*, otrzymał paszport na wyjazd do Monako na kongres międzynarodowy. Wreszcie tygodnik *Polityka* zamieścił w swoim ostatnim numerze długi wywiad z pisarką Agnieszką Osiecką, której nazwisko było cytowane w czasie ostatniego procesu intelektualistów, ale która nigdy nie opuszczała Polski, jak to dawał do zrozumienia *Le Monde* w swoim numerze z 20 lutego, dając wiary depezy agencyjnej.

B. MARGUERITTE

Wpłaty na Fundusz „Kultury” zamieszczone zostały wyjątkowo na str. 160. (Red.)



P. 9786 Chr. Arch.

Imprimé en France.

O historii polskiej literatury, wolnomyślicielach i masonach

Jak wskazuje tytuł, poruszone w tym co nastąpi będą bardzo różnorodne tematy, dlatego wypada od razu na początku powiedzieć parę słów o układzie treści. Postępować będę od mniejszego do większego tj. od uwag o jednej książce do myśli jakie nasuwają się przy obcowaniu ze stuleciami polskiego piśmiennictwa. Recenzje z mojego angielskiego podręcznika* wymagają pewnych sprostowań i wyjaśnień. Być może okaże się też, że w jego ocenie jestem surowszy niż moi krytycy, choć co innego mnie w nim martwi.

Niemożliwość

Wystarczy zastanowić się chwilę, żeby dojść do wniosku, że napisanie historii literatury polskiej dla cudzoziemców jest przedsięwzięciem niemożliwym. Najbardziej oczywistą przeszkodę stanowi niewiara w uprawnienia historyków. Kiedy natykamy się na monografię zatytułowaną, dajmy na to „Historia miasta Compiègne” czy „Historia Olkusza”, skłonni jesteśmy odnieść się do niej z pewnym zaufaniem. Już jednak „Historia Armenii” czy „Historia Meksyku” wzbudza mnóstwo podejrzeń. Wiemy przecież, że obraz jaki otrzymujemy zależy już nawet nie od interpretacji faktów, ale od samego ich doboru, i że im bogatszy materiał włączony zostaje w niedużą ilość stron, tym większa selektywność. Wprawdzie wybitny historyk francuski Henri Pirenne napisał „Historię Europy”. Może ona jednak przyczynić wątpliwości, skoro w drugim jej tomie, obejmującym okres od

* Czesław Miłosz: *The History of Polish Literature*. The Macmillan Company, Collier-Macmillan, London, 1969, stron XI + 570.

trzynastego wieku do Reformacji włącznie, Czechy, Węgry, Moskwa, Polska etc. czyli cały europejski „wschód”, są załatwione na dwudziestu stronicach.

Gorzej jest jeszcze z historią literatury. Radziła ona sobie jako tako dopóki polegała na biografiach pisarzy i charakterystyce ich utworów. Pytania o metodę — od „determinant” gospodarczych i społecznych po samodzielność rozwoju stylistycznych struktur — doprowadziły ją do stanu neurastenicznej stonogi, która zastanawia się, którą nogę postawić najpierw, nie może więc ruszyć z miejsca. Najosobliwszym chyba przykładem bohaterskiej decyzji żeby zachować metodologiczną czystość jest historia literatury ukraińskiej (po ukraińsku) profesora Dymitra Czyżewskiego. Dane geograficzne, historyczne, gospodarcze, społeczne są starannie pominięte, jest to historia stylów ale umieszczona w abstrakcyjnej przestrzeni, przypominającej, przez swój brak ziemskich odniesień, niebo idei.

No, Czyżewski pisał dla Ukraińców. Cóż jednak ma począć ktoś, kto musi opowiadać o swojej literaturze zakładając, że jego czytelnicy nie wiedzą nic — ani o geografii, ani o historii ani o żadnej rzeczy przynależnej do danego obszaru? Czy nie wzgardzi metodologiczną czystością w imię celów grubo-praktycznych i do-
rażnych? Nawet jednak jeżeli wzgardzi, znajdzie się przed stromą jak piec górą.

Książek po angielsku o Rosji jest mnóstwo, a wszyscy wybitniejsi pisarze rosyjscy są czytani w dobrych albo niezłych przekładach. Mimo to trudności właściwe pisarstwu historycznemu sprawiły, że zwięzły podręcznik historii literatury rosyjskiej jest tylko jeden. Napisał go krytyk literacki, znawca poezji rosyjskiej, D. Światopołk-Mirski, który wykładał na Uniwersytecie Londyńskim w latach dwudziestych. Następnie nawrócił się na eurazjanizm, potem na komunizm, wrócił do Moskwy i w kilka lat później umarł w łagrze na Kołymie. Książka jego jest w Ameryce stale wznawiana jako *paperback*.

Jednak Rosja ma w wyobraźni czytelników zachodnich pewien kształt, może dziwaczny, ale kształt. Obszar pomiędzy Rosją i Niemcami jest tylko irytujący przez swoją nieokreśloność i zbyt już wielką zawziętość plemiennych obrzędów. Ta zirytowana niewiedza nie jest zresztą niczym nowym. Pomysł rozbiorów Polski wyląkł się niegdyś w głowach *les philosophes*, których pojętnymi uczniami okazali się monarchowie. To co zbyt szczególne, chaotyczne, wyłamujące się z norm i reguł, było bowiem wstrętne dla geometrycznego umysłu mistrzów Oświecenia. Podobnie można się domyślać, że oddając pod zarząd Rosji połowę Europy w Jałcie, zachodni mężowie stanu kierowali się nie tylko chęcią obłaskawienia niedźwiedzia, także chęcią pozbycia się terytoriów za-

mieszkałych przez ludy, z których pretensji, żalów i wzajemnych nienawiści nikt nic nie rozumie.

Największa jednak przeszkoda polega na tym, że dziedziczy się przedsiębiorstwo o zupełnie zabagnionych interesach. Zabagniali je gorliwie i tłumacze i polscy szkolarze. Samouk Jeremiał Curtin, tłumacz Sienkiewicza i Prusa, o nieco szczególnych poglądach na język zarówno polski jak angielski, może godnie reprezentować tych pierwszych. Co do tych drugich, palma pierwszeństwa należy się zapewne książce Juliana Krzyżanowskiego „Polish Romanticism”. Jest to zbiór wszystkich banałów mających utwierdzać po wieczne czasy obraz „la Pologne martyre”. Książka ta wzbudza w czytelnikach uczucia krwiożercze, jak świadczą jej egzemplarze w bibliotece w Berkeley, z napisami po angielsku na marginesach: „Dobrze im tak!”, „Bili ich za mało!”, „Karły udające olbrzymów!” itd. Gdyż założenie polskich profesorów: że wystarczy zawiadomić świat o szlachetności polskiej duszy żeby wyzwolić utajoną miłość, jest błędne. Ród ludzki nie ceni porażki. Wyzwała ona raczej popędy sadystyczne.

O wszystkim tym trzeba pamiętać w sytuacji zmieniającej się nieco w ciągu ostatnich paru dekad. Do zmiany przyczyniają się przekłady z autorów współczesnych, a także te, nieliczne zresztą, wydziały studiów słowiańskich na uniwersytetach, które nie ograniczają się do rusycystyki. Wobec rozwoju studiów porównawczych zaczyna też świtać myśl, że może i w innych literaturach słowiańskich, poza rosyjską, coś tam jest. Ciekawych odsyłało się do „A Survey of Polish Literature and Culture” Manfreda Kridla. Uroczy ten człowiek, łagodny ironista, inicjator badań formalistycznych w Polsce, napisał swoje dzieło podczas II wojny światowej po polsku i dla polskich czytelników-emigrantów, co powinno wyjaśnić ton raczej dydaktyczny i, jak na ironistę, nieco zbyt poczciwie-konwencjonalny charakter jego przeglądu. Być może Kridl jest dowodem, że profesor, zanim nie odzwyczai się od polskiej publiczności, nie potrafi do cudzoziemców przemówić. Mity rodzime, zakorzenione w języku i znajdujące uczuciowy oddźwięk, są dla nich martwe. Stąd zapewne ich skargi, że Kridl jest niezwykle nudny. A że każdy podręcznik musi być nudny, nie zostało jeszcze udowodnione.

Pomysł współzawodniczenia z Kridlem (nigdy by się tego nie spodziewał wtedy, kiedy na majówkach studenckich jeździliśmy z nim łódką po Trockich jeziorach) był całkiem zwariowany. Niemniej jeżeli ktoś chce wykonać możliwie najlepiej możliwie najgorszą z robót, ponieważ nikt inny tego się nie podejmuje, ma jako podjętą swój zmysł hazardu. Jest to ćwiczenie w rozrzutności i beztrosce, skoro sknerstwo i troska doradzają nie kłaść poetyckiego powołania żadną użytkową krzątanią.

Niemożliwe stało się możliwym i książka została wydana. Jej wady i zalety mogą być ocenione tylko porównawczo, np. w zestawieniu z Mirskim, który uchodzi za klasyka, i z Kridlem. Świadomie użyta forma „staroświeckich” podręczników (wypracowali ją w XIX wieku francuscy historycy literatury) dostarczyła mi, nie ukrywam, mnóstwo przewrotnych przyjemności. Dlaczego: *The History* a nie: *A History*? Tak chciał wydawca. Zresztą kiedy książka szła do druku, nakład Kridla był wyczerpany i nie zanosilo się na nowe wydanie.

Czym to jest?

Spróbujmy sprostować kilka opinii.

Ze jest to „buńczuczny zajazd tratujący spróchniałe opłotki” (Maria Danilewiczowa). Otóż ani buńczuczny, ani zajazd. Porównanie ze Stanisławem Mackiewiczem jest, zapewne, zaszczytne, bo rozmach miał. Jednak styl publicystyki szlacheckiej, której był wybitnym przedstawicielem, nie odpowiada ani naturze moich uzdolnień ani upodobań. Jest to styl „świetny”, „pyszny” ale szabla ma nieduże zastosowanie w gabinecie jurysty, nie tylko w warsztacie zegarmistrza. Przykro, ale moim literackim zatrudnieniem zdaje się patronować raczej Rejent Milczek niż Cześniak Raptusiewicz. Owszem, książka była dyktowana, nie pisana, co usuwa wielopiętrowe zdania poboczne i może przyczynić się do żywości języka. Ale probierzem była dla mnie zwięzłość, nie rozmach. Natomiast traktowanie opłotków nie należy do uprawnień tego literackiego gatunku jakim jest podręcznik. Przeciwnie, opłotki stanowią część kultury z jaką ma zapoznać się czytelnik i o nich musi się dowiedzieć, zanim zacznie bawić się „rewizjami”. Co wolno zrobić, to pokazywać te opłotki w sposób możliwie rozsądny. Jeżeli niektóre stratowałem, to niemal wbrew mojej woli.

Ze ujęcie literatury współczesnej jest „kontrowersyjne i subiektywne” (Bogdan Czaykowski) i że uderza „szerokie stosowanie techniki przemilczeń” (Danilewiczowa). Sądy te będą podchwytone z rozkoszą przez autorów pominiętych, których liczba wynosi około tysiąca. Rozwaga nakazywałaby ograniczyć się do okresów zamkniętych czyli zakończyć rokiem 1939. Jak wskazuje przykład Kridla, który nie zrezygnował ze swojej współczesności tj. dwudziestolecia 1918-1939, sięgając nawet po lata wojny, hierarchie ustalane w nurcie stającego się czasu będą zawsze prowizoryczne. Literatury współczesnej nie dawało się jednak pominąć, z tej choćby przyczyny, że jeżeli obcy czytelnik słyszał coś o polskiej literaturze, to tylko współczesnej i że w swoich zainte-

resowaniach najwyżej może wracać ku przeszłości, nie odwrotnie. Ale tylko książka telefoniczna, umieszczona zamiast rozdziału 1939-1966 zadowolniłaby i autorów i krytyków: wszyscy by się tam znaleźli, nie byłoby większych i mniejszych.

Gatunek podręcznika ma swoje prawa i obowiązują one tak jak w szachach: nie można posuwać laufra ruchami konia. Autor jest tylko człowiekiem czyli ma skłonność wprowadzać „krewnych i znajomych królika” a pomijać wrogów. Przeciwnie to jest jednak regułą gry i musi umieć się powściągać. W tym sensie książka jest, niestety, zbyt już ascetyczna. Zaczynając od ubiegłego stulecia: Sienkiewicza nie lubię, potraktowany został jednak *fair*. Zbliżając się ku naszej epoce: nie powiedziałem (co myślę), że styl „Chłopów” Reymonta jest horrorem, wyraziłem to dość oględnie, ani że „Ozimina” Berenta byłaby wielką powieścią gdyby ją ktoś na nowo napisał zwyczajną polszczyzną. Są te okropne babiszony, jak Zofia Nałkowska, *précieuse*, której powieści mają to do siebie, że mdli po przeczytaniu jednej stronicy, jednak szacunek dla „opłotków” zmusił mnie do udzielenia jej miejsca. Albo Maria Kuncewicz, powieściopisarka średnia, w dodatku drażni mnie nadobnisią całe życie udająca bobasa („Cio to są pieńiądze?”), ale w opłotkach przed wojną coś znaczyła, więc jest. Leon Kruczkowski, zacny, choć raczej muł niż pisarz, trudno jednak było „Kordiana i Chama” tudzież jego sztuki całkiem pominąć. Nikt nie posądzi mnie o miłość do Przybosa, niemniej ma on miejsce dość poczesne. I tak dalej. Na odwrót, niektórzy poeci i prozaicy których lubię, nie są z pewnych względów w ogóle wspomniani.

Z jakich względów? Bynajmniej nie „technika przemilczeń” zakładająca podstępne zamiary. Postaram się dostarczyć klucza. Jeżeli jeszcze w dziewiętnastym wieku publicystyka, krytyka literacka, filozofia występowały łącznie, dzielenie się na dyscypliny i obfitość słowa pisanego zmuszają do wyboru. Nie ma np. Stanisława Mackiewicza (publicystyka), Tadeusza Kotarbińskiego (filozofia), Pawła Jasienicy (historia). Eseiści (Brzozowski, Boy, Wyka, Kott, Kołakowski, Hostowiec) są wyjątkiem potwierdzającym regułę. Drugim kluczem jest kanon: hierarchia prowizoryczna, i bez mojej winy, ustalona. Trzecim wreszcie i najważniejszym kluczem są wymagania formy. Skoro czytelnik nie wie nic o przygodach danej zbiorowości i zaprzatających ją problemach, utwory literackie, nawet słabe, mogą być środkiem żeby dać mu pojęcie o orientacjach czy kierunkach myśli. Nie powinno odbywać się to kosztem autorów rzeczywiście utalentowanych. Myliłby się ktoś jednak, przypuszczając, że forma trzyma za rękę tylko poetę albo nowelistę, natomiast autor „luźnej prozy” ma zupełną swobodę i nic się nie zmieni jeżeli doklei tu pięć, tam dziesięć stronic.

Jeżeli mój tom jest „fantastycznie czytelny” (Czaykowski), to właśnie dlatego, że odbywa się w nim taniec akrobaty na linie. Wielu nazwisk nie ma, bo, najprościej w świecie, nie udało mi się ich z niczym zrymować. Oto tajemnica „techniki przemilczeń”.

Ze lekceważę artyzm i nie przeprowadzam analizy cytowanych wierszy (Czaykowski). Jestem pełen świętego podziwu dla wydawcy, że zgodził się dać w dwóch wersjach, angielskiej i polskiej, wiersze które razem złożyłyby się na sporą antologię. Można sobie wyobrazić jaką męką dla drukarzy jest składanie w języku, którego nie znają. Objaśniać artystyczne sekrety po linijce? Historia literatury to nie jest *explication des textes*. Był wprawdzie człowiek, który wynalazł armatę-grzebień (i strzela i można się tym cesać) ale tylko w anegdocie. Jednak zarzut, że nie mówię np. o artyzmie Norwida jest niesłuszny. I skonstrastowanie jego poetyki z poetyką jego współczesnych i przekazanie jego poglądów na polską wersyfikację służy przecież temu celowi.

„Gdyby nie te mapy na wklejce, gdyby nie ten orzeł bez korony!” (Danilewiczowa). Wydawca przysłał mi papierową okładkę (*dust-jacket*) — grzeczność, bo autor według kontraktu nie ma wpływu na oprawę graficzną książki. Na okładce był orzeł bez korony. Mój list — że są dwa orły, jeden z koroną, drugi bez, i że żadnego sobie nie życzę, wprawił wydawcę w najwyższe zdumienie. O niczym podobnym nigdy nie słyszał. Mimo to kilkaset dolarów wysupłał i zamiast orła wstawił renesansowy rysunek. Wklejki natomiast zobaczyłem dopiero dostawszy wydrukowany egzemplarz. I jakąż to mapę miał umieścić, skoro, jak domyślałem się chciał podkreślić współczesność, a taka, nie inna, Polska figuruje w encyklopediach i atlasach? I czy ezoteryczna wiedza o dwóch orłach nie wkracza w zakres spraw smętnie-komicznych?

Zresztą nie jeden raz wydawcy płatają takie psikusy. Właśnie dostałem od Penguina wydanie w *paperback* mojej antologii „Post-War Polish Poetry”. Z białym orłem na czerwonej tarczy (jakby antologia wierszy była okrętem czy urzędem wojewódzkim). Orzeł jest bez korony ale za to, zamiast na zachód, patrzy drapieźnie na wschód. Czyli jednego wydawcom nie można odmówić: błogiej obojętności.

Trzy epoki

Teraz pora już przejść do poważniejszych zmartwień, do notatek ołówkiem, które mogłyby się pojawić na marginesach historii literatury. Obcuje z wieloma stuleciami jakiejś ludzkiej wspólnoty, jest się niemal zmuszonym szukać nici przewodnich, powtarzalności w jej losach, i nic dziwnego, że tyłu ludzi zastana-

wiało się nad przeznaczeniem narodów. Przypomnijmy fakt elementarny: polska literatura jest jedną z literatur słowiańskich, toteż i ten kto o niej pisze i ten kto o niej czyta, bez ustanku, nawet niekiedy bezwiednie, dokonuje porównań z Rosją. Tutaj dzieje upadku zderzają się z dziejami stałego wzrostu siły, i militarnej i umysłowej. Rzeczpospolita osiemnastego wieku była już rosyjskim protektoratem i rozbiory oznaczały raczej błąd rosyjskiej polityki, skoro carat musiał podzielić się z innymi monarchiami tym co już miał. Cudowne niemal odrodzenie się wigoru następuje w końcu stulecia, trwa kilka dekad i kulminuje w literaturze romantyzmu. Tylko czy romantyzm — cokolwiek sam zalecał, w cokolwiek sam wierzył — był wymierzony w przyszłość? Raczej nie. „Pan Tadeusz czyli ostatni zajazd na Litwie”: ostatni. A jest „Pan Tadeusz” najdoskonalszą destylacją i zamknięciem całej sielankowej poezji staropolskiej. Słowacki wyobraźnią przebywał w polskim Baroku. Czego początek w romantyzmie? Teatru Wyspiańskiego, tak, ale to przychodzi bardzo późno. W przyszłość natomiast był wymierzony Puszkina. Od niego zaczyna się wielka rosyjska proza, i dlatego, że sam był prozaikiem znakomitym i dlatego, że „Eugeniusz Oniegin” jest powieścią, z „problematicznym bohaterem”.

Skutki upadku państwa stopniowo wyraziły się w literaturze skurczeniem jej umysłowego formatu i powstała wyrwa, której nigdy nie udało się zapełnić. Bo to nie ma być pozbawionym wieku dziewiętnastego, wieku prozy i olbrzymich eksploracji w głąb duszy nowoczesnego człowieka. Kraszewski, Prus, Sienkiewicz, Orzeszkowa, Zeromski mają znaczenie tylko lokalne. Nie nastąpiło też to, co można by nazwać ustawieniem głosu. Przetrwiała kapryśno-chwiejna linia prozy, pomiędzy gawędą, gadulstwem i stylizacją, a pewnie nie przypadek to tylko, że „Trylogia” nawiązuje do Paska. Dylematy, nad którymi męczył się gdzie indziej cały wiek dziewiętnasty, zwały się nagle (wraz z odkrytym wtedy Norwidem i Słowackim mistycznej fazy) na pokolenie Młodej Polski i nie trudno zgadnąć, zwłaszcza pamiętając o głosie nieustawionym, skąd poronność geniuszów. Otóż w Młodej Polsce, nie gdzie indziej, jest rodowód całej nowoczesnej polskiej literatury, aż do dziś. Tak samo rozmyślając nad teraźniejszością i przyszłością literatury rosyjskiej, co raz lepiej spostrzega się, w miarę jak żółkną piramidy zadrukowanego papieru, że musi ona nawiązywać do okresu 1890-1917; czym innym był on zresztą niż w Polsce.

Spazmatyczność rozwoju. Po renesansowym rozkwicie, jeszcze wiek siedemnasty, ale tylko barokowy, brak tego drugiego, któremu właściwy był kult nauk, racjonalizm, klasycyzm, jeżeli pominąć zadatki — szkołę w Rakowie zamkniętą w 1638 r. czy szkołę

Komensky'ego w Lesznie. Brak niemal wieku osiemnastego. Po-tem zbitka oświeceniowo-romantyczna czyli gwałtowne odrabia-nie zaległości dwóch stuleci. Następnie literatura w służbie naro-dowego przetrwania — bo tym przecie są Kraszewski, Prus, Sienkiewicz, Orzeszkowa i tylu innych. I nowa zbitka, od Mo-derny do dzisiaj, jaka, o tym osobno.

Może ten podział kogoś zaskoczy, ale taka jest perspektywa kiedy ogląda się polską literaturę z zewnątrz. Nikt nie przekona cudzoziemców, że dziewiętnastowieczna polska powieść, w jakiej-kolwiek, pozytywistycznej czy skrycie-romantycznej, postaci ma znaczenie uniwersalne, podczas kiedy jest to tylko przejmujący rozdział z historii europejskich społeczeństw.

Stałe i zmienne

Wstydliva dolegliwość historyków jakiegokolwiek literatury na tym polega, że w każdym z nich antropolog kłóci się z obroń-cą wiecznych wartości estetycznych. Można spędzić tygodnie wy-kazując artyzm „Chanson de Roland”, faktem jest jednak, że nikt, jeżeli nie jest do tego zmuszony na ławie szkolnej, „Chan-son” nie będzie czytać. Utwór ten bowiem należy do formacji dawno obumarłej ale zasymilowanej przez następne, i w tym sen-sie niechęć młodych pokoleń do czytania przeróżnych starzyn jest usprawiedliwiona, bo czerpią niejako z powietrza to co zosta-ło już zasymilowane. Ale taki los, w różnych zresztą odmianach, spotyka większość wytworów kultury. Dzieła „do których zaw-sze się wraca” są nieliczne. Przy pewnej wprawie (albo cyniz-mie?) można dojść do tego, że i całą prawie bieżącą produkcję literacką ogląda się jedynie jako pouczający antropologiczny zapis.

„Badacze owadzych nogów” zdają się często zapominać, że literatura jest dla człowieka, nie człowiek dla literatury. To, czym żyją całe pokolenia, na przykład rytuał, przysłowie, hymn, kolęda, jest zapewne ważniejsze niż arcydzieła czy pół-arcydzieła. Wydarzeniem, w którym w dziejach polskiego piśmiennictwa nic nie może się porównać, było przyjęcie przez Polskę rzymskiego chrześcijaństwa. Uczono nas, że skoro Polska stała się częścią Zachodu, już to zapewniło jej wyższość, bo chrześcijaństwo wschodnie było „bizantyjskie”, skostniałe. Wcale to nie takie proste. Bizancjum, od którego Ruś kijowska wzięła religię, nie-skończenie górowało cywilizacyjnie i kulturalnie nad rzymskim Zachodem, ledwo wynurzającym się z barbarzyństwa. Przecho-wywały się tam, w greckim oryginale, skarby starożytnej filozofii i poezji, niepoliczona ilość teologicznych traktatów, rozwijało się pisarstwo historyczne i wspaniała poezja liturgiczna. Znaleźć się

w orbicie Bizancjum, to było co innego niż znaleźć się w orbicie ledwo co ochrzczonych germańskich rozbójników. Medievalista G. P. Fedotow, próbując wyjaśnić skąd nierównomierność i spaz-matyczność w intelektualnej historii Rosji, skąd *bezpoczwiennost'* czyli brak gruntu pod nogami u rosyjskiej inteligencji, tam, w Kijowie, znajduje odległe przyczyny*. Bo Ruś z Bizancjum wielo-wiekowej tradycji nie przejęła i dopiero wiele stuleci później, poczynając od osiemnastego wieku, rosyjska warstwa wykształ-cona rzuciła się nagle, z żarłocznością wygłodzonych prostaków, na całe grecko-rzymsko-zachodnioeuropejskie bogactwo, co wy-kopało przepaść pomiędzy nią i ludem. Dlaczego nie przejęła? Dlatego, że Ruś dostała Biblię w języku słowiańskim i liturgię w języku słowiańskim. Zabrakło tego przymusu, który wszędzie na Zachodzie narzucił naukę jednego powszechnego kościelnego języka, łaciny, a tym samym otworzył dostęp do wszelkich huma-niorów. Gdyby Kościół Wschodni nie wpadł tysiąc lat wcześniej na ten sam pomysł co dzisiaj Watykan tj. że obrzęd powinien odbywać się w językach miejscowych, greka byłaby we wschod-niej słowiańszczyźnie przez wieki mową szkół, kronik i dysput. Tak więc przytłoczenie elementu słowiańskiego przez łacinę, skąd chudość i sztywność polskiego średniowiecza, okazało się korzyst-ne, bo Polska nasyciła się stopniowo kulturą śródziemnomorską, i to nie tylko w swoich warstwach wyższych, przeciwnie, zasymi-lowane pojęcia, metafory, toposy, przedostawały się do ludu po-przez kościelny budynek. Ponieważ modne jest dzisiaj znowu wzruszanie się szlachetnym dzikusiem, trzeba odwołać się do do-świadczenia tych z nas, którym dane było przekonać się, że wzglę-dnych wartości cywilizacji nie odrzuca się bezkarnie. Łatwo jest odnieść się z ironią do sumiasto-wąsych staropolskich żarłoków, chłepcących swoją polewkę z piwa, ale renesansowy humanizm znalazł w Polsce grunt przygotowany, był niemalże płodem natu-ralnym, domowym, a to chyba o czymś świadczy. Tutaj bez żad-nej megalomanii wypada stwierdzić, że tylko społeczeństwo o moc-no zakorzenionych obyczajach *civilitas* mogło wydać literaturę tak ciepłą, tak pełną łagodnego humoru, tak finezyjną, nie tylko w paru wyjątkowych jej osiągnięciach, także w anonimowych pieś-niach, padwanach i kolędach.

Czy jednak stulecia łaciny nie tłumaczą wiele z cech polskie-go piśmiennictwa, aż do dziś? Obrzęd religijny odbywał się w ję-zyku dla większości niezrozumiałym, dla nielicznej mniejszości zrozumiałym ale jednak z codzienności wyodrębnionym, sakral-nym i być może nałóg przeplatania w prozie zdań polskich łaciń-skimi brał się nie tylko z szacunku dla Cycerona. Łacina była

* G. P. Fedotow: *Lico Rossii*. Paryż, YMCA Press, 1967.

językiem liturgii we wszystkich krajach katolickich i nie chodzi o nią samą, ale o spotkanie się w uchu jej rytmów z dość rozlazłymi rytmami słowiańskiej mowy. I magia języka i nasycenie pierwiastkami humanistycznymi (kordialny humor w jasełkach, przykościelnych widowiskach, kantyczkach) musiały prowadzić w Polsce do innego przeżywania chrześcijaństwa niż w Rosji, jakiego, któż to potrafi odgadnąć, niejasna intuicja podszeptuje, że we Wschodnim Kościele szło to przeżycie w głąb, wzdłuż jednego pionu, w Polsce płyciej, ale na całą powierzchnię. Żywoć św. Teodozjusza z XI wieku wprowadza motyw *kenosis*, ewangelicznej prawdy w dobrowolnie przyjętym uniżeniu, motyw, który będzie nawiedzać całą rosyjską literaturę, aż po Pasternaka i Sołżenicyna. Niejako odwrotną stronę medalu jest fanatyzm protopopa Awwakuma i jego podnoszący włosy na głowie pamiętnik. W Polsce taki pamiętnik po prostu nie mógłby powstać, rozplynąłby się w teatralności, w stylistycznych zawijasach, w komizmie gawędziarstwa.

Czy nie zastanawiające, że choć katolicyzm wydał obfitą literaturę dewocyjną, medytacja religijno-filozoficzna przypada tylko na czas kiedy w kraju współzawodniczyły ze sobą protestantyzm i Watykan? Ekumeniczny „Psałterz Dawidów” Kochanowskiego, „Treny”, mocno tknięty w młodości nauką Lutra Szarzyński, pisma polemistów, poezja ariańska. Trwało to krótko. Od wojen szwedzkich datuje się początek legendy o mędrkach, wolnomyślicielach, heretykach sprzedających ojczyznę nieprzyjacielowi, i o wierności ojczyźnie jako wierności wobec Matki Boskiej. Sienkiewicz utrwalił tę legendę w „Potopie” i użył sobie niezgorzej opisując ciężkie konanie kalwina Janusza Radziwiłła. Heretycy nosili pludry, kabaty cudzoziemskiego kroju, peruki, i nawet mieli modlić się po niemiecku. Późniejszy kult żeńskiej Polski, bogini, wykazuje chyba zrosty z kultem maryjnym. Jakby odpowiednik innego zrostu, w Rosji, gdzie Bogurodzica utożsamia się z Matką Ziemią — *Syraja Mat' Zjemia*, którą trzeba napoić łzami na sążeń głęboko a wtedy nie będzie już nieszczęścia, będzie radość (patrz prorocstwo Marii Timofiejewny w „Biesach” Dostojewskiego).

Agonia protestantyzmu i wojny szwedzkie przekazały prototyp pewnego rozłamu, powtarzającego się i później. Choć mnóstwo protestantów i katolików szło do Szwedów ze względów oportunistycznych, można byłoby ustalić rodzaj idealnego schematu: „intelektualiści” ówczesni stawiali na szwedzkiego protestanckiego króla, on to przedstawiał uniwersalność, nie katolicyzm, który był jak szczegół narodowego stroju. Spalenie przez wojska polskie biblioteki Komensky'ego w Lesznie, a więc zniszczenie jednego z głównych ośrodków myśli w Europie, ma tutaj sens symboliczny.

Katolicyzm uratował wtedy kraj od obcego panowania. I miał chronić po dalszych, ostatecznych, katastrofach, choć za wysoką cenę zakrzepnięcia w narodowy obrzęd i ukrywanego, w imię obrony przed obcą przemocą, rozłamu: agnostycyzmu inteligencji. Wydarzeniem symbolicznym naszego czasu był pogrzeb Marii Dąbrowskiej. Agnostyczka, życzyła sobie mieć pogrzeb kościelny, z szacunku dla wiary swojego narodu. Trumnę jej nieśli z katedry koledzy-literaci, agnostycy albo ateści.

Historia literatury, niezależnie od tego, co o tym mogą sądzić ideologowie i politycy, nie może obyć się bez stwierdzeń brutalnie prostych. Po tysiącu lat mieszkancie Polski (a tylko on, poszczególny człowiek, jest ważny) szukając tzw. pokarmu duchowego, natyka się na rumowisko pokruszonych złudzeń i albo ma katolicyzm, albo nie ma nic. Przy czym, jak się zdaje, sienkiewiczowski katolicyzm — nie statystycznie i socjologicznie, ale dla człowieka kiedy jest sam ze sobą — dobiega końca, skoro to, co było w nim zrostem z „polskością” zostaje przechwycone przez biurokratyczny aparat i użyte jako środek totalitarnej kontroli.

[Moja wersja historii różni się całkowicie od wersji katolicko-narodowej, jaką po II wojnie najbardziej konsekwentnie rozwijał Jędrzej Giertych. Według niego nieszczęście ściągnęli na kraj protestanci spiskując ze Szwecją i przygotowując, z nienawiści do katolicyzmu, szwedzki najazd. Wyróżnili się w tym zwłaszcza Arianie, którzy z kolei wnieśli niemały wkład w zachodnioeuropejski deizm i ateizm (tu wypada się zgodzić, bo wpływ druków rakowskich na Locke'a, nawet i na Spinozę, został stwierdzony). Wśród radykalnych protestantów najbardziej złowrogą figurą był Jan Amos Komensky; odpłacił się on za gościnę inicjując międzynarodowy spisek przeciw Polsce. Spadkobierczynią tych knozań stała się wkrótce masoneria, która poprzez swoje agentury (jak francuska Encyklopedia) starała się Polskę zohydzić i doprowadzić do jej zniknięcia z mapy. Tak samo w ciągu wieku dziewiętnastego i dwudziestego masoneria stale działała za kulisami polityki międzynarodowej na niekorzyść katolickiej Polski.

Jest to więc wersja mesjaniczna, „Przedmurza”: Polska zawsze padała ofiarą swojej rycerskiej wierności wobec katolicyzmu. Otóż nie bardzo trzyma się to całe rozumowanie. Jeżeli ktoś ubolewa nad skutkami Kontrreformacji w Polsce, nie znaczy to jeszcze, że musi opowiadać się po stronie protestantów i żałować, że nie oni zwyciężyli — bo właśnie współzawodnictwo pomiędzy wyznaniem było twórcze. To raz. Po wtóre, zasługi Polski dla Watykanu są skromne. Rozkładając się wewnętrznie, nie umiała obronić Unii i Kościoła Greko-Katolicki, bezwzględnie tępiony przez władze carskie po rozbiorach, przetrwał jedynie pod rządami Austrii.

Polska nie wydała też wybitnych teologów, mistyków czy filozofów katolickich. Jej ustrój społeczny miał z kolei niewesołe skutki w erze masowych wędrówek zarobkowych. Procent Amerykanów polskiego pochodzenia jest wyższy niż wykażą jakiegokolwiek statystyki, bo zmieniano sobie nazwiska i zacierano ślady. Jednak potęgę katolicyzmu w Ameryce zbudowali Irlandczycy i Niemcy. W szkołach katolickich polska grupa etniczna stoi z reguły na ostatnim miejscu pod względem postępów w nauce, co ma źródło w upośledzeniu kulturalnym dziadków i rodziców. Stąd też wstyd identyfikacji etnicznej i zmienianie nazwisk.

Wrogość oświeconego Zachodu do Polski nie daje się sprowadzić do sekretnych postanowień i spisków. Wystarczyły instytucje zupełnie niezrozumiałe — republikańskie, idące w parze z arogancją szlachty i wyjątkową nędzą chłopca, co razem wyglądało na parodię. *Les philosophes* byli sprzedajni i dosyć byłoby samego złota monarchów żeby podnieśli wrzask o prześladowanie dysydydentów w Polsce, choć obiektywnie niemal brakło po temu podstaw. Ale oni unieśli się gniewem, bo w Polsce natrafili na katolicyzm najłatwiejszy do ugodzenia, najbardziej w Europie obskurancki.

„Narodowy katolicyzm” (a ta wersja historii w nim się mieści) nie spełnia może dzisiaj funkcji obronnej, raczej obezwładnia: żyzna gleba dla snów paranoicznych, które każdy wielki rządca może hodować, zaszczeplać, przyszczygać dowoli.]

Rozpacz Berenta

Dość późno zrozumiałem czemu Berent w ponurych latach trzydziestych napisał „Nurt”, „Diogenesa w kontuszu” i „Zmierch wodzów”. Mizantrop, odludek, z przerażeniem i odrazą obserwujący przybór nacjonalistyczno-totalniackich bredzeń, nie miał żadnej nadziei, a jego rozpacz równała się chyba tylko rozpaczem innego odludka, Mariana Zdziechowskiego. Dla Berenta już spełniała się jakaś nowa epoka zbiorowej ślepoty. Żeby jednak, pomimo wszystko, coś z nadziei w sobie wykrzesać, zwracał się do tej chwili historycznej, kiedy, wbrew prawdopodobieństwu, energia nielicznych przezwyjęczyła sarmacki marazm, do początków polskiej inteligencji, złożonej z publicystów Oświecenia, reformato- rów szkolnictwa, oficerów kościuszkowskich i napoleońskich.

Była to inteligencja zorientowana laicko, niekiedy otwarcie jakobińska, czy tylko wolnomyślicielska i masonska. Masonem był wódz naczelny legionów, generał Henryk Dąbrowski, masonami byli szkolarze, a romantyzm miał się wykluczyć na obsadzonym przez masonów uniwersytecie wileńskim. Ogólnoeuropejska szczepion-

ka Wieku Rozumu okazywała się płodna, tym bardziej, że uniwersalne idee nie były tak znowu obce, spotykały się i łączyły z odgrzebywaną tradycją humanistyczną, erazmiańską, sprzed paru wieków. To tak jak ze stylem literackim, który odnawiał jasność i ład Kochanowskiego.

Co stało się w romantyzmie? Czy ktoś to naprawdę rozumie? Cokolwiek jest mocne w jego stylu pochodzi ze szkoły klasycznej, ale równocześnie pojawia się śniedź, która kładzie się mazią na zadrukowanych stronicach. Żeby zrozumieć, należałoby przeprowadzić badania syntaktyczne, bo mglistość składni towarzyszy rozpasaniu myśli. Owszem, romantyzm w ogóle jest określany jako ruch mistyczno-polityczny, a niedobre to sprzężenie. Ale w szalach lekceważącego materię ducha polski romantyzm przewyższył jakikolwiek inny. Niestety radości profesorów-kolekcjonerów nie są radościami zwyczajnych ludzi. Z ręką na sercu, kto może dzisiaj czytać liczne tomy płodów literackich Krasieńskiego (poza „Nieboską”), kto wierzy, że w samodzielnym boju ze światem pomogą mu Cieszkowski, Trentowski czy Libelt, i czy nie jest tak, że wzięwszy na jakieś wakacje dzieła zebrane Słowackiego, nieraz wahamy się pomiędzy podziwem i niechęcią? Skazy Norwida były może nieuniknione, zważywszy na olbrzymi opór jaki musiał stawiać — a nieraz przeciwko czemu się opierasz, tym się stajesz.

Po raz drugi, po Renesansie, inspiracja metafizyczna i religijna daje wielką poezję (Sonety krymskie, wiersze rzymskie, liryki lozańskie, „Zdania i uwagi”, liryka Słowackiego, Norwid). Czym innym jednak jest inspiracja mesjanistyczno-religijno-narodowa. Ta w ciągu całego niemal wieku dziewiętnastego rozgadnia linie poezji i traktaty filozofów narodowych, stopniowo zresztą spychanych na boczny tor ale przyswajanych przez polityczną prawicę.

Oświeceniowa genealogia polskiej inteligencji nie ulega chyba wątpliwości. Może „Meir Ezołowicz” Orzeszkowej nie jest tylko opowieścią o żydowskim miasteczku? Bo ta saga rodziny pokazuje trzech sprawiedliwych: jeden sprawiedliwy Ezołowicz za panowania Zygmunta Augusta, drugi stronnik Obozu Reformy u schyłku Rzeczypospolitej, trzeci Orzeszkowej współczesny. Tak więc „Meir” jest może także metaforą kolejnych wcieleń polskiego „intelektualisty” walczącego z przesądami otoczenia. Ale strach przed przesądami, przed zrostem religijno-prawicowym, zamykał polskiej inteligencji dostęp do niepośledniej, „głębinowej”, dziedzi- ny, nakładając liczne tabu. Byłbym wdzięczny, gdyby ktoś mi wskazał jedną przynajmniej powieść traktującą poważnie życie duchowe katolickiego ludu — inaczej w każdym razie niż w „Placówce” Prusa, gdzie chłopci modlą się do Ledy z łabędziem. Potężne musiały to być zakazy, jeżeli nikt nie wpadł na ten pomysł, i to wtedy, kiedy w Rosji ludowe chrześcijaństwo stało

w centrum uwagi Tołstoja, Dostojewskiego, Leskowa. Pierwszy książdz-chłop pojawia się dopiero w dwudziestym wieku, w powieści rosyjskimi wpływami tkniętego Brzozowskiego, „Sam wśród ludzi”.

Zakaz w dwudziestym wieku nie słabł, przeciwnie, jeszcze silniej się akcentował, w miarę jak polityczna prawica, monopolizująca katolicyzm, krzepła w zdobywczą partię. Żadnemu, dbałem o swój inteligencki prestiż, pisarzowi nie przyszłoby do głowy „zbliżyć się do katolicyzmu” bo miałyby to wydźwięk całkiem jednoznaczny, tak też interpretowano dewiację Brzozowskiego. Później, kiedy we Francji nastała moda na Maritain'a, Bernanosa i Mauriaca, zaczęło się niespokojne przebieranie nogami (więc we Francji wolno?) ale na tym się i skończyło.

Rozpacz Berenta, wtedy, w smutnych latach trzydziestych, była uzasadniona. Widział przegraną i zapewne koniec inteligencji wywodzącej się z Oświecenia, natomiast zwycięstwo maszkar zrodzonych z przedziwnych związków sarmatyzmu i mesjanicznego samodurstwa. I jakkolwiek można żałować, że ta formacja inteligencka, której przodkami byli publicyści kołłątajowskiej Kuźnicy, a ostatnimi spadkobiercami Boy, Słonimski, Dąbrowska, tak była przejęta służbą, że na sondaż w głąb zabrakło jej czasu, ona to przenosiła i ratowała wszystko co dało się uratować, ona była intelektualnym kośćcem kraju. A że do sondażu była zdolna, dowodem jest najwybitniejsza (zdaniem wielu, nie tylko cudzoziemców) polska powieść, „Rękopis znaleziony w Saragossie” wolnomysliciela Jana Potockiego. Ani w niej Polski, ani romantyzmu, ani analizy społeczeństwa w imię szlacheckiej tendencji. Za to ludzie, losy ludzi w tragi-komicznych przeplotach, pomiędzy siłami boskimi i diabelskimi. Koszt oderwania się może aż za duży, skoro powieść nawet nie w języku polskim, francuskim, została napisana. Ale całe pokolenie Potockiego jeszcze umiało równowagę pomiędzy ludzką komedią i polską tragedią jako tako utrzymać, coś z aury „Rękopisu” jest w wileńskim Towarzystwie Szubrawców. Romantyzm miał tę równowagę złamać, choć nie natychmiast, nie w „Balladach i Romansach”. I jednak sporo racji miał Jan Sniadecki kiedy nazywał go „szkołą zarazy”. Gdyż po romantycznej nawale przybyło inteligencji obowiązków, ciężarów, ograniczeń, cóż z tego, że nieuniknionych.

Nowoczesność

Odważmy się wreszcie, teraz kiedy „nowoczesność” liczy lat bez mała sto, osądzać ją inaczej niż to robili przeroźni Młodzianowie i Stomile olśnieni nowym. Ten niezwykle przewrót, w nas-

stępstwie którego umarło figuratywne malarstwo, język zaczął mówić sam za siebie, forma za swój przedmiot obrała formę, nie budzi już może nieskazanego żadnym zwątpieniem entuzjazmu. Nie bardzo wiadomo co ma z tego człowiek, ten który nie należy do żadnych artystycznych klanów, spędza dzień na zarobkowej pracy, zamyka się w sobie, bo tzw. rzeczywistość coraz bardziej przypomina dom wariatów, i stara się, na swój własny rachunek, coś pojąć z wiecznych, a dla niego niestety jednorazowych, tajemnic ludzkiego losu.

„My też! My też braliśmy udział!” „Już na długo przed surrealismami, w Polsce...” I tak dalej. Zapewne, u Przybyszewskiego w okolicach 1900 roku już znajdujemy teorię podświadomości i libido („chuć”). Fabrykacje na jakie zdobywa się *ego*, ludzkie oczy jako lustro zmuszające nas do przebrań, nawet władza stylu dyktującego treść, wszystko to jest w Irzykowskim, w jego (odkrywczej ale bardzo nudnej) „Pałubie”. Zapewne, ten niemalże kodeks jakim jest książka Martina Esslina „The Theatre of the Absurd”, w nowych wydaniach wymienia wśród protoplastów, obok Artaud, Apollinaire'a i surrealistów, także Witkacego i Gombrowicza. Nie „pierwszeństwo”, nie „udział” są jednak istotne, ale skąd to idzie, dokąd wiedzie. Ponieważ w „nowoczesności” jesteśmy zanurzeni, żądanie i prognoza nie dadzą się od oceny oddzielić.

Zapatrzenie, wtedy, około 1900 roku, w symbolizm francuski... Nie było nigdy żadnego symbolizmu jako szkoły. Byli poeci, którzy wzorem ich mistrza Stefana Mallarmé, powzięli decyzję całkowitego, wyniosłego, odwrócenia się tyłem do publiczności. Mallarmé dążył w swojej poezji do tego mniej więcej, do czego nieco później dążył w malarstwie Mondrian. Tyle że bardzo francuski był wywar jaki przygotowywał w swoim tyglu, wywar z Racine'a i jakże klasycznego Baudelaire'a. Wpływ na poezję wielu języków i krajów wywarł wręcz decydujący. Dzisiaj jednak jeden z zarzutów stawianych Mallarmé'mu przez jego współczesnych wydaje się nie całkiem bezpodstawny: jałowość (zresztą absolutna czystość formy z założenia musi być jałowa). Dla rozczarowań naszego stulecia być może znamienity jest powrót do „trzęsionego” Baudelaire'a, którego zasadniczym tematem był Grzech Pierworodny.

Język Młodej Polski nie był przygotowany do wywarów z klasycznie ułożonej linii wiersza. Baudelaire'a też nie umiano tłumaczyć. Zamiast Mallarmé'go, dziki i rozchełstany Przybyszewski. Jeżeli tam jałowość, to z nadmiaru ascezy, natomiast Przybyszewskiego nie można czytać, bo brak mu elementarnej dyscypliny, czyli wręcz odwrotnie. Skąd to się brało? Z braku jakichkolwiek rodzimych korzeni, i w myśli i w stylu. Ten głębinowy wymiar,

w jaki Przybyszewski chciał zstąpić, długo podlegał był w Polsce zakazowi.

Inaczej odbywało się to w Rosji. Tam wszystkie niemal nici symbolizmu rozchodzą się z jednego węzła, a jest tym węzłem Władimir Sołowjew. Jak przystało epoce *fin-de-siècle'u*, miał Sołowjew i rysy „demoniczne”. Tym bardziej zastanawia jasność, ład, klarowność jego wykładu, głębia i szerokość jego poglądów na prawosławie, katolicyzm i Rosję. Aż po jak najprostszym językiem pisaną w 1900 roku, proroczą, „Opowieść o Antychryście”.

[Wizjonerstwo Sołowjewa przypomina niekiedy teozofię Słowackiego. Można rzec, że zamiast Sołowjewa Polska miała „Genezis z Ducha”, „Króla-Ducha” i „Samuela Zborowskiego” wraz z przypisami i komentarzami. Zasadnicza jednak nie-dyskursywność i samego Słowackiego i jego czcicieli nie pozwalała zbudować mostów pomiędzy jego „systemem” i światem współczesnym, toteż odbierano jego dzieło estetycznie, godząc się na „dziwactwo”, skoro wydało wielką poezję. Potomstwa tej teozofii w literaturze nie było, poza Tadeuszem Micińskim, który, jeżeli się komuś podobał, to jako sam koloryt. Natomiast Sołowjew był bardzo dyskursywny, a zarazem, choć niezupełnie prawowierny, mieścił się w tradycji kontemplacyjnej wschodniego chrześcijaństwa].

Dzięki Sołowjewowi symbolizm rosyjski zyskał orientację wręcz przeciwną niż francuski, wybitnie „treściową”. W środowisku, które bez postaci Sołowjewa byłoby nie do pomyślenia, poczynają się więc nici prowadzące w poezji do Wiaczesława Iwanowa, Aleksandra Błoka, a dalej, poprzez szczególną mutację przed rokiem 1917, do akmeistów i klasycznej doskonałości Mandelsztama, w filozoficznej prozie do plejady pisarzy działających najpierw w Rosji, następnie na emigracji. Rozpowszechnione wśród Polaków sądy o rosyjskiej literaturze emigracyjnej są mylne i noszą piętno sztamp przyrządzanych w Moskwie. Jeżeli za jedną z cech „nowoczesności” uznamy spotkanie się filozofii i literatury, po długim ich rozdzieleniu, spotkanie się, do którego impuls dali Kierkegaard, Dostojewski i Nietzsche, to wkład rosyjski, na miarę światową, jest ogromny. Jest to wkład myśli egzystencjalnej zorientowanej religijnie, zaznaczony nazwiskami Lwa Szestowa, Sergiusza Bułgakowa, Nikołaja Łosskiego, Siemiona Franka, żeby wymienić tylko kilku. Dzieło tych ludzi będzie owocować też w Rosji (przepowiednia), i ze względu na swój rodzaj „na pograniczu” (esej teologiczno-filozoficzno-literacki) do historii literatury przynależy. Nic bardziej znamiennego dla rozłamu w Polsce na laicką inteligencję i katolicyzm, niż neo-pozytywistyczna orientacja uniwersyteckich katedr z jednej strony i niejadal-

ny tomizm z drugiej. Są to obszary wydzielone, z literaturą niemalże nie-styczne.

Nie Przybyszewski jest może tym, czym dla nowoczesnej literatury francuskiej był Mallarmé, dla rosyjskiej Sołowjew, ale świeżo odkryty Norwid i częściowo Brzozowski, choć ten umarł zbyt młodo żeby zdążył swój nadmiar i chaos uładzić. Ale z Norwidem niespodzianka: podrzucone laickiej inteligencji kukułcze jajo. Kto wie czy Norwid nie ma się tak do religijno-narodowej prawicy dziewiętnastego wieku jak Dostojewski do rosyjskich słowianofilów i konserwatystów. Tzn. dokonywał transplantacji z niepoważnego w poważne. Norwid był poetą katolickim, to sam rdzeń, sama esencja jego twórczości i bezradność komentatorów tym się zapewne tłumaczy, że podoba im się poeta ale jak diabeł wzdrygają się przed dotknięciem święconej wody. Jednak niewiele zostaje z Norwida jeżeli jego wiarę uzna się za relikw, niby kult totemiczny. Czy naprawdę da się o Norwidzie sensownie rozprawić bez (niezależnie od tego czy ktoś jest katolikiem czy nie) teologicznego przygotowania?

Z Norwida, z niektórych stron Brzozowskiego, wyłania się coś, co wymyka się nazwom, jakby obietnica nowej substancji w polskiej literaturze, czy też odnowa substancji, która zawsze w niej była, skoro literatura ta mogła wydać liryki lozańskie. Dezyderaty polityków będą tu zapewne rozbieżne z dezyderatami pisarzy. Są chyba politycy, którzy ratunek przed całkowitym zniaczeniem kraju o bogatej przeszłości upatrują właśnie w trwałym rozłamie na laicką, postępową inteligencję (bo ona tylko umiałaby przeciwstawić socjalizm jego parodiom) i narodowy katolicyzm (bo jest „twardy”, nie osłabiony przez filozofowanie). I to nawet dzisiaj, kiedy ta inteligencja jest pobita i obozwładniona a narodowy katolicyzm ulega erozji. Nowoczesny czytelnik równie mało znajdzie jednak dla siebie w wytworach jednego jak drugiego nurtu. Najwybitniejsi polscy autorzy dwudziestego wieku reprezentują typowe dla Moderny współzycie pozytywistycznych przesłanek z rebelią przeciwko tym przesłankom, do jakiej zmusza, że posłużymy się terminem Witkiewicza, Metafizyczne Poczucie Dziwności Istnienia. Taki jest Leśmian, który daremnie biegł do Betlejem i jest poetą wszechświata jako samo-stwarzającej się ułudy. Taki jest Witkiewicz, ze swoim rozpaczliwym systemem Istnień Poszczególnych, monad nie komunikujących się ze sobą. I ostatecznie ontologiczna groza jest u samych fundamentów Gombrowicza, groza wobec arbitralnie porządkowanego przez świadomość bezmiaru (porównaj opis nocnego nieba w „Kosmosie” i w powieściach Witkacego). Nie twierdzą wcale, że nowoczesna substancja literatury musi być chrześcijańska. U wspomnianych autorów nie jest ani chrześcijańska ani nawet

teistyczna. Przez ostrość doznania egzystencjalnych skrajności prowadzi jednak ku tym labiryntom, w których religię trudno już nawiązać i postępowo uznać za „relikt”.

Jak silne są tradycyjne zakazy doświadczam i teraz, bo przyzwyczajono mnie bać się oskarżenia o „mistykę”. Czego tam nie potrafią tym epitetem załatwić! Wygląda na to, że u polskiego inteligenta pozostał na trwałe lęk przed towiańszczyzną. A tu raptem w dwudziestym wieku Camus i Beckett? Co prawda może ma rację Martin Esslin kiedy powiada, że publiczność teatralna w Polsce oklaskiwała „Czekając na Godota” jako przypowieść polityczną. Toteż u Mrożka, w „Ucieczce na Południe”, chłopcy z radosnym podnieceniem czytają afisz obwieszczeniujący, że Godot przyjechał i wystąpi w spółdzielni „Kosynier”.

Z góry uprzedzam zarzut, że „nowoczesność” sprowadzam do Młodej Polski i jej pochodnych. Całkiem świadomie, tu, teraz. Staram się wydzielić pewien ekstrakt, pamiętając o tych wszystkich, których tajemne wewnętrzne życie, chronione przez sam fakt istnienia Rzymsko-Katolickiego Kościoła, wzywa współ-odpowiedzi w literaturze. Czy o bezpłodności, także artystycznej, różnych literackich „zjawisk” nie przesądził długotrwały podział na kawiarnię i parafialny *bush*? Bezpłodne (choćby ktoś statystycznie dowiódł, że nadal uzasadnione) będzie rozróżnienie literatury „wyższej” uprawianej przez piętnaście tysięcy pogrobowców Stefana Mallarmé i „niższej”, w której panteonie stoją popiersia Kraszewskiego, Sienkiewicza, Kossak-Szczuckiej i Rodziewiczówny.

Masoni i inni

Pismo w którym ukaże się ten szkic, paryska *Kultura*, jest uważane przez znaczną część jego czytelników za organ Żydów i masonów, niechętny katolicyzmowi. Dwudziesty wiek szparko zmierza ku ostatniemu swojemu dwudziesto-pięcioleciu, ale katolicki naród sobie, a literaci (Żydzi i masoni) sobie. Jeżeli dodać jeszcze wieść gorliwie szerzoną przez policje „męskie, żeńskie i dwupłciowe”, że pismo jest organem C.I.A., otrzymujemy śliczne malowidło Salvadora Dali.

Zeby uspokoić czytelników (wcale licznych), którzy nadal wierzą, że tylko Żyd albo mason potrafi na Zachodzie zadziałać, przyznam się tu, że nigdy masonem nie byłem, choć mój uniwersytet wileński był mocno masoniowski, nie mniej chyba niż w czasach Mickiewicza. Opowiem też pewne zdarzenie, dopiero teraz, kiedy wszystkie osoby których to dotyczy już nie żyją. W latach wojny bywałem u Marii Dąbrowskiej na Polnej. Mieszkała ze wspianym, uroczyście-brodym panem Stanisławem Stempowskim, u niej

też znalazła przytułek para pisarska uchodźców ze Lwowa, Jerzy i Anna Kowalscy. Plotka głosiła, że w apartamencie Dąbrowskiej w W.C., zamiast papieru toaletowego, dla oszczędności, wiszą pocięte protokoły masoniowskiej loży, choć sam tego nie sprawdziłem. W plotce łączyła się powszechna w środowisku literackim wiedza o godności wielkiego mistrza, jaką sprawował niegdyś Stempowski, z ironią wobec porażek polskiej masonerii.

Mieszkanie na Polnej ocalało i przyjechawszy do zniszczonej powojennej Warszawy skorzystaliśmy z gościnności Dąbrowskiej, spędzając tam ostatnią noc przed wyjazdem za granicę. Opinie Stempowskiego o sytuacji międzynarodowej były spokojnie-katastroficzne, a ponieważ były to też opinie Dąbrowskiej, warto o nich wspomnieć: ani śladu złudzeń, stawiania na zachodnich aliantów itp., przeciwnie, rodzaj rezygnacji wobec kataklizmu na miarę planetarną, jak u inteligencji rosyjskiej w „Doktorze Żiwago”. „Coś mi się zdaje — powiedział — że to paskudztwo musi przewalić się przez cały świat”. Stempowski był stary, najbliższa przyjaciółka Dąbrowskiej, Anna Kowalska, mimo że rozumowała mniej więcej tak samo, nie mogła zdobyć się na podobny spokój. Któregoś dnia szliśmy z nią ulicą w Krakowie i zaczęła mówić o wszystkim co się dzieje, urywanymi zdaniami, przez ściśnięte gardło, aż chwyciła mnie za klapy marynarki i trzęsła się od płaczu, całą koszulę miałem mokrą, próbowałem ją pocieszać, sam bez żadnego argumentu czy pociechy. To był płacz najczystszej litości, *caritas*. Prawda o roku 1945, o nieszczęściu zdeptanego kraju, w którym montowano na prędko aparat władzy z rzeźmieszków i bandziorów, nigdy nie została opowiedziana, przysypały ją zmyślenia i bajki. Dotychczas nie jest dla mnie jasne ilu z tych co (jak ja) godzili się na konieczność, zdołało tak sobie żałobne narodziny nowego państwa zrationalizować, że zapomnieli o świadectwie własnych oczu. Chyba bardzo niewielu i stąd zapewne w literaturze, zastępczo, tyle nihilizmu.

Otóż Stempowski powiadomił mnie trochę uroczyście, że postanowił dać mi list polecający, „bo nigdy nie wiadomo, może się przydać”. Widocznie dość sceptycznie traktował moje zamiary powrotu. Po czym udzielił wskazówek gdzie szukać jakiegoś tam wielkiego mistrza amerykańskiej masonerii i list napisał. Nigdy, co może niemądre, nie zrobiłem z niego użytku. Wystrzegąłem się podwójnej gry czyli tzw. zachodnich powiązań, co zresztą miało mnie uratować w późniejszych perypetiach w Warszawie. A poza tym ta szacowna linia, od wspianego starca Stempowskiego wstecz do masona Niemcewicza, którego gościł brat George Washington w Mount Vernon, wydawała mi się zbyt już osiemnastowieczna. Wtedy, w tamtym stuleciu, tak; gdyby dowódcy i wojsk angielskich i amerykańskich nie należeli do tych samych

nieraz łóż, co hamowało rozpęd i dzikość wojny, kto wie czy koloniści zdołaliby wywalczyć sobie niepodległość. Taki więc był początek i koniec moich masonskich wtajemniczeń. Morał tej powiastki ponad-osobisty: w kraju narodowo-katolickim, w którym usadawiała się u władzy grupka niedobitych w Rosji komunistów, „nas” tj. spadkobierców liberalnej inteligencji zostało mało i masonska pomoc tradycyjnie przedstawiała się panu Stempowskiemu jako leżąca w naturze rzeczy.

Czytając pisarzy rosyjskich, muszę zastanawiać się nad powtarzającą się u nich tezą: że słowiańszczyzna jako taki kształt duchowy zawdzięcza wyłącznie chrześcijaństwu, że, jeżeli je odjąć, zostaje coś w rodzaju rozlazłego kisielu, bulgoczącej mazi, która być może, jak przewidywał Leontjew w 1890 roku, „pęknie jak bańka mydlana i zaleją ją Chińczycy”. Z tamtej też, rosyjskiej, strony, bardziej uchwytnie są opiekuńcze zalety katolicyzmu, będącego zresztą dla wielu Rosjan przedmiotem zazdrości. Nie znaczy to, że trzeba naśladować niedowiarków, którzy chodzą do kościoła bo tak jest lepiej dla Narodu. To nacjonalizm, a wszelki nacjonalizm, czy polski, czy ukraiński czy rosyjski, jest martwy, choćby oczekiwały go coraz większe triumfy, bo pustka po zgonie marksizmu musi być czymś wypełniona. Literatura (czyli głos jednego człowieka przemawiającego do jednego człowieka) nie wytrzymuje takiego odwrócenia hierarchii. Trzeba raczej zadać pytanie, czy katolicyzm może zaowocować w nowoczesnej literaturze inaczej niż dotychczas, tak że zniknęłyby zwyczajowo przyjęte kategorie: tu literatura po prostu, tam „literatura katolicka”. Sojusznikiem w takim przedsięwzięciu będzie np. raczej poezja Leśmiana, choć niechrześcijańska, niż „Quo Vadis”.

Trwałość ludowych gadek o czarownicach, upiorach, tudzież masonach jest przedziwna. Choć jakaś prawda w tym się kryje: nieduża elita przestrzegająca pewnych obyczajów, pewnych wzorów i jednak stanowiła jakby masonerię, choć przeważnie bez fartuszków i kielni. Przynależność do niej powinna jednak przyczyniać raczej zgrzyoty niż dumy, bo siła złego na jednego. Czy baśnie rycerskie Sienkiewicza mogą, na dłuższą metę, żywić i bronić, jest co najmniej wątpliwe i albo powstanie literatura dla dorosłych, równie ceniona przez „elitę” i zwyczajnych ludzi, albo i wybredni nihilisci i chodzące do kościoła tłumy ulegną, niepostrzeżenie dla siebie, skarleniu i zniżeniu.

Igor Strawiński, odwiedzwszy Moskwę kilka lat temu, powiedział, że dla niego Rosja to zawsze „merde z szampanem”. Kto wie czy nie stosuje się to do słowiańszczyzny w ogóle. Głupie to uczucie, wprowadzać amerykańskich studentów w arkana twórczości kilku znakomitych autorów „elitarnych” i zarazem ciągle pamiętać o tzw. podglebiu.

Szarlatan

Znalazłem taki aforyzm (Adam Czerniawski, w londyńskich *Wiadomościach*): „Komponowanie historii literatury jest zajęciem dla szarlatanów i pedantów”. Jakby w twarz dał. Obolały i nie-nawistny musi to być jegomość: „złe sobie wystawia świadectwo gdy kto wyszydza kalectwo”, jak głosi staroświecki wierszyk. Kalectwo nas wszystkich, ludzi dzisiejszych pretendujących do kompetencji w jakiegokolwiek dziedzinie. Znaleźliśmy się wobec takiego ogromu zarejestrowanych osiągnięć ludzkiego umysłu, że chyba tylko sto lat życia spędzonego na usilnych studiach mogłoby wystarczyć jako wstępne przygotowanie. Co to znaczy dzisiaj np. „znać” jakąś literaturę, jeżeli wydano tysiące komentarzy do komentarzy, jeżeli mnożą się bez końca materiały archiwalne i interpretacje? Czy „znawca” Rousseau może być równocześnie znawcą Montaigne’a? Radą na to byłoby tylko przyłączyć się do tych grup studentów kanadyjskich i amerykańskich, które zalecają spalenie bibliotek, jako że przymus studiowania dzieł literackich przeszłości jest nieznośnym pogwałceniem przyrodzonych swobód.

A może w tym aforyzmie kryje się co innego? Może to owładnięta wstydo-bólem polska dusza sprzeciwia się komponowaniu po angielsku historii polskiej literatury? Tutaj problem zaczyna być poważny. Bo skoro polska literatura jest literaturą kraju skazanego na zależność i podrzędność, da się obronić twierdzenie, że należy ją, podobnie jak inne prowincjonalne literatury, zostawić prowincjonalnym szkolarzom, natomiast kto wynosi ją na międzynarodowy rynek, ciągnie ją za włosy czyli z igły robi widły. I, zaiste, bardziej jest winien szarlatanerii niż pedanterii. Tym bardziej, że następujące opinie nie brzmią już dzisiaj egzotycznie:

„Przestańmy rozdymać fikcyjne wielkości naszej przeszłości i wmawiać sobie, żeśmy mieli wszystko: i sztukę, i naukę, i heretyków morowych, i filozofię, i technikę, i diabli wiedzą co”.

(St. Ign. Witkiewicz)

„Ja historię znam zbyt mało, aby się tutaj w zbyt uczone dysertacje wdawać. Ale gdy czytałem megdys dzieje nasze, to wprost aż wyłem z oburzenia i rozpacz, i mimo woli pięści zaciskałem z wściekłości, że podobne rzeczy dziać się mogły, i że naród, tak wielkimi możliwościami zewnętrznymi i wewnętrznymi rozporządzający, tak mało istotnego zdziałał i stworzył, a wszystkich swoich, rzadkich

zresztą, prawdziwie wielkich mężów, przez brak podtrzymania ich, a tępy zasię opór przeciw ich wielkości i bojnej dla innych potędze, zmarnował i — mówiąc dalej tym trochę napuszonym stylem — zgnoi’.

(St. Ign. Witkiewicz)*

I oto pojawia się m o r a l n a sprzeczność. Gdyż ten szczególny wypadek zlatynizowanego słowiańskiego plemienia jest tyleż pouczający co przygnębiający, a jego literatura, w nagłych i krótkich rozkwitach, w wyobcowaniu wybitnych twórców, w zapasach z niesytą ofiarą Polską-boginią, odsyła bez ustanku do klęsk jawnych czy ukrytych. Tak więc, przedstawiając ją, należałoby bardziej zajmować się obietnicą i niedokonaniem niż dokonaniem. Ale podręcznik historii literatury jest gatunkiem literackim, takim jak dramat czy *science fiction*, jego formę można rozszerzyć i wzbogacić, ale tylko do pewnych granic. Nie jest to traktat z zakresu filozofii historii ani esej w którym autor daje upust swoim bardzo osobistym przemyśleniom. Za układem całości przebywa świadomość, ona to grupuje i przycina materiały, ale ujawnia się tylko pośrednio, hamując się tam, gdzie, gdyby nie w porę postawiona kropka, zaczęłyby się zawile dywagacje.

Dlaczego sprzeczność m o r a l n a? Zawód pisarski jest to powolne, stopniowe wyprowadzanie rośliny z jednego ziarna, łądyga, jej odrośla i liście mają zawartą w ziarnie zasadę czy esencję wynosić na światło. Są przy tym dwie taktyki. Jedni hodują swoje drzewo, pnem tylko swego dzieła zajęci, inni, z temperamentu czy z musu, godzą się na boczne konary i gałęzie. Tych drugich jednak też obowiązuje niedoskonała choćby wierność wobec ich pierwszej zasady. Kiedy Gombrowicz wymyślał mi za tłumaczenie polskich poetów na angielski i za komponowanie historii polskiej literatury, miał na myśli niebezpieczeństwa rozrzutności. Robił to jednak z humorem i swoje napaści pojmował w sensie niejako pickwickowskim.

„Oby niezbyt daleko od ścieżki honoru”. Ta ścieżka, to dostarczać jak najmniej powodów do nieporozumień czyli nie podawać się za kogoś, kim się nie jest. Niezawsze się to udaje, skąd nieraz poczucie winy. Husarz, dzierżyciel sztandaru, propagator polskiej kultury wśród obcych — jak mógłbym tym być, jeżeli moim przeznaczeniem był zawsze dystans ironiczny? Ale oto mój podręcznik, podległy wymaganiom swego gatunku, i choćby dzięki podobiznom zasłużonych mężów na kredowym papierze, pols-

* Cytuję według: Małgorzata Szpakowska, *Witkiewiczowska teoria kultury*, „Dialog”, 10, 1968.

ką literaturę uświetnia, a wydawcy znącają się nade mną, opakowując moje książki w orły, koronne czy bezkoronne.

Niemniej próbuję odwołać się do swego zdrowego rozsądku. Tenże St. Ign. Witkiewicz, tak gorzki w ocenie przeszłości, za cechy polskiego charakteru narodowego: za „napuszenie się na wartość”, za wewnętrzny fałsz, za umysłowe lenistwo, czynił odpowiedzialnym „węzłowisko upośledzenia”. Samo-pogarda jest złym doradcą. Polska literatura nie jest tak genialna jak to, z nadmiaru kompleksów niższości, wydumali poloniści, ani tak znowu podrzędna, jak nam dziś niektórzy do wierzenia podają. A najważniejsze, że istnieje. Żaden człowiek nie potrafi zatrzeć swoich przeszłych błędów, złych uczynków, niedopełnień, tak żeby być przestały, ale nie trwają one statycznie, zmieniają się zależnie od tego co robi z tak nabytym doświadczeniem. Podobnie literatura w jakiej jest się zakotwiczonym: dobry pisarz współczesny wywyższa również tradycje tylko wstydlive, jeżeli, nimi się posługując, zdobywa coś, czego nikt inny, pozbawiony tej pamięci, zdobyć nie potrafi.

A poza tym jest element, który sprawia, że to *pensum*, ta robota użytkowa, wyrasta, jednak i pomimo wszystko, z jednego pnia: świadomy i uparty anty-estetyzm. Bynajmniej nie lekceważenie piękna, ani nawet odmawianie zasług badaczom wlokącym do swojej nory tu skrzydło chrabąszcza, tam nogę, choć wszelka sztuka ma się lepiej kiedy sekrety pracowni są dobrze strzeżone, a wścibskich zrzuca się ze schodów. Zdolność tworzenia (jakże rzadkich) malunków czy wierszy czy powieści nieprzemijających zaświadcza, że dana ludzka wspólnota ma siłę potrzebną do umysłowej dyscypliny, niezdolność — że rozłazi się wewnętrznie. Ale właśnie trudne do przeniknięcia życie milionów przeciętnych ludzi jest ważne, nie literatura, bo nie mogą oni być „twórcami”, co nie znaczy, że mniej dotkliwie niż „twórców” rani ich czas i samotność i miłość i śmierć, że nie muszą z tym sobie jakoś radzić. Niewykluczone, że sam uważałbym komponowanie historii literatury za hańbę, gdyby nie to, że pod pozorem podręcznika starałem się napisać opowieść o patetycznej, tragicznej, groteskowej, fantastycznej przygodzie zlatynizowanych Słowian obfitującej w tzw. wartości ogólnoludzkie.

Czesław MIŁOSZ

Glossy do książki G. Herling-Grudzińskiego

„Rosja, jak ciężka maciora przygniata przez sen najlepsze swoje małe” — powiedział Aleksander Błok o losie rosyjskich pisarzy.

Marnotrawstwo jest żywiołem dziejów cywilizacji i kultury w Rosji. Przykładów pełen jest każdy podręcznik szkolny. Łagodziło ten stan powszechne prawie uznanie, otaczające działalność artystów w Rosji bardziej niż gdziekolwiek indziej. Pisarz był obrońcą, tam, gdzie władza była jednocześnie oskarżycielem, sędzią i koronnym świadkiem.

Poza tym znanym fenomenem, o stosunku do literatury rozstrzygał już fakt, że twórczość pisarska była i jest w tym kącie Europy jednym z nielicznych zjawisk nie poddających się dekretowaniu. Z zasady wymyka się dyktatowi — albo wędnie w razie poddania się mu. Dlatego pisarz, nawet daleki od społecznikostwa (przykładem — Nadson, melancholijny egocentryk, który był bożyszczem całej postępowej młodzieży w Rosji za Aleksandra III) — był zawsze dla wielu dowodem, że przecież w ogóle możliwe są własne słowo i myśl własna. To przeświadczenie zdaje się być niezbędne dla zdrowia społecznego. Uznanie społeczne tylko niewielu ludzi i niewiele dzieł mogło uratować w kraju, gdzie powierzchnia miejsc zesłania zawsze była wielokrotnie większa niż obszar dobrowolnego osiedlenia.

13 lutego 1970 roku Aleksander Twardowski musiał zrezygnować z funkcji redaktora naczelnego miesięcznika *Nowyj Mir*. Minęło zaledwie kilka tygodni od usunięcia ze Związku Pisarzy Sowieckich Aleksandra Sołżenicyna.

Decyzje te zwiększyły przygnębienie wśród pisarzy i czytelników w ZSSR — i taki właśnie miały cel. Ale wydaje się, że na sprawę Sołżenicyna i Twardowskiego wolno już patrzeć nie tylko jako na kontynuację przerażająco długiej listy wybitnych pisarzy,

którzy w tym kraju kolejno wpadali w niełaskę, albo stawali się ofiarami represji.

Różnica nie polega jedynie na tym, że chodzi o jednego z bar dziej popularnych poetów rosyjskich i o najznakomitszego prozaika rosyjskiego ostatniego ćwierćwiecza. Bo represje — i to o wiele poważniejsze — dotknęły w swoim czasie całą plejadę pisarzy najwyższej klasy, bez widocznych od razu złych następstw dla władzy. Ale — niepostrzeżenie, lecz bardzo znacznie — zmieniły się warunki działania dysydenckiej literatury w ZSSR — od śmierci Mandelsztama, Klujewa, Pilniaka, Babla, Tretiakowa, od samobójstwa Majakowskiego, nawet od nagonki na Achmatową, Zoszczenkę, czy Pasternaka. Zmieniło się coś nie dlatego, że „nikt nie chce” terroru stalinowskiego, bo takich jest wielu, pokusy są znaczne i próby nawrotu częste. Dalsze represje są możliwe. Ale uległo zmianie zaplecze społeczne tej literatury, traktowanej jako część i wyraz pewnego szerszego ruchu umysłowego. Wymierzone przeciw niemu represje zaczynają wchodzić w skład odruchów samobójczych systemu władzy.

Carat uruchomił bardzo skuteczny i masywny mechanizm samobójczy w 1914 roku, posyłając parę milionów niezadowolonych na wojnę, pod niemieckie kule. Nie mógł uniknąć fatalnej omyłki: musiał im dać broń do ręki.

Stalin w 1938 roku, w przededniu nieuchronnej wojny, zdisiętkował korpus oficerski własnej armii, zaczynając od rozstrzelania wodza naczelnego, marszałka Tuchaczewskiego. Nie został oszczędzony żaden z dowódców okręgów wojskowych, zginęła przytłaczająca większość szefów jednostek taktycznych. Fala terroru nie mogła ominąć wojska, skoro stara kadra miała być usunięta zewsząd, zwłaszcza tam, gdzie miała broń w ręku.

Jakie były skutki, pokazała z miejsca kampania fińska w 1940 r. Poderwała *prestige* Armii Czerwonej i niewątpliwie zachęciła Hitlera do przyspieszenia napaści, która też omal się nie powiodła.

Z czynnych w ZSSR mechanizmów samobójczych wymieńmy dwa łączące się z tematem tych uwag:

— zwyczaj traktowania każdej rady i opinii, niezgodnej z dotychczasowym poglądem kierownictwa, jako możliwej intrygi wroga.

— odruch periodycznego gilotynowania inteligencji jako możliwej wylęgarni opozycyjnych koncepcji i ruchów. Odruch ten, do niedawna bezpieczny i na ogół bezkarny, dziś staje się najważniejszym mechanizmem samobójczym, groźnym dla całego ogromnego kraju i pozycji jego w świecie.

Bohaterowie książki Herlinga¹ są pisarzami, którzy znają włas-

1. Gustaw Herling-Grudziński: *Upiory rewolucji*, Paryż 1969, tom 175 Biblioteki Kultury, str. 172.

na literaturę i zapewne czytali Błoka. Większość z nich to nasi współcześni, piszący po rosyjsku obywatele ZSSR. Znaczący to, że według już wiele więcej niż wiedział Błok o losie pisarza.

Mimo to, właśnie oni zdecydowali się na ten sam trud i los. Gdy przechodzą od literatury do bezpośrednich protestów — jak Ginzburg, Gałanskow, czy pisarz-robotnik Marczenko, czynią to z naturalnością, która świadczy, że w Rosji dalej żyje wiara w pokrewieństwo słowa i czynu i w społeczne zadania pisarza. Widocznie znów uchwytana jest dla Rosjan różnica między tym pojęciem a jego oficjalnym pozorem.

Ponadto — piszą z odwagą, spokojem i długim oddechem — najlepszym przykładem jest tu Sołżenicyn — które godne są zastanowienia. Już ton książek i listów otwartych tych ludzi świadczy, że nie uważają się za samotnych strażników. To nie jest ton kazania do głuchych. Utwory Włodzimierza Maksimowa, nowele Jaszyna, czy Wiktora Niekrasowa chyba tym zwróciły na siebie niechętną uwagę polityków: autorzy nie czują się odmienni od swoich czytelników, nie przemawiają do nich z zewnątrz. Już dawno w Rosji nie rodziły się książki tak zgodne z postulatami literatury mas. Powieści Sołżenicyna krążą w tysiącnych odpisach. I nie tyle nawet zagraniczne protesty, ile tajona miłość rodaków broni teraz chorego pisarza.

Książka Herlinga-Grudzińskiego zdaje sprawę z istic tragicznych losów rosyjskich pisarzy, nie ma jednak charakteru lamentacyjnego. Porusza się w niej kilka spraw o największym znaczeniu dla stanu umysłów i rozwoju świadomości społecznej w Polsce. Przykład pisarzy rosyjskich wybrany jest nie tylko dlatego, że doświadczenia rosyjskie mają wciąż w Obozie znaczenie fatalnego precedensu. Również dlatego, że sprawa stosunku do młodej Rosji i ruchu wśród rosyjskiej inteligencji szybko nabiera dla Polaków decydującego znaczenia.

W tej książce pisze Herling-Grudziński:

„Losy tej części Europy zależą niemal wyłącznie od zmian i przeobrażeń w samej Rosji, bez nich można będzie mówić najwyżej o rozgięciu krat, nigdy o ich wyłamaniu. Czy rozumieją to intelektualści w krajach Europy Wschodniej? Czy zdają sobie sprawę, że istotniejszy od kontaktu z paryskim mydłkiem literackim jest kontakt z odważnym i uczciwym pisarzem rosyjskim?”

Napisane to było w 1966 roku. Po sierpniu 1968 przestano mówić o rozginaniu krat. Najazd na Czechosłowację oznaczał dla wielu koniec nadziei na wewnętrzną ewolucję w bloku wschodnim. Niektórzy, jak Byrski², liczą już tylko na uderzenie młota.

Są to rachuby obosieczne, ale przede wszystkim rozleniwiające. Nie przypuszczam, aby Byrski miał na myśli uderzenie młota z zewnątrz. Cokolwiek by jednak myślał, nie widać, jaką to rolę wyznacza w tej koncepcji Polakom i Polsce. Jest też w jego rozumowaniu coś, co wydaje mi się jedynym prawdziwym grzechem

2. Patrz *Kultura* nr 1-2, 1970.

przeciw Duchowi Świętemu: półświadome uwielbienie dla siły i przekonanie, że racja pogwałcona przez przemoc staje się śmieszna.

Inwazja z sierpnia 1968 roku nie wykazała wcale niemożności ewolucji bloku ani systemu. Przekreśliła tylko wariant peryferyjny. Na dobrą sprawę była dowodem jak poważnym niebezpieczeństwem dla Centrali jest ta możliwość. Bo w końcu była przedsięwzięciem przewencyjnym w stosunku do obywateli ZSSR, nie mniej niż wobec Czechów, czy Węgrów.

Od sierpnia 1968 jasne jest tedy, że jeżeli liczyć na zmiany, to jedynie na zaczątkowane w Centrali. Czy są nieuniknione? Nie, jeśli ZSSR zdecydowany jest raczej zginąć na bezwład i zastój, niż ruszyć się z miejsca. Nie można i tego wykluczyć, siła inercji istniejącej organizacji sił społecznych i środków gospodarczych jest przytłaczająca. Ale największe niespodzianki tego stulecia sprawiła światu właśnie Rosja.

Książka Herlinga-Grudzińskiego dotyczy nie tylko — najciekawszych może — zjawisk w europejskiej literaturze ostatnich lat. Mowa w niej o centralnym problemie politycznym współczesności: o zwiastunach i wskaźnikach zmian narastających tam, gdzie rozstrzygną się zapewne losy co najmniej połowy świata. I to, jak wolno sądzić, już w najbliższym dziesięcioleciu.



Herling-Grudziński pisze, że szkice jego powstały z potrzeb doraźnych. Mają istotnie ostentacyjnie skromny kształt. Bez krygów wprowadzają czytelnika zawsze w sedno sprawy. Są jednak oparte na drobiazgowej bibliografii, na budzącej zaufanie znajomości starych i nowych utworów, opracowań i periodyków. Są uwiarytelnione skrupulatnie. Dzięki brakowi pedanterii nic jednak nie zasłania w tych szkicach pasji autora. Pisane są też po to, aby przejąć podobnym uczuciem polskiego czytelnika. I emocja, z jaką Herling-Grudziński pisze o Bułgakowie, o pierwszych opowiadaniach Sołżenicyna, o hiobowym losie Mandelsztama, o wiecznym więźniu Iwanowie-Razumniku — na pewno karmiona jest goryczą. Bo wie, że polscy czytelnicy nie tak prędko i chętnie uwierzą, iż mowa o naprawdę wybitnych utworach pisanych przez znakomitych ludzi.

Potrzeba zwięzłości i doraźnych akcji nadaje sądom Herlinga-Grudzińskiego charakter kategoriyczny. Ale tylko raz mamy do czynienia z sądem doraźnym: mowa o Erenburgu.

Autor *Innego Świata* zna Rosję właściwie tylko z pobytu w obozie i z wędrowki do polskiego wojska, do Azji Środkowej. A tymczasem omawia współczesny utwór Dudincewa z taką samą swobodą i kompetencją, z jaką pisze o Dostojewskim. Szkic *Dwie glossy o Dostojewskim* jest najciekawszą może w tej książce pracą. Wywód wyprowadzający problematykę *Upadku Alberta Camusa* z ułamkowej noweli *A propos brudnego śniegu* jest nie

do odparcia. To samo dotyczy polemiki z Moravią w sprawie *Zbrodni i kary*.

Hasło „Za waszą i naszą wolność” nie schodzi ze szpalt polskich pism. Wytarte zostało do zupełnego banału. Jednocześnie, nikt nie zwrócił uwagi, że dawno już używane jest w sensie spaczonym.

Cytuje się to hasło przy każdej okazji kiedy się wspomina Polaków, którzy walczyli w rozmaitych obcych krajach jako ochotnicy wolności. Chwała im. Ale nie o to chodzi.

Powstańcy, którzy występowali przeciw Rosji w 1830 i w 1863 roku wypisali to hasło na swoich sztandarach, by podkreślić, że walczą o wolność również dla swoich przeciwników. Że uważają ich tylko za narzędzie, które jutro może już przestać nim być. Zawołanie nie było więc skierowane do sprzymierzeńców, towarzyszy broni, tylko do ludzi z drugiej strony frontu.

To polskie hasło jest w ogóle w dziejach propagandy wyjątkiem. Może być rozpatrywane jako majstersztyk skrót, bo jest w nim przedstawiony cały poważny i szlachetny program polityczny.

Książka Herlinga-Grudzińskiego o rosyjskich buntownikach zwrócona jest przeciw potocznemu przeświadczeniu, że Rosjanie to raby, a Polacy — złote ptacy. I dlatego cała się mieści w pewnej dobrej polskiej tradycji.

W książce tej jest kilka drobniejszych przeoczeń i parę spraw wymagających wyjaśnienia.

Tak więc — krytyk Knipowicz jest, wbrew pozorom, niewiastą, ma na imię Jelena. Wiersz Mandelsztama, który Herling-Grudziński cytuje w przekładzie filologicznym, jest od dawna w pełnym brzmieniu znany polskiemu czytelnikowi z antologii *Stu trzydziestu poetów Seweryna Pollaka*. Była to najlepsza z istniejących antologii, nigdy też nie została wznowiona. Na pierwszym zjeździe pisarzy sowieckich w 1934 roku wcale nie tylko w dwóch przemówieniach (Babla i Pasternaka) słychać było nutę niepokoju.

Wyjaśnienia wymaga przede wszystkim sprawa tytułu książki. Jest on zarazem tytułem szkicu wstępnego, poświęconego pracy Mikołaja Bierdiajewa *Duchy rewolucji rosyjskiej*, napisanej jeszcze w 1918 r. Bierdiajew, pod świeżym wrażeniem przewrotu, wyklina „dziedzictwo, prorocstwa i zaczyn” rewolucji zawarty w rosyjskiej literaturze, miota gromy na duchy drwiny, amoralizmu, anarchii — i widzi je wcielone w twórczość Gogola, Dostojewskiego i Tołstoja. Im przypisuje Bierdiajew podkopanie starego porządku i Wielkiej Rosji, ich obciąża winą za rozpowszechnienie się nałogu „moralistycznych pretensji pod adresem losu, historii i władzy”.

Poglądy emigracyjnego filozofa rosyjskiego przedstawia Her-

ling-Grudziński rzeczowo, lojalnie. Kiedy na początku cytuje opinię Nikity Struwe że chodzi o „proroczą książkę” i że „rewolucyjna rzeczywistość pozostawała zdumiewająco zgodna z tą oceną i opisem” — to ma się nawet wrażenie, że sam akceptuje ten sąd o roku 1917 jako o „najgłębszej katastrofie duchowej”. Ale wkrótce orientujemy się, że szkic Herlinga-Grudzińskiego jest zbudowany w myśl zasad czarnego humoru. Opisane są w nim krótko przemiany Bierdiajewa, który w 1945 roku zadeklarował się jako sowiecki patriota, ale jeszcze w 1926 zaczął zmieniać dawne opinie. Nie o duchach rewolucji, bynajmniej, tylko o ZSSR, gdyż zaczął dostrzegać tam zwiastuny nawrotu do świętego porządku. Był jednym z pierwszych, który zorientował się w tendencjach stalinizmu, ale jego aprobata dla nowego ładu w ojczyźnie rosła proporcjonalnie do krzepnięcia tych tendencji. Herling-Grudziński pointuje:

„... na śmietnik wyrzucono projekty ustanowienia królestwa Bożego na ziemi... Do kopania Białomorkanału zagnano tych, którzy w czasach carskich „podkopywali Wielką Rosję”... na ołtarzach ustawiono wszelką państwowość jako przedmiot pobożnej adoracji... Ta sowiecka Wielka Rosja nie mogła nie przypaść do gustu Bierdiajewowi...”.

I dodaje zaraz — iż stary filozof nie oczekiwał, że

„duchy rewolucji rosyjskiej będą w przyszłości najzacieklej ścigane i tępione właśnie przez rewolucję...”.

Mimo to, Herling-Grudziński w tytule szkicu i książki mówi wciąż o „upiorach rewolucji”. Upiór oznacza w polskiej tradycji złego ducha, zjawę z zaświatów. Jej powrotu się obawiano i zapobiegano mu, przebijając trumnę osinowym kołem.

Na taki los, myślę, nie zasługują duchy, o których mowa w tytułowym szkicu. Jeżeli kogo straszą, to kierownictwo Obozu. Nie tyle to są upiory, co raczej widma, może podobne do tych, o których mowa w pierwszym zdaniu *Manifestu Komunistycznego*. Od dawna już nie duchy rewolucji z Rosji innym grożą.

Nie ulega kwestii, że te same duchy obecne są w nowej literaturze protestu, której poświęcił Herling-Grudziński swoją książkę. Znaczna część młodych pisarzy rosyjskich wprost się na to powołuje.

Wsiewołod Koczetow w swojej ostatniej powieści *Czego właściwie chcesz?* — zwraca się ustami swojego *alter ego*, pisarza Bułatowa, do przedstawiciela buntującej się młodzieży:

„Czego ty chcesz właściwie? Chcesz, żeby w Rosji nie było więcej władzy sowieckiej? Chcesz nowych Majdanków? Chcesz nowej wojny?... Czy chcesz, żeby Rosjanie stali się nawozem dla europejskich i amerykańskich plugów?”

Otóż zwróćmy uwagę, że Koczetow jako partnera do tej dys-

kusji wybrał nie innego, buntowniczego pisarza, tylko naiwnego chłopaka, który tymczasem swój protest ogranicza do pochłaniania zachodnich filmów, płyt, magazynów, Koczetow chciał sobie ułatwić zadanie, ale zarazem wygadał się: dawno już nie chodzi tylko o zbuntowanych pisarzy. Są oni tubami nastrojów bardzo rozpowszechnionych.

Trzeźwo sądząc, niewiele pomoże zakaz druku Sołżenicyna, ani procesy Siniawskiego i Daniela. Trzeba by zabronić nie tylko ich książek, ale i dzieł Lwa Tołstoja. Podobnie, jak w Polsce nie wytypi się zgubnego ducha rewizjonizmu, jeśli nie zabroni się Żeromskiego, a nawet Słowackiego i Mickiewicza.

Oto prawdziwy kłopot z duchami rewolucji. To prawda, że te książkowe duchy patronowały realnym buntom. I nadal patronują. Miał rację Bierdiajew; Tołstoj przygotował grunt dla rewolucji. Nie tylko przywołał Ewangelię na pomoc żądającym sprawiedliwości i wolności. Ponadto odebrał ich przeciwnikom wszelką pewność siebie i moralne racje.



Trzeba żałować, że przy pisaniu swojego szkicu Herling-Grudziński nie miał przed sobą pracy Mariana Zdziechowskiego, opublikowanej w odpowiedzi na rozprawkę Bierdiajewa *Dusza Rosji* (1916). Zdziechowski polemizuje w niej z rosyjskim filozofem, który był jeszcze wtedy apostołem twórczego nieposłuszeństwa i z dyskretną ironią zwraca uwagę na sprzeczność między tą postawą a takim np. wnioskiem Bierdiajewa: „Wskutek niepojętej tajemnicy przeznaczenia Rosja ze swoją ascetyczną duszą jest powołana do wielkości i potęgi politycznej”.

Ale poglądy, których bronił Zdziechowski każą o sobie myśleć przy okazji lektury książki Herlinga-Grudzińskiego z powodów o wiele jeszcze aktualniejszych.



Magnificencja Zdziechowski znany był szeroko nie tylko w Wilnie. Za to jego książki czytane były rzadko. Szkoda, bo był konserwatystą wyjątkowo światłym i tolerancyjnym. Umiał pisać po polsku pięknie i jasno. Dlatego w jego pracach publicystycznych można znaleźć w czystej postaci poglądy, które inni starali się przezornie zagmatwać.

W 1919 roku Marian Zdziechowski skończył w Wilnie książkę, która w następnym roku wyszła w Krakowie. W Krakowie to założył na długo przed I wojną Klub Słowiański i patronował pierwszym próbom porozumienia z rosyjską liberalną opozycją; był świetnym znawcą rosyjskiej literatury i nawet w nieustannych polemikach z Rosjanami dawał dowody, że rozumie i potrafi cenić przeciwnika.

Książka nosi tytuł *Wpływy rosyjskie na duszę polską*. Składają się na nią szkice powstałe i dawniej, ale najważniejsze to *Rewolu-*

cja a rusyfikacja i Strach jako czynnik rusyfikacji pisane pod bezpośrednim wrażeniem wypadków rewolucyjnych w Rosji, oglądanych z bliska. Jest w nich m.in. z rzadką przejrzystością podany opis zagmatwanych wypadków związanych z niedoszłym puczem Korniowa i działaniami Kiereńskiego jesienią 1917 roku. Znamienniejsze jest jednak to, co Zdziechowski mówi o niebezpieczeństwach, jakie grożą światu i Polsce ze strony rewolucyjnej Rosji.

Już w marcu 1917 r. (*Głos Polski*, 1917, nr 17, 18) pisał Zdziechowski o rewolucji lutowej:

„Żyjemy jak w bajce... ale bajka ta smutno skończyć się może, ponieważ na tronie zepchniętego cara rewolucja posadziła, mówiąc stylem Herce-na, barani kozuch chłopca i bije przed nim czołem, w ciemnych jego instynktach i pożądaniach szukając źródeł prawdy i prawa”.

Później, już po przewrocie październikowym, tak sformułował swoje wnioski:

„Ideę demokratyczną rewolucja rosyjska doprowadziła do absurdu i absurd ten — rzecz nieprawdopodobna a prawdziwa — znalazł u nas licznych czcicieli”.

„Polsce za czasów Krasieńskiego car Mikołaj narzucił rusyfikację polityczną. Dziś jej grozi nierównie większe niebezpieczeństwo, bo ta rusyfikacja polityczna oparła się na dobrowolnej rusyfikacji ducha, za którą idzie podanie się woli Chama we wszystkich dziedzinach życia...”.

Formuły te brzmią (mimo wszystko) dla polskiego ucha jakoś banalnie. To dowód, że zdążyły wejść dawno do żelaznego zapasu poglądów noszonych w polskim plecaku. Żelazny zapas otwieramy dopiero w ostateczności i okazuje się często, że od dawna już był niepożywny.

Książka Zdziechowskiego okazała się dość pełnym katalogiem fałszywych przewidywań i takich obaw, które warunkują spóźniony i źle skierowanych odruch obronny.

Obawy Zdziechowskiego (mimo ich oczywistego, klasowego zabarwienia) były zrozumiałe chyba dla każdego Polaka w 1920 roku. Gorzej, że przetrwały na dnie wielu polskich zapatrywań aż po dziś dzień, chociaż zupełnie radykalnie zmieniły się stosunki w ZSSR i wcale nie ekscesy demokracji stamtąd Polskę zagrażają.

To, co się zowie antyrosyjskim stereotypem staje właśnie na przeszkodzie nowym procesom zachodzącym i w Polsce, i w Rosji, a wydającym się rokować jedynie możliwe wyjście z impasu, z lodówki politycznej.



Wiadomo, że w Rosji młodzież uczy się polskiego, żeby czytać książki i gazety, które wciąż jeszcze uważane są za ciekawsze od rosyjskich. W rubryce listów do redakcji wielu polskich pism,

listy z Rosji, podpisane zupełnie niepolskimi nazwiskami, stanowią normalne zjawisko od dawna; ściślej — od przywrócenia debitu polskich czasopism w ZSSR (po październiku 1956 czasowo zawieszono). Nigdy tego nie było: młodzi pisarze rosyjscy czytają polskie książki w oryginale. O ile dawniej tłumaczami z polskiego byli zawodowcy-poloniści, teraz często biorą się do tego pisarze z prawdziwego zdarzenia. Czytamy, że cała Moskwa chodzi do teatru *Sowremiennik* na sztukę Osieckiej z piosenkami w tłumaczeniu Bułata Okudźawy.

To nie są drobnostki. Nowe pokolenie w tym kraju niewiele wie o sobie i o dawnych konfliktach i goryczach, które stawiały mury nawet między rosyjską a polską lewicą. Dla młodej rosyjskiej inteligencji Polska to przede wszystkim kawał Europy, nie wrogię przy tym, gdzie można przyjrzeć się bez specjalnego ryzyka większym swobodom i pewnemu szczególnemu sposobowi bycia, który imponuje żywością, naturalnością i przywiązaniem do zazdrości godnych form wolności osobistej.

Ci ludzie mogą u siebie w domu kupić świeżo wydane w odbitce fotooffsetowej tomy *Kołokoła* Aleksandra Hercena i przeczytać pod datą 1. IV. 1863:

„Jesteśmy z Polską dlatego, że bronimy Rosji. Jesteśmy po stronie Polaków, ponieważ jesteśmy Rosjanami. Życzymy sobie niepodległości Polski, ponieważ pragniemy wolności Rosji. Jesteśmy z Polakami, ponieważ wiąże nas jeden wspólny cel”.

Nawiasem mówiąc, jak Polska długa i szeroka nie zrobiono nic dla pamięci tego człowieka, a był najwierniejszym i najbardziej ofiarnym z przyjaciół naszych w europejskiej literaturze i polityce. W tym roku mija stulecie jego śmierci.

Cokolwiek się stanie trzeba przynajmniej aby młoda Rosja wiedziała, że Polacy nie życzą ucisku ani sobie, ani jej.

Odzywają dziś w Polsce tendencje, które mogą pogłębić osamotnienie i poczucie bezradności narodowej, łudząc pozorami realizmu i krzepy.

Nie są nowe i właśnie w polemice z nimi ukształtowała się polska myśl demokratyczna.

W 1831 roku tak sformułował Mochnacki pewną tezę ryzykowną, ale wciąż godną zastanowienia:

„*Nie gabinety, ale ludy są naszymi sprzymierzeńcami*”.

Przez resztę stulecia (i kawał następnego) było to naczelne hasło połowy polskiej opinii.

Druga połowa liczyła na pomoc rządów. Ale dopiero po długim czasie zdecydowała się wyróżnić właśnie rząd zaborczy.

Zygmunt Balicki — najbliższy współpracownik Romana Dmowskiego — tak ujął tę koncepcję w dziełku pod znamienym tytułem *Instynkt państwowy* (1912):

„*Jedynie skuteczna droga — to wpływać w miarę sił na zmianę kierunku polityki sfer stojących u steru rządów, w duchu własnych postulatów*”.

Rząd, o którym tu mowa, to oczywiście rząd carski. Koło Polskie w petersburskiej Dumie, kierowane przez Dmowskiego, starało się najgorliwiej realizować ten program, zwłaszcza za Stołypina. Pomysł polegał na oparciu się na rządzie rosyjskim dla zagwarantowania narodowej samodzielności Polakom. W rezultacie, w przededniu I wojny światowej Narodowa Demokracja przyjęła rolę pierwszego sojusznika carskiego rządu w jego walce z rosyjskim i polskim socjalizmem i liberalizmem. Endecy za ugodę ze Stołypinem nic nie wyjednali. Rychło też wycofali się z tej koncepcji. Ale jej cień i narastał długo, i długo potem kładł się na całą działalność tego obozu.

Jak w opowiadaniu Chamisso, cień nabrał z czasem samodzielności i zjawia się w miejscach niespodziewanych.

Słyszysz się często, że program Romana Dmowskiego i jego stronnictwa przeżywa dziś w Polsce coś w rodzaju reinkarnacji. Powiedzmy raczej, że próby sformułowania ideologii nacjonal-komunizmu nieuchronnie wpadają w Polsce w łożysko przez endecję dawno wyżłobione.

Otwarte lansowanie tego programu jest kłopotliwe z oczywistych powodów. Widoczna gołym okiem sprzeczność z podstawami partyjnej ideologii zapewnia mu mylące pozory koncepcji samodzielnej, poniekąd nawet buntowniczej, szeptanej — a przecież dobrze widzianej. Szerzy się więc nie tylko wśród biurokracji; tym łatwiej, że przeciwnicy mają zamknięte usta.

Podbięły endectwem bardzo liczne patriotyczne publikacje, filmy, broszury, przemówienia. Kokietowanie endecją pozą jest dziś najprostszym patentem na prawomyślność.

Ci, którym się ten proces i ta polityczna poza nie podobają, zwykli wytykać nacjonal-komunistom kilka ogólnie znanych składników ich spadku politycznego. Mówią więc o szowinizmie, antysemityzmie i wsteczniactwie społecznym. To leży na dłoni.

Ale głębszym podtekstem omawianego programu są jeszcze inne składniki wszechpolskiej ideologii. W związku z naszym tematem trzy z nich wyróżnić wypada.

Pierwsza z tych zasad polega na obraniu kołtuna za bazę klasową operacji kadrowych, a również za wzorzec i punkt odniesienia planów i działań w obrębie obyczaju i kultury.

Ma to swoje skutki w interesującej nas dziedzinie. Tradycyjne, antyrosyjskie stereotypy należały do głównych skarbów duchowych polskiego kołtuna.

Druga zasada wywodzi się z endeckiego żądania praw dla egoizmu narodowego. Chodzi o przyznanie mu bez fałszywych skrępowań roli naczelnego kryterium etyki. Łączy się z tym ideał Polski jako państwa-jak-inne, w którym już nie trzeba zwracać

uwagi na altruizmy, romantyzmy, internacjonalizmy. Nie wstydzić się żadnych zdrowych, swojskich odruchów. Ze spokojem odrzucać przytyki do czerepów rubasznych i łzawe szantaże. Nie dbać o cudze opinie, o puste legendy, o innoplemieńców, o mędrków.

Wolno sądzić, że decyzji wzięcia udziału w inwazji na Czechosłowację musiały towarzyszyć cierpkie słowa o konieczności realnej polityki, o tym że dosyć donkiszoterii i że trzeba być jak inni. Tym też krzepiono się trochę wcześniej, kiedy stawiano na rasi-towskiego konia.

Ta polityka uchodzi za realną i jedynie możliwą w przymusowej sytuacji PRL. Tymczasem jej stosowanie przypomina tylko postępowanie kierowcy, którzy chcą ulżyć samochodowi wy-lewa resztkę benzyny.

Impoderabilia stanowią w polskiej historii wymierny majątek.

Straty z tej *Realpolitik* są już dziś znacznie większe od zysków i realnie dadzą się obliczyć. Wiedzą coś o tym Polacy w świecie, nie tylko w Czechosłowacji.

Nie opłaci się to chyba również w przyszłości. Rozdmuchiwanie narodowego egoizmu musi dać w rezultacie wzmocnienie szowinistycznych nastrojów. Te zaś miały w Polsce zawsze kształt antyrosyjski; nie zatrzymają się na Żydach. W sumie — pogłębią wrogość nie do państwowej opresji, tylko po prostu do Rosjan. Taka jest przygotowana dawno forma na ten śmierzący paszтет.

Ale nasi koncesjonowani narodowcy mogą zdziałać tylko za przyzwoleniem Centrali. I to pod warunkiem, że w Rosji również dojdą do wyłączności podobne tendencje. Gdy jednak w Polsce nuworisze nacjonalizmu muszą wracać do form zostawionych przez Obóz Wielkiej Polski, to w Rosji nacjonalizm chcąc-nie chcąc wraca do wzorów zostawionych przez Katkowa.

Pierwszym skutkiem tego nawrotu musi być walka z przeja-wami polskiej samodzielności i narodowej odrębności. Rachuba, że tym razem coś się odmieni, oparta jest tylko na pobożnych życzeniach.

Trzeci element tego spadku jest najwyżej w półoficjalnej polityce ceniony. Już dawno z uznaniem pisze się i mówi o pre-kursorskiej roli endecji, orientującej się na walkę z naporem niemieckim w oparciu o Rosję. Ale istota koncepcji Dmowskiego była bardzo szczególnie wariantem tej orientacji. Da się streścić tak: bezwarunkowa lojalność wobec rządu rosyjskiego, żadnych stosunków ze społeczeństwem. Albo prościej — zamiast buntować się z czeladzią, lepiej trzymać się pańskiej klamki.

Wyjednać pomoc rządu rosyjskiego dla polskich żądań naro-dowych można było, jak sądził Dmowski, w zamian za pomoc dla Rosji w zachowaniu *status quo*. Zachowanie tego *status quo* było możliwe tylko pod warunkiem odcięcia się Polaków od fer-mentu nurtującego samą Rosję i jej narody. Stąd programowa separacja od wszelkich kontaktów z rosyjskim społeczeństwem i jego kulturą była dla Dmowskiego nie tylko spełnieniem szo-winistycznego postulatu, lecz przede wszystkim roztropną odpo-wiedzią na polityczne zamówienie carskiego rządu.

Jak wie każdy uczeń, nie rząd carski wyrzekł się zaboru i uznał niepodległość Polski, lecz właśnie rosyjskie partie postępowe i rewolucyjne, gdy tylko carat obaliły.

Dzisiaj podobna rachuba jest nie mniej wątpliwa. Dowód dała sprawa czeska. Przez dwadzieścia lat Czechosłowacja była najposłuszniejszym i najbierniejszym członkiem Obozu. Jej przy-wódcy chyba przypuszczali, że realizują pewien rozumny plan. Nie trzeba sądzić, że wszyscy uważali ślepe posłuszeństwo za cel sam w sobie. Myśleli pewno, że to najbardziej popłaca. W 1956 roku odcięli swój kraj nie tylko od węgierskich szaleństw i pol-skich wybrków, lecz również od rosyjskiej odwilży.

Olbryzmia większość obywateli Czechosłowacji (łącznie z Dub-czekiem) właśnie dlatego była zupełnie zaskoczona inwazją, że wierzyła, iż dwadzieścia lat całkowitego posłuszeństwa daje pra-wo do minimum zaufania. Na zdrowy rozum — powinno dawać. Ale okazało się inaczej. Przede wszystkim ze względu na groźny przykład dla obywateli ZSSR. Jeżeli gdzieś socjalizm może być lepszy, to znaczy że w Rosji jest gorszy.



Centralną pozycję w książce Gustawa Herlinga-Grudzińskiego zajmuje szkic *Realizm rosyjski*. Jest w nim mowa o powieści Aleksandra Sołżenicyna *W krugie pierwom*. Szkic jest treściwy, pęka od informacji i cytatów. W zakończeniu Herling-Grudziński przytacza sentencję markiza De Custine z *Listów z Rosji*: rezy-gnacja rządzonych jest siłą rządzących. Sołżenicyn rysuje się autorowi *Upiórów rewolucji* jako zaprzeczenie tej rezygnacji.

Ale chodzi o to, że problemem dla rządzących stają się wcale nie tylko intelektualści, świadomi swojego programu, pełni deter-minacji, wybitni, dojrzały politycznie, cieszący się rozgłosem.

Jednym z najciekawszych bohaterów powieści Sołżenicyna jest Inocenty Wołodin, młody urzędnik służby dyplomatycznej, ustosunkowany, wykształcony, ale wcale nie bohater i w sumie sta-nowiący przeciętne uosobienie cech charakteru i mentalności swojego pokolenia urodzonego i wychowanego już po rewolucji.

Ważną rolę w powieści zajmuje opis metamorfozy Wołodina: w szafie zmarłej matki, wśród żalonych pamiątek i rupieci znaj-duje pisma i książki, które każą mu zapomnieć o świecie i jego wyraźnych prawach. Ów motyw „książek zbójceckich” wraca czę-sto w tej powieści. Niezawilej umiejętności czytania zawdzięcza Wołodin swoją przemianę. Nie staje się bohaterem, cierpi męki strachu, ale raz na zawsze przestaje być nieświadomym narzę-dziem.

Człowiek ten ryzykuje całą przyszłość i karierę, bez żadnych określonych programów politycznych: w obronie innego, mało sobie znanego człowieka decyduje się dać wyraz odruchowi su-mienia i krzyżuje cały przemyślny plan NKWD. Siły represji i terroru ponoszą w istocie klęskę wtedy, gdy nieludzkością

swoich planów same prowokują ludzki odruch w przeciętnym, normalnym człowieku.



Represje wymierzone w literackich nonkonformistów w istocie skierowane były zawsze przeciw ich czytelnikom. W dzisiejszym ZSSR zatem — przeciwko bardzo już znacznej warstwie inteligencji. Ta warstwa w państwach socjalistycznych stale rośnie. Aleksander Werth w swojej ostatniej książce stwierdził, że ZSSR dysponuje największą w świecie ilością ludzi nowoczesnie wykształconych. Prócz powszechnego obowiązku szkolnego, wymogi przemysłu prowadzą do radykalnych zmian społecznych w składzie tej warstwy. Stalin pchał dzieci robotnicze do paroklasowych szkół fabrycznych, dziś fabryki domagają się nie czarnoroboczych, tylko techników. Istnienie i liczebność tej warstwy są już ważnym warunkiem dalszego istnienia samego państwa sowieckiego, a w każdym razie — dotrzymania przez nie kroku konkurencji naukowej, przemysłowej i zbrojeniowej reszty świata. Ale tak było już dość dawno.

Nowym elementem jest tu taka sytuacja, w której niebezpieczne dla państwa staje się już wprawienie tej warstwy w stan zastraszenia i bierności. Rosja nie może sobie więcej pozwolić na gospodarkę opartą na pracy przymusowej i naukę zależną od odkryć w więziennych *szarazkach*.

Nie jest to bowiem kraj prowincjonalny, mimo wszystko. W rywalizacji z USA nikt go nie zastąpi nawet na chwilę. Z ledwością już jej tempo wytrzymuje. Nie tylko w dziedzinie badań kosmicznych. Dlatego jest mało prawdopodobne, aby zdecydowano się teraz w ZSSR na zastosowanie marcowych eksperymentów. Tylko na bocznym torze, nad Wisłą można było pozwolić sobie na zbytek przyhamowania procesów rozwojowych przez rozproszenie i zastraszenie jutrzejszych inżynierów, filozofów, matematyków i humanistów.

To prawda, że w ZSSR ta warstwa specjalistów jest podzielona, że marzy o świętym spokoju, że jest zajęta dorabianiem się, zależna od posad, tradycyjnie opluwana, sekowana, przekonana o własnej małości. Ale jest coraz bardziej świadoma konieczności zmian i poszerzenia demokratycznych praw. I właśnie dla tego że jest pozbawiona zaufania biurokracji, nie straciła zaufania mas.

W ogromnej większości żywi naiwne przekonania ewolucyjne, wcale nie jest skłonna do rebelii, czy nawet do biernego oporu. To nie ona uruchomi samobójczy mechanizm systemu. Ale do koniecznego wzmocnienia jej inwencji i wydajności pracy zupełnie niezbędne jest minimum luzu duchowego.

Ważę tu słowa i wzdrygam się przed nowymi pustymi formułami zakładającymi automatyczne, bezosobowe dzianie się.

Ale jeżeli pisarz w ogóle cokolwiek „wraża” poza własnymi myślami i przeczuciami, to zagrożeni dziś represjami pisarze rosyjscy są klasycznymi wyrazicielami niecierpliwości, obsesji,

gniewu i nadziei właśnie tej części społeczeństwa sowieckiego, od której zależy bezpośrednia przyszłość, a może i sam byt kraju.

Zresztą wszelkie prorocтва i ryczałowe sądy — zwłaszcza lekceważące — na temat Rosji, jej problematyki i przyszłości nie budzą zaufania. Dekabryści z 1825 roku prawie wszyscy 10 lat wcześniej byli okupantami: wchodzili w skład korpusu rosyjskiego, który po Waterloo wkroczył do Paryża.

We Francji została po tym epizodzie właściwie tylko jedna pamiątka — słówko *bistro*, spadek po kozakach którzy, jak wiemy, nie lubią długo czekać na wódkę.

W Rosji ta okupacyjna wyprawa miała trochę poważniejsze skutki.

Inna rzecz, że dały na siebie czekać.

Hanna KOSTEK

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 180 — SERIA „DOKUMENTY”

KOMUNIZM Z LUDZKĄ TWARZĄ

Pełne teksty „Programu Akcji” i „2000 słów”, będących u podstaw rewolucji czechosłowackiej. Słowo wstępne *Juliusza Mieroszewskiego*.

Str. 88

Cena egze F. 10 (dol. 2,25; 18 sh. 6 d.)



TOM 181 — WITOLD GOMBROWICZ

FERDYDURKE

Tom I-szy „DZIEŁ ZBIOROWYCH”, niedawno zmarłego Autora.

Str. 292

Cena egz. F. 24 (dol. 5; 40 sh.)

POWIEDZ IM...

Powiedz im, że duch odbrzmiał myśli wiecznej,
Nerwy że poszły palcami na klawisz,
Uginający się i niebezpieczny
Most nad przepaścią...

...oni, że ich bawisz,
Szepną i chrząkną, i krzesty swojemi
Stwierdzą, że siedli, i że są na ziemi,
I że istnieją na planecie, który
Niesie ich rączy — a pono do góry!...

Więc ty im rzeknij, że żywot i słońce
Zatrzymał człowiek na włosie pędzlowym,
Jako na rzesach ducha, że w bezkońce
Otchtëni wziera spojrzeniem takowem...
Oni, to słysząc, utną nos, by jasno
Stwierdzić, że czujni są i wraz nie zasną.
A przeto krzyknij już, że w Betlejemie
Bóg się narodził...

...i że więc co roku
Cieszą się ludzie — zaś niebici w ciemie
Jadają sporo, na sianie, o zmroku,
Pod rozżarzonej konstelacji znakiem:
Jadają ryby, miód i kluski z makiem!

Cyprian NORWID

1875

Proces

1. Dwutygodniowy proces pięciu młodych intelektualistów w Warszawie zakończył się 24 lutego wyrokiem skazującym Macieja Kozłowskiego na cztery i pół roku, Jakuba Karpińskiego na cztery lata, Krzysztofa Szymborskiego na trzy i pół roku, Marię Tworkowską na trzy i pół roku i Małgorzatę Szpakowską na trzy lata więzienia. Skazani skorzystają z częściowej amnestii i z zaliczenia okresu spędzonego w więzieniu śledczym. Proces warszawski nazwała sama komunistyczna prasa polska procesem przeciw *Kulturze*. Cały akt oskarżenia sprowadzał się do zarzutu utrzymywania przez podsądnych kontaktu z naszym miesięcznikiem: dostarczania nam w ten czy inny sposób materiałów dokumentarnych i publicystycznych z Polski, przemykania do Polski *Kultury* i jej wydawnictw książkowych. Był to typowo totalitarny proces przeciw opiniom i poglądom, nie posiadający żadnego uzasadnienia prawnego nawet w ramach formalnego ustawodawstwa polskiego. Najlogiczniej zachował się jeden z oskarżonych, Karpiński, asystent socjologii UW, odmawiając odpowiedzi na pytania prokuratora i obrońcy: co było dobitnym wskazaniem — potwierdzonym zresztą przez młodego socjologa *expressis verbis* w krótkim wyjaśnieniu — bezprzedmiotowości aktu oskarżenia.

2. Niezmiernie surowe wyroki należy sobie, być może, tłumaczyć odruchem wściekłości władz wobec całkowitego załamania się — dzięki odważnej w sumie i godnej postawie oskarżonych — celów jakie postawiono procesowi. Były one dwa. Skompromitować *Kulturę* w oczach opinii publicznej na Zachodzie, zwłaszcza we Francji gdzie jest wydawana (jak wiadomo, ten zabieg połączono w Warszawie z równoczesną, prostacką i śmieszoną, próbą nacisku na Francuzów w trakcie rokowań francusko-polskich by zlikwidowali lub co najmniej skrzepowali działalność naszego mie-

sięcznika w Paryżu). I skompromitować *Kulturę* w oczach polskiej opinii publicznej, jako „agenturalną komórkę szpiegowską” ukrytą za parawanem walki ideologicznej i politycznej o ludzkie oblicze socjalizmu w Polsce. Fiasko jest jedynym słowem na określenie wyników tej zaplanowanej w Warszawie, podwójnej operacji. Niemal wszystkie doniesienia i komentarze prasy zachodniej zignorowały insynuację skierowaną pod naszym adresem w procesie przez jego organizatorów; nawet rzymska *Unità* pokwitowała proces warszawski z nieukrywaniem zakłopotaniem, dając tym świeży dowód, że od czasu kampanii antysemitki i inwazji Czechosłowacji komunistom włoskim zdudziło się automatyczne żyrowanie każdego nowego wynalazku polskich towarzyszy. Jeżeli o „działalności szpiegowskiej” naszego miesięcznika ma świadczyć zainteresowanie kanałem Odra-Dunaj czy nastrojami w garnizonach sowieckich stacjonowanych w Czechosłowacji, to szpiegiem jest każdy wolny dziennikarz i publicysta interesujący się na serio sytuacją w Europie Wschodniej i jej problematyką gospodarczo-polityczną. W wypadku *Kultury*, pisma polskiego *par excellence* zaangażowanego politycznie i z tego tytułu zmuszonego do ukazywania się za granicą, to już nie tylko dobre prawo ale elementarny obowiązek. Nie mniej absurdalne były w procesie pomówienia nas o to, że jesteśmy „agenturą amerykańską”. *Kultura* zarabia sobie na status niezależnego miesięcznika, zdolnego do wysyłania i przemykania do Polski około tysiąca egzemplarzy każdego swego numeru, pięcioma tysiącami egzemplarzy które abonują lub kupują emigracyjni czytelnicy polscy rozproszeni po całym świecie.

3. Kartę „szpiegowską” usunięto w końcu z talii (podobnie jak „syjonistyczną” po pierwszych dwóch dniach rozprawy), koncentrując się na atutowej „amerykańskiej”. Powołano tu „rzeczoznawcę” w osobie „doktora” Janusza Kolczyńskiego, dyrektora „instytutu badawczego Wschód-Zachód”, który na życzenie sądu powtórzył swój dobrze znany i popisowy trick wyciągnięcia z jednego kapelusza trzech tuczonych dolarami ze wspólnego koryta królików: Kongresu Wolności Kultury, Wolnej Europy i *Kultury*. Właściwa to okazja, żeby pewne rzeczy raz na zawsze wyjaśnić. Przy całym szacunku dla wielu wybitnych pisarzy związanych tak czy inaczej z Kongresem Wolności Kultury, nie łączyły nas z nim nigdy żadne nici subwencyjne. Przy całym uznaniu (choćby nawet czasem krytycznym) dla dorobku i zasług Wolnej Europy, nie łączyło nas z nią nigdy nic poza normalną współpracą i wymianą dziennikarską. Ilekroć otrzymywaliśmy jakkolwiek pomoc finansową od naszych przyjaciół amerykańskich, była ona czarno na białym uwidaczniata w druku. Fundacja *Lilly Endowment* przyznała nam w swoim czasie *grant* w wysokości dwu-

dziestu tysięcy dolarów na wydanie szeregu książek w serii *Archivum Rewolucji*, dzięki Fundacji Forda mogliśmy wydać numer specjalny poświęcony współczesnej kulturze amerykańskiej. Niejednokrotnie zasilali nas materialnie prywatni Amerykanie (jak na przykład Charles Merrill który ułatwił nam między innymi wydanie *Kontynentów* Miłosza i *Doktora Żiwago*), co było w każdym poszczególnym przypadku ujawniane z podaniem imienia i nazwiska ofiarodawcy. Listy wpłat na fundusz *Kultury* publikujemy w każdym numerze pisma. Zdarzają się w nich niekiedy pozycje anonimowe: dla „badaczy” z instytutu Wschód-Zachód znakomita poszlaka maskowanych w ten chytry sposób dotacji CIA. Gdyby zwrócili uwagę że są to przeważnie sumy bardzo skromne, nacelowaliby może teleskopy „badawcze” we wschodnim kierunku swego rozległego pola obserwacji: te tajemnicze wpłaty anonimowe pochodzą w większości bądź od przyjezdnych z kraju, bądź od ludzi w ten czy inny sposób uzależnionych od władz krajowych. Tak wygląda rzeczywistość: zwrotna pożyczka z 2 Korpusu na rozpoczęcie działalności, dom zakupiony ze składek, dochody z prenumerat i ze sprzedaży pisma oraz książek, rejestrowana skrupulatnie pomoc przyjaciół i czytelników, cztery osoby wykonujące pracę która przy zastosowaniu norm wydajności i inteligencji przyjętych w instytucie Wschód-Zachód wymagałaby zatrudnienia (po odpowiednim przeszkoleniu) czterdziestu osób. Nie o skompromitowaniu *Kultury* mówi w swoim komentarzu *Neue Zürcher Zeitung*, ale o „gruntownym skompromitowaniu w ciągu dwóch tygodni polskiego systemu policyjnego”.

4. W odniesieniu do opinii publicznej w Polsce proces nie tylko nie spełnił swego zadania, lecz przeciwnie: według wszelkiego prawdopodobieństwa (a można się tu powołać na świadectwo korespondenta *Le Monde* w Warszawie) wywołał skutek wręcz odwrotny od zamierzonego. *Kultura*, znana dotąd głównie w polskim środowisku intelektualnym, została nagle „odsłonięta” setkom tysięcy Polaków, którzy najczęściej nie wiedzieli o samym jej istnieniu. Dotyczy to również odgłosów prasowych procesu w Czechosłowacji, na Węgrzech, w Bułgarii, i przede wszystkim w ZSSR (charakterystyczny pod tym względem jest artykuł *Literaturnoj Gaziety*). Powstaje naturalnie pytanie dlaczego rozpętało aż tak szeroko zakrojoną i hałaśliwą akcję wokół miesięcznika emigracyjnego w Paryżu, z trudem torującego sobie drogę do inteligencji polskiej w kraju i rzadko wpadającego do rąk nielicznych czytelników w innych krajach bloku sowieckiego. Londyński *Times* pisze: „Proces warszawski jest bez wątpienia wyrazem dążeń do zneutralizowania skutków polskiej rewolty studenckiej w marcu 1968 roku i wpływów czechosłowackiego ruchu reformy. Usiłując poprawić obecnie swoje stosunki z Zachodnią Euro-

pą, władze polskie obawiają się niewątpliwie wzrostu wpływów radykalnych poglądów lewicowych z Zachodu". Tę diagnozę potwierdziły najpełniej podczas procesu wypowiedzi głównego oskarżonego, młodego archeologa i dziennikarza Kozłowskiego, a do pewnego stopnia także wypowiedzi młodego biofizyka Szymborskiego oraz zeznania doprowadzonych w charakterze świadków na rozprawę z więzienia (gdyż w przygotowaniu są dalsze procesy) innych przedstawicieli polskiej młodzieży uniwersyteckiej. Marzec 1968 i Czechosłowacja odegrały rolę sprężyn, podrywających do działania młodą polską inteligencję socjalistyczną. Fala brutalnych represji zmusiła część tych młodych ludzi, początkowo nastawionych wyłącznie na pracę w kraju, do szukania pomocy za granicą. Ich wybór padł na *Kulturę*. Rzecz jasna, ten wybór nie był kwestią przypadku. Zdecydowała o nim orientacja polityczna naszego miesięcznika. *Kultura* była i jest nadal (mimo chwilowej porażki „nowego kursu” czechosłowackiego) przekonana, że walka o socjalizm z ludzką twarzą w całej Europie Wschodniej, łącznie z Rosją, przybierać będzie różne formy, przeżywać będzie okresy większego czy mniejszego nasilenia, lecz nie ustanie. Jest o tym widocznie przekonana również Moskwa, skoro niedawno skończyła tam swoje debaty międzypartyjna konferencja poświęcona „niebezpieczeństwu rewizjonizmu”, a wkrótce potem zwołano analogiczną naradę w Sofii. Byłoby z naszej strony objawem megalomanii, gdybyśmy sobie przypisywali odpowiedzialność za nagłe ożywienie „ideologiczne” konserwy komunistycznej. Jest ono po prostu reakcją na szerzącą się coraz bardziej „zarazę w Grenadzie”. W bloku: bezkrawa i stłumiona czołgami rewolucja czechosłowacka, polska rewolta studencka, nieustający ferment wśród inteligencji sowieckiej, książka Bienkowskiego. Na Zachodzie: Garaudy i Sartre we Francji, *Il Manifesto* we Włoszech, Fischer w Austrii.

5. Uderza w tym wszystkim rola inteligencji. Powiedział ktoś, że *Kultura* jest wynurzonym nad powierzchnię wody wierzchołkiem ukrytej góry lodowej inteligencji polskiej. Sporo w tym prawdy, ale wypadłoby raczej podkreślić, że inteligencja polska jest wynurzającym się stopniowo wierzchołkiem podwodnej góry lodowej robotników polskich. Proces warszawski nie odbywał się — jak zapewniali na wszelkie sposoby swoich czytelników jego „komentatorzy” w prasie krajowej — w społecznej i narodowej próżni. „Polska rewolucja kulturalna” Gomułki i Moczara postawiła sobie za cel likwidację inteligencji polskiej, lub przynajmniej zmuszenie jej do milczenia. W imię czego? Tylko w imię nienawiści „ciemniaków” do „mędrkowania”, czy postulatu „zmiany warty” wysuwanego przez nowy prymitywny narybek aparatu biurokratycznego i partyjnego? Na pewno nie. Za „rewolucją kultu-

ralną” w wydaniu nadwiślańskim krył się i dalej kryje strach przed polską klasą robotniczą, przed takim samym sojuszem inteligencji i robotników jakiego byliśmy (i wciąż w znacznej mierze jesteśmy) świadkami w Czechosłowacji. Sytuacja gospodarki polskiej jest katastrofalna, przyznał to nawet Gomułka w nieogłoszonym drukiem podsumowaniu obrad IV Plenum. W polskich zakładach przemysłowych mnożą się utajone pod postacią masowego absenteizmu, i zatajane oczywiście przez prasę, strajki. (Zjawisko zresztą nie odosobnione w bloku. Sowieckie *Waprosy Ekonomiki* opublikowały ostatnio alarmujący artykuł ekonomisty Manewicza, z którego wynika że absenteizm w przemyśle przybiera w ZSSR rozmiary epidemii i zatacza z roku na rok szersze kręgi: w samym roku 1966 odpisano na straty 72 miliony dni pracy. Nie są to może strajki?). O takim kontekście procesu warszawskiego ośmielają się „publicyści” reżymowi w Polsce pisać jako o społecznej i narodowej próżni.

6. Proces zaczął też o miejsce Polski w Europie, gdy mowa była o naszym „zdradzieckim” stanowisku w sprawie granicy na Odrze i Nysie oraz o projektach federacji polsko-czechosłowackiej i międzynarodówki młodzieży. Od początku swego istnienia *Kultura* stała na gruncie nowej granicy polskiej na Zachodzie i wzywała NRF do tej właśnie normalizacji stosunków niemiecko-polskich, która dziś zdaje się być jednym z punktów polityki zagranicznej Brandta. Jeżeli cokolwiek niepokoi nas na przyszłość, to tylko to że zamiast ułożyć rzeczywiście współzycie z narodem polskim Niemcy ograniczą się do zapłacenia w Warszawie łapówki gospodarczej w drodze do Moskwy. Projekt federacji polsko-czechosłowackiej nie przypadłby z pewnością do gustu Breżniewowi (jak w swoim czasie nie przypadł do gustu Stalinowi podobny projekt Tity i Dymitrowa), ale nie ma powodu żeby wywoływał aż takie zgorzenie w Warszawie. Sęk jednak w tym, że Moskwa dba skrupulatnie o to by Polacy wyzbyli się na amen jakiegokolwiek myśli nawet o swojej roli w Europie Wschodniej. Od lat atakuje nas prasa sowiecka. Za co? Za próbę autentycznego a nie wymuszonego siłą dialogu z Rosjanami, za podejmowany konsekwentnie i z uporem wysiłek zbliżenia do Ukraińców, Białorusinów i Litwinów, za to że rozumiemy i wybijamy nieustannie na pierwszy plan słabość imperium nowych carów w obliczu nadciągającego konfliktu chińsko-sowieckiego. Nawiasem mówiąc, w zupełnej niezgodzie z polityką przyszywanych nam przez instytut Wschód-Zachód „mocodawców amerykańskich”.

7. Pięciu podsądnych w procesie warszawskim skazano ostatecznie, po cichym wycofaniu argumentów „szpiegowskich” i pokrewnych, za „szkodzenie dobremu imieniu Polski i interesom

socjalizmu". Zdaniem korespondenta *Le Monde* w Warszawie „nadszedł moment by zadać sobie pytanie czy raczej tego rodzaju procesy nie wyrządzają bez porównania większej szkody dobremu imieniu Polski i interesom socjalizmu”. Traf chciał że w dniu odczytania wyroku w procesie warszawskim wydano w Pradze dekret o pozbawieniu obywatelstwa czterech wybitnych reprezentantów czechosłowackiego ruchu reformy, przebywających za granicą: Szika, Switaka, Pelikana i Rambuszka. Tylko traf? Proces warszawski i dekret praski wskazują, że rośnie znaczenie emigracji politycznej w toczącej się walce. Kiedy na sali sądowej w Warszawie jeden z oskarżonych przytoczył zdanie redaktora *Kultury* że „Polska nie leży jedynie nad Wisłą”, rozległ się ponoć wybuch śmiechu. Jeśli w istocie tak było, i jeśli śmiejący się nie wypełniali najzwyczajniej zawodowego obowiązku *Lachenführer*ów (jak mawiał Boy) wysyłanych czasem przez policję do sądu za drobną opłatą, trudno o nich myśleć bez uczucia głębokiego wstydu. W kraju Wielkiej Emigracji, w kraju gdzie uczą w szkołach o przedrewolucyjnych emigrantach rosyjskich... Podobną refleksję budzą mniej albo więcej przejryste aluzje o „lekkomyślnym i daremnym narażaniu ludzi”. Każda ofiara w walce o wolność jest tragedią, ale kiedy w historii wolność gwarantowała gotowym do walki o nią życie bez ofiar?

Archiwum polityczne

Może zdarzyć się i tak

Gdy byłem małym chłopcem — podobnie jak moi rówieśnicy — interesowałem się znaczkami pocztowymi. W owych czasach poczta austriacka wydała piękny, podłużny znaczek z profilowym portretem trzech starszych panów i cesarza: Franciszka Józefa i Wilhelma oraz Sułtana tureckiego. W owej epoce sułtan turecki był równy w swym dostojenstwie dziekanowi monarchów europejskich Franciszkowi Józefowi — nie mówiąc o cesarzu Wilhelmie, który był najpotężniejszym władcą na kontynencie. Dziś nie ma śladu z sułtana, który był „spokrewniony z ciałami niebieskimi” — i można czytać prasę światową miesiącami i nie spotkać słowa „Turcja”. Imperia jak Turcja, Austria a nawet w pewnym stopniu Anglia — przemieniły się w „Szwecję” — z tym, że nie we wszystkich nowych Szwecjach panuje taki ład jak w Szwecji autentycznej.

Czy Polska również mogłaby się przekształcić w Szwecję?

Historycy przeanalizowali przyczyny, które spowodowały upadek imperiów europejskich. Nasi historycy nie robią nic innego od stu lat tylko analizują przyczyny upadku Polski imperialnej. Jasienica uważa na przykład, że zawiniła nie tyle szlachta ile magnateria. To jest teza, która nie wydaje mi się przekonywującą. Magnaci w owych czasach byli wszędzie i wszędzie zachowywali się bardzo podobnie.

Wydaje mi się, że szereg przyczyn, które spowodowały upadek Pierwszej Rzeczypospolitej — można zredukować do dwóch punktów: uwiązaniu myśli politycznej oraz zmiany sytuacji geo-politycznej. Taką zmianę w sytuacji geo-politycznej przyniósł wzrost potęgi Rosji. To zagrożenie wymagało wybitnej myśli politycznej ze strony Polski — i tej myśli brakło.

Trzeba było kreować wielkiego hetmana Kozaków i Ukrainie dać całkowitą autonomię. Trzeba było kreować hetmana tatarskiego — z buławą, z buńczukiem o statusie równym wszystkim innym hetmanom. Gdyby polscy Tatarzy traktowani byli za żołnierzy z otwartą drogą do szlachectwa — kto chciałby służyć

Chanowi, który traktował ich jak niewolników? Lecz dla Kozaka czy Tataru istniała tylko jedna droga do nobilitacji a mianowicie całkowita polonizacja. Naszym ideałem i pomnikiem polityki narodowościowej był pan Longinus Podbipięta, który wprawdzie był urodzonym Litwinem, lecz nie umiał słowa po litewsku. Przez politykę narodowościową nie rozumieliśmy nigdy *partnership'u* tylko zawsze wynarodowienie.

Gdyby Polska niepodległa z okresu dwudziestolecia — przynależała była Małopolsce Wschodniej szeroką i autentyczną autonomię — gdyby język ukraiński był językiem urzędowym na równi z językiem polskim — gdybyśmy byli ufundowali we Lwowie ukraiński uniwersytet — wówczas Ukraińcy musieliby dojść do wniosku, że za partnerów traktują ich Polacy a nie Rosjanie. Wówczas byłoby lojalni w stosunku do Polski ponieważ traktowano by ich za równorzędnych partnerów w wielonarodowej Rzeczpospolitej.

Gdy byłem małym chłopcem śpiewałem w szkole: „obok Orła znak Pogoni — poszli nasi w bój bez broni...”. Dziś nie ma Pogoni obok Orła polskiego i Litwini nie życzą sobie unii z Polską. Ukraińcy doczekali się wolnego uniwersytetu w Monachium lecz nie w polskim Lwowie.

Jesteśmy zawsze pierwsi do krytykowania narodowościowej polityki rosyjskiej, lecz nasza polityka narodowościowa pozostawała niezmiernie wiele do życzenia. W rezultacie tak jak Polacy głoszą hasło „ani z Rosją ani z Niemcami” — tak Ukraińcy, Litwini i Białorusini głoszą hasło „ani z Rosją ani z Polską”.

Przedmiotem tych rozważań nie są zagadnienia narodowościowe. Pragnąłem tylko wykazać, że ponieważ sami nie umieliśmy prowadzić polityki partnerstwa w stosunku do innych narodów — nie wierzymy by ten typ polityki był możliwy z Rosją, która jest wielokrotnie potężniejsza od naszych ex-kandydatów na partnerów.

Oczywiście przyczyną upadku Pierwszej i Drugiej Rzeczpospolitej były nie tylko nasze błędy lecz również konfiguracja geopolityczna. Nasi sąsiedzi tzn. Rosja i Niemcy z każdą dekadą przerastają nas coraz bardziej liczebnością i potencjami przemysłowymi. Kilkakrotnie w moich artykułach przytaczałem cyfry ilustrujące ową dysproporcję, która rośnie w postępie geometrycznym na naszą niekorzyść. Na pierwszy rzut oka wydawać by się mogło, że tkwi w tej sytuacji jakiś dziejowy fatalizm, przed którym nie ma ucieczki.

Termin „geopolityka” zawiera w sobie dwa pojęcia: geografii i polityki. Warunki geograficzne nie ulegają większym zmianom — natomiast czym jest w istocie dany obszar geograficzny o tym decyduje koniunktura polityczna. W jednym okresie dany obszar geograficzny może stanowić kwitnące mocarstwo — w następnym okresie ten sam obszar może ulec „bałkanizacji”. Będziemy zawsze w sensie geograficznym sąsiadowali z Rosją i z Niemcami — lecz to nie oznacza, że to sąsiedztwo będzie zawsze miało ten sam wyraz polityczny jak w ubiegłych dwustu latach.

Nim podejmiemy dalsze rozważania — chciałbym pewną sprawę wyjaśnić. Zamierzam przedstawić Czytelnikom model sytuacji, który w wielu punktach odbiega od tego co pisałem do tej pory. Liczni krytycy komunistyczni trudnią się zawodowo wykrywaniem sprzeczności w moich pracach. Cytatami z Biblii, z Marksa czy z Lenina — można — jak wiadomo — udowodnić absolutnie wszystko. Podobnie jest z autorami mniejszego kalibru, jak piszący te słowa. Mój sąd o Niemczech w ostatnich latach uległ pewnym zmianom. To nie oznacza, że popadam w sprzeczność z tym co pisałem o Niemczech 15 lat temu. Oznacza to tylko, że sytuacja w Niemczech uległa ewolucji i skutek tego musi być dziś inaczej interpretowana.

Odrębny gatunek publicystyki stanowią artykuły spekulatywne. W oparciu o zaobserwowane *trend'y* w sytuacji międzynarodowej — publicysta stara się zbudować model układu ku któremu zmierzamy. Model spekulacyjny jest tylko wariantem sytuacji, wariantem jednym z wielu możliwych i nie należy traktować go inaczej. Z drugiej strony warto podkreślić, że nie ma polityki bez spekulacji. Trzeba być przygotowanym na wszystkie ewentualności jeżeli nie chce się być martwym pionkiem, przesuwanym z miejsca na miejsce.

Artykuł niniejszy jest spekulacją. Niemniej muszę podkreślić, że obserwując uważnie scenę międzynarodową — z każdym miesiącem skłaniam się ku pogładowi, że wariant, który zamierzam przedstawić jest więcej niż prawdopodobny. Gdybym myślał inaczej, nie napisałbym tego artykułu.

Wydaje mi się, że historyczny układ, który powodował uwieszenie nas pomiędzy Rosją a Niemcami dobiega kresu. Wydaje mi się również, że tradycyjna polityka rosyjska będzie musiała ulec rewizji — ponieważ Rosji nie zagraża dziś nic ze strony Zachodu, tylko ze Wschodu.

Na Niemcy patrzymy historycznie a nie realistycznie. Niemiec, których my się boimy — po prostu nie ma. Francja tak się wykrawiała po pierwszej wojnie światowej, że w pierwszym okresie drugiej wojny światowej — ku zdumieniu świata — poniosła błyskawiczną klęskę. Niemcy w obrębie jednego pokolenia przegrali dwie wojny, a w drugiej wojnie światowej ponieśli totalną klęskę. Reakcje w narodzie niemieckim muszą być daleko głębsze niż reakcje jakie dokonały się w narodzie francuskim po roku 1918. Nie brak argumentów do poparcia tej tezy. Sądzę, że gdyby Traktatem Wersalskim podzielono Niemcy, gdyby odebrano im równie znaczne obszary jak po drugiej wojnie światowej, gdyby w roku 1918 i później zagrodzono im drogę do zbrojeń — również wydajnie jak uczyniono to z bronią atomową po roku 1945 — wówczas Hitler objąłby władzę w Niemczech nie w roku 1933 lecz w roku 1923.

Po drugiej wojnie światowej Niemcy zostały okupowane, poćwiartowane, upokorzone — lecz w trzydziści lat, które upłynęły od wybuchu wojny — Niemcy wyprodukowały tylko operetkowego „Hitlera”, który nie zdobył nawet jednego miejsca w fede-

ralnym parlamencie. Niewątpliwie reakcje Niemiec po pierwszej wojnie światowej i reakcje Niemiec po drugiej wojnie światowej są zdumiewająco różne. Młodzież jest w większości antymilitarystyczna a rewizjonistyczny mit „IV Reich'u” zamiera wraz ze starszym pokoleniem.

Wszystko to może się zmienić lecz w niniejszym wariacie sytuacyjnym przyjmujemy założenie, że Niemcy nie będą już nigdy mocarstwem światowym ani potęgą militarną w skali europejskiej. To zresztą dotyczy nie tylko Niemiec. Anglia czy Francja nie mają również żadnej szansy przekształcenia się w mocarstwa światowe. Epoka mocarstw europejskich należy do przeszłości. Rosja jest w znacznej mierze mocarstwem azjatyckim.

Los Polski i Europy Wschodniej był funkcją stosunków obu naszych potężnych sąsiadów. Z chwilą gdy zmienia się pozycja tak Niemiec jak i Rosji — zmienia się również układ sytuacyjny, który dominował w naszym rejonie Europy niemal od dwustu lat.

Na czym polega zmiana pozycji Rosji i Niemiec? Niemcy — jak zaznaczyłem powyżej — przestały być tym czym były tzn. najpotężniejszym militarnym mocarstwem na kontynencie Europy. Rosja natomiast „zyskała” od wschodu potężnego, wrogiego sąsiada, który zmienił azjatycki *balance of power*.

Akceptujemy pogląd Joan Robinson'a i wielu innych znawców przedmiotu, że Chiny przed upływem bieżącego stulecia będą wielkim sukcesem tak w sensie gospodarczym jak i militarnym.

Podkreślałem na tych łamach, że Rosja nie ma polityki w stosunku do potężnych Chin. Potężne Chiny stanowią całkowicie nowy element w rosyjskiej polityce dalekowschodniej. Tradycyjna polityka rosyjska opierała się na przesłance, że Chiny są wielokrotnie słabsze od Rosji i nie mogą stanowić dla niej zagrożenia. Nic więc dziwnego, że w opinii wielu wybitnych sowietologów — problem Chin stanowi obecnie centralne zagadnienie polityki sowieckiej.

Jak więc widzimy sytuacja naszych zaborczych sąsiadów ulega głębokim przemianom — co wcześniej lub później musi spowodować zmianę układu w Europie Wschodniej.

Prof. Toynbee obliczył, że na przestrzeni ubiegłych wieków ataki inwazyjne przeciwko Rosji szły dwudziestokrotnie z Zachodu. W ramach modelu, który prezentujemy Czytelnikowi — przyjmujemy, że dwudziestej pierwszej inwazji Rosji od strony Zachodu nigdy nie będzie. Daleko łatwiej wyobrazić jest sobie czołgi sowieckie nad kanałem angielskim niż czołgi NATO pod Leningradem. Rosji od strony Zachodu nic nie zagraża.

Jeżeli Chiny — jak zakładamy — będą potężnieć z dekady na dekadę — Rosja będzie musiała szukać sojuszników nie przeciwko Niemcom, ale przeciwko nuklearnie uzbrojonym Chinom. Lecz co innego było mobilizować opinię Polaków, Czechów czy Węgrów przeciwko Niemcom, a co innego jest szukać sojuszników w Europie Wschodniej przeciwko Chinom. Nie trudno sobie wyobrazić nastroje żołnierzy ukraińskich na dalekim wschodzie. Co Ukrainiec ma do szukania pod chińskim murem? Wiadomo rów-

nież, że Ukraińcy są bardzo rozgoryczeni faktem, że znaczna część ich dochodu narodowego inwestowana jest na Syberii.

Wyobraźmy sobie, że jutro wybucha wojna rosyjsko-chińska i zapytajmy jakie byłyby reakcje Polaków — największego narodu satelickiego? Warszawiacy mówiliby po cichu, że Chińczycy biją kacapów. Polacy cieszyliby się z każdej przegranej Sowietów. Jako naród nie mamy żadnego szczególnego sentymentu do Chińczyków — odczuwamy jednak szczególną i niemal powszechną nienawiść do Rosjan.

Narody Związku Sowieckiego reagowałyby podobnie. Dlaczego naród ukraiński miałby się wykrwawiać w długotrwałej wojnie z Chinami? Co Ukraińców obchodzą Chińczycy, z którymi nigdy nie mieli żadnego zatargu?

W miarę upływu czasu — w omawianej sytuacji — pomiędzy Polakami a Ukraińcami tzn. pomiędzy dwoma największymi narodami słowiańskimi (wyjąwszy Rosjan) — zaczęłoby się zarysowywać nieoficjalne, niepartyjne lecz faktyczne porozumienie i zrozumienie. Jest oczywiste, że w razie wojny czy poważniejszego kryzysu Rosja nie mogłaby dopuścić do jakiegokolwiek zbliżenia polsko-ukraińskiego ponieważ tego typu *entente* obejmowałaby przeszło 75 milionów ludzi.

Ukraińcy związani są z Rosjanami wiekami wspólnej historii. Z tych przyczyn wyraziłem na tych łamach pogląd, że gdyby Rosja uległa „europeizacji” — gdyby przekształciła się w federację niezależnych narodów — Ukraińcy, być może, woleliby pozostać w orbicie rosyjskiej niż szukać zbliżenia z Polską.

Długotrwała wojna z Chinami mogłaby zmienić powyższą sytuację. Polska wydać by się mogła Ukraińcom daleko bardziej naturalnym i bardziej atrakcyjnym sojusznikiem niż Rosja.

Polacy, podobnie jak Ukraińcy, nie mają najmniejszego powodu czy narodowego interesu wykrwawiać się w Chinach w wojnie, która może trwać latami. Pewien procent tak Ukraińców jak i Polaków jest za porozumieniem z Rosją. Jeżeli jednak zwycięstwo Rosji nad Chinami miałyby oznaczać wzmocnienie totalnej władzy na Kremlu i jeszcze większe uzależnienie jak uprzednio Polski i Ukrainy od Moskwy — w takim wypadku należałoby stwierdzić, że zwycięstwo Rosji w Chinach nie leży w interesie ani Ukraińców ani Polaków. Pragniemy porozumienia z Rosją, lecz nie z Rosją, która jest więzieniem narodów i żandarmem Europy.

W sytuacji jaką rozważamy — w Moskwie zdawano by sobie sprawę, że owego sowieckiego więzienia narodów nie rozbiją Tatarzy czy Kirgizi lecz rozbić je mogą Ukraińcy i Polacy. Ruchy wolnościowe na większą skalę w Polsce i na Ukrainie w chwili gdy Rosja byłaby zaangażowana w Chinach — mogłyby uruchomić łańcuchową reakcję trudną do opanowania. Z tej przyczyny jednym z naczelnych postulatów polityki sowieckiej — byłoby poróżnić Polaków i Ukraińców w myśl wypróbowanej zasady *divide et impera*.

Rosja mogłaby to zrobić łatwo i tanio. Wystarczyłoby Polakom

oddać Lwów, by przekreślić wszelkie szanse porozumienia Polsko-Ukraińskiego. Ukazałyby się komunikat oficjalny, że delegacje partyjno-rządowe polska i radziecka po zbadaniu problemu doszły do przekonania, że Lwów Polakom zabrał Stalin w okresie „błędów i wypaczeń”.

Polacy przekształciłiby tę okazję w drugie Zaolzie. Wmaszerowaliby do Lwowa z rozwiniętymi sztandarami, a w prasie byłoby pełno artykułów na temat powrotu na odwieczne polskie ziemie itp. itd.

Na Ukrainie doszłoby prawdopodobnie do rozruchów, które zostałyby krwawo zgniecione. Ukraińcy byłiby w kleszczach. Po jednej stronie mieliby wrogo nastrojonych Polaków, a po drugiej stronie wrogo nastrojonych Rosjan. Moskwa osiągnęłaby swój ważny cel a mianowicie unicestwienie w zarodku potencjalnych nawet możliwości porozumienia polsko-ukraińskiego.

Odebranie Polakom Lwowa było politycznym błędem z punktu widzenia sowieckiego, ponieważ polski Lwów dzieliłby owe pobratymcze narody — co leży w interesie Moskwy w każdych warunkach, a nie tylko w okresie wstrząsów i kryzysów. Stalin zabrał nam Lwów w układzie rozbiorowym, kiedy zarówno on jak i Hitler nie liczyli się z odbudową Państwa Polskiego. Dlatego nie zdziwiłbym się gdyby Rosjanie w chwili znacznie mniej dramatycznego kryzysu niż wojna z Chinami — zdecydowali się oddać nam Lwów, by wskrzesić nienawiść pomiędzy Polakami a Ukraińcami. Jeżeli problem narodowościowy w Sowietach uległby dalszemu zaostreniu — leżałoby w interesie Moskwy „kupić” sobie Polaków, a przede wszystkim poróżnić ich z Ukraińcami.

Tak oto w momencie korzystnej dla nas koniunktury, kiedy Sowiety uwikłane byłyby w kryzysie wewnętrznym a może i w wojnie — cała nasza przeszłość historyczna obróciłaby się przeciwko nam i uniemożliwiła Polsce wykorzystanie dziejowej szansy.

Uzeregujemy powtórnie przesłanki wariantu sytuacyjnego który omawiamy. Długofalowy proces historyczny wydaje się sprzyjać naszym nadziejom, ponieważ pozycja zarówno Rosji jak i Niemiec ulega zmianie. Niemcy przestały być mocarstwem militarnym? Rosja natomiast znalazła się w cieniu rosnącej potęgi Chin.

Polska nie jest „skazana na wielkość” lecz dzięki swej pozycji geo-politycznej nie może być „Szwecją”. Będziemy albo średnim mocarstwem, które spełnia konkretną rolę w Europie Wschodniej — albo będziemy Królestwem Kongresowym, czy satelicką Polską Ludową czy nie ludową.

Upadek Pierwszej Rzeczypospolitej był spowodowany zwężeniem proporcji pomiędzy Rosją a Polską. Inaczej mówiąc — by przywrócić ową proporcję do znośnych wymiarów — albo Rosja musi być osłabiona, albo Polska wzmocniona.

Terytorium tylko do pewnego stopnia stanowi element potęgi. W moim przekonaniu gdyby Polacy w sprzyjających warunkach odebrali Litwinom Wilno a Ukraińcom Lwów — pozycja Polski *vis-à-vis Rosji* uległaby wybitnemu osłabieniu. Nie liczą się bo-

wiem miasta, tylko liczą się narody. Nie chodzi o zdobycie Wilna i Lwowa, chodzi o zdobycie zaufania i przyjaźni Ukraińców, Litwinów, Białorusinów. W gruncie rzeczy — w porównaniu z przeszłością jesteśmy w uprzywilejowanej sytuacji ponieważ Ukraińcy, Litwini i Białorusini nienawidzą Rosjan. Mądra polska polityka w chwili odpowiedniej koniunktury winna ów fakt wykorzystywać. Jeżeli jednak wskoczmy w buty naszych przodków z XVII wieku — odzyskamy może Wilno i Lwów lecz nie odbudujemy zdrowej proporcji pomiędzy Polską a Rosją. A w końcu tylko to się liczy a nie jedno miasto więcej czy jedno miasto mniej.

Partnership jest zawsze współpracą i rywalizacją. Nikt w tej sprawie nie powinien mieć żadnych wątpliwości. Rosja nie uzna nas nigdy za równorzędnego partnera, dopóki nie uzna nas za rywala na wschodzie Europy. Z kimś niezdolnym do rywalizacji nie ma powodu szukać *partnership'u*. To jest elementarna zasada, która obowiązuje zarówno w polityce jak i w wielkim *business'ie*.

Ktoś powie, że to są „sny o potęgę”, idea jagiellońska itp. Niczego podobnego nie mam na myśli. Przyjdzie chwila kiedy Ukraińcy, Bałtowie i Litwini — będą mieli szanse zdobycia jeżeli nawet nie pełnej niepodległości to w każdym razie autentycznej autonomii. Polska powinna popierać interesy tych narodów w Moskwie i bronić ich przed Moskwą.

Można wysunąć pozornie logiczny argument, że nie mamy powodu poświęcać naszych interesów dla interesów ukraińskich, że nie powinniśmy pogarszać naszych stosunków z Rosją „advokatujać” w sprawie ukraińskiej czy litewskiej.

Istotą stosunków polsko-rosyjskich była zawsze rywalizacja i tę rywalizację przegraliśmy nie bezpośrednio z Moskwą — tylko na Ukrainie. Ówczesnym narodom wschodnioeuropejskim nie mieliśmy niczego do zaferowania poza wyzyskiem i kolonizacją i z tej przyczyny o idei jagiellońskiej Polacy mówią z namaszczeniem a Ukraińcy czy Litwini mówią z odrazą.

Nie proponujemy federacji polsko-ukraińskiej tym mniej nowej wyprawy na Kijów. Lecz, mówiąc obrazowo, wygrać z Rosją możemy tylko na Ukrainie. Przy odpowiedniej koniunkturze odbudować nasz status w stosunku do Rosji — będziemy mogli wówczas gdy narody oddzielające Polskę od rdzennej Rosji będą pewne naszej przyjaźni i poparcia. To nie jest ani imperializm ani idea jagiellońska, lecz zwyczajna, rozsądna polityka. Rozsądna i dalekowzroczna polityka jest rzeczą daleko trudniejszą niż imperializm. Najłatwiejszy, choć katastrofalny w skutkach — jest mini-imperializm jak Zaolzie, czy odebranie przy sprzyjającej okazji małemu narodowi Wilna.

Jedną z tez niniejszego wariantu sytuacyjnego jest pogląd, że o tym czy będziemy czy nie będziemy równorzędnym partnerem Rosji — zdecydują nie Rosjanie tylko Ukraińcy, Litwini, Białorusini, Bałtowie. Jeżeli w korzystnej koniunkturze zdołamy przekonać te narody, że Polska ma im coś więcej do zaferowania niż Moskwa, że nasza polityka nie ma nic wspólnego z imperializ-

mem czy zaborem — wówczas niejako automatycznie odzyskamy naszą utraconą pozycję *vis-à-vis* Rosji. Rozpatrywana w tej płaszczyźnie rezygnacja ze Lwowa jest fragmentem naszej polityki nie w stosunku do Ukraińców, lecz w stosunku do Rosji. Nie możemy ułatwiać Rosji poróżnienia nas z Ukraińcami a nasze żądanie zwrotu Lwowa czy Wilna są wodą na młyny imperialistycznej polityki rosyjskiej.

Powinniśmy również pamiętać, że utrata Lwowa oznaczałaby zupełnie co innego dla Ukraińców niż dla Polaków. Ukraińcy mają piękny historyczny Kijów. Lecz nie mają miast porównywalnych w dziejowym splendorze z Krakowem, Warszawą, Gniezmem, Gdańskiem, Poznaniem — nie mówiąc o Wrocławiu, Katowicach i dziesiątkach innych miast polskich. Dlatego Ukraińcy, gdyby im odebrano Lwów, byłiby znacznie bardziej skrzywdzeni niż my, którzy utraciliśmy Lwów.

Jak zaznaczyłem uprzednio ten artykuł ma charakter spekulatywny. Wychodzimy z pewnych apriorystycznych założeń, jak na przykład wzrostu potęgi Chin i załamania się militarystyki niemieckiego jako instrumentu podboju. Może tak być — może tak nie być.

Natomiast wszystko to co napisałem na temat stosunków polsko-rosyjskich nie jest spekulacją. Niepodległość w polskim rozumieniu oznacza niepodległość od Rosji. Wyjawszy wojnę atomową — na temat której trudno jest nawet spekulować — nie ma przed nami innej drogi wiodącej ku niepodległości jak odbudowanie pozycji Polski *vis-à-vis* Rosji. Wydaje mi się również, że ów cel nie jest możliwy do osiągnięcia inaczej jak poprzez zjednanie przyjaźni i zaufania narodów, które oddzielają nas od rdzennej Rosji. Im więcej będzie się liczył ambasador polski w wolnym Kijowie — tym więcej będzie się liczył ambasador polski w Moskwie.

Nie ma w polityce trudniejszego zadania jak odrabianie własnych błędów, ponieważ tych błędów nie odrobi za nas najkorzystniejsza koniunktura. Te błędy, w sprzyjających warunkach, odrobić mogą tylko sami Polacy — nikt poza nimi.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Widziane z Brukseli

„NIECH SIĘ PAN POSUNIE, REDAKTORZE...!”

Proszę o jedno miejsce, gdzieś z boku, na tej ławce, która przez kilkanaście lutowych dni zajęta była przez 5 młodych Pola-

ków i redakcję Pańskiej *Kultury*. Jest to, wbrew pozorom, propozycja naturalna, pozbawiona sztuczności czy patosu. Inaugurując pisanie — regularnej mam nadzieję — rubryki dla *Kultury*, nie mogę przecież pominąć najbardziej aktualnie wstrząsającego widowiska z wielkiej sceny narodowej. Tym bardziej nie mogę, że jednym genialnym ruchem reżyserom ponurej hecy udało się znowu wprowadzić Polskę na pierwsze strony światowej prasy. Ale na jakie miejsce?!

Kulisy i zasady propagandy Polski Ludowej za granicą, to oddzielny problem, wart specjalnego studium. Na razie i bez większego ryzyka możemy stwierdzić, że — jeżeli wykluczyć sabotaż w Warszawie — jest to propaganda doskonale spreczna z jej intencjami. Przyszły historyk tego okresu wprowadzi obecne władze polskie do podręczników szkolnych, także i za to, że udało im się w ciągu ostatnich lat zakończonego właśnie dziesięciolecia, jak najgorzej przedstawić Polskę wobec opinii publicznej świata. Nawet przecież pewien, nader sprzyjający obecnej Polsce, dziennikarz francuski, który — w chwili ogromnych napięć wewnętrznych roku 1969 — wydrukował w Paryżu ogromny i sielsko-usypiający reportaż o drzewach szumiących wokół puławskiego kombinatu (skąd inąd morderującego naturę w promieniu wielu kilometrów), nawet on nie zdzierzył i gniewnie wyśmiał rozpaczliwy pomysł, jakim była próba presji Warszawy na władze francuskie w kierunku wyciszenia *Kultury*.

Presja ta — jak wiadomo — została sprytnie wplątana w rozmowy francusko-polskie prowadzone niedawno w Warszawie. Podjął się tego mało gustownego zadania świeży stosunkowo wiceminister spraw zagranicznych, p. Wilman. Z żalem trzeba stwierdzić, że mu się ta premiera nie udała. Wilman zresztą powtórzył tylko równie katastrofalną próbę, podjętą przez jego szefa, min. Jędrzychowskiego w dziewiczym wywiadzie dla zachodniemieckiej TV. Z tą różnicą, że Jędrzychowskiemu chodziło o wykazanie zbrodniczych dla pokoju w Europie skutków działalności Radia Wolna Europa.

No, i ten samobójczy propagandowo pomysł z udzieleniem karty wstępu na proces „taterników” jednemu tylko przedstawicielowi prasy zachodniej! Znowu zupełny brak wyobraźni. Po pierwsze — ten jeden wpuszczony (i to w towarzystwie narzucanego mu tłumacza) powinien być być przesadnie nawet niezycielny dla władz, aby nie wywołać podejrzenia, że „państwo rozumieją. Po drugie zaś — ci wszyscy, cała konkurencja, która nie rozumie i nie chce godzić się na preferencje w tak podstawowej dziedzinie jak równe prawa dostępu do źródła informacji, także zechce podkreślić swe zdanie o reżyserach widowiska i projektodawcach przywileju dla AFP.

I rzeczywiście krótki przegląd polskich materiałów w prasie światowej za miesiąc luty 1970 roku, może nawet najbardziej przychylnego współhistnieniu człowieka doprowadzić do generalnego zwątpienia co do sensu prób kontaktu z partnerami znanymi w Wisły.

Koniunktura na laicki ekumenizm

Tak więc, trudno było uzyskać gorszy bilans propagandowy niż ostatnie lata wysiłków Warszawy w tej branży. I to mimo, że przecież koniunktura i zamówienie na sympatię dla wschodu, w tym także i dla Polski, są po tej stronie Europy ogromne. Nigdy od czasu wojny krytycyzm wobec krajów socjalistycznych nie był mniej popularny. Zachód, po wstrząsach spowodowanych pacyfikacją pomarcowej Polski i posierpniowej Czechosłowacji, chciałby odetchnąć, stara się wynaleźć cokolwiek sympatycznego na wschód od Łaby, łapie się za każdy przejaw spokoju, tolerancji i rozwagi, reaguje na każdy gest pojednawczy. Jest ogromne zapotrzebowanie na pozytywne zjawiska i dobrą wolę na wschodzie.

Tak więc w cieniu monopolu wielkich mocarstw, mniejsze i małe państwa — przykrywając nieco oczy — poszukują obszarów autonomicznej inicjatywy i działalności, chciałyby wypracować własne funkcje, samodzielne i zgodne z ich specyficznymi interesami. Uzyskanie skromnych choćby rezultatów w tej dziedzinie jest w ogóle niemożliwe w pojedynkę, może być tylko częściowo skuteczne w obrębie świata wyłącznie zachodniego, a staje się ciekawe i celowe wtedy, gdy przekracza granice wielkich bloków i szuka partnerów innej maści — na wschodzie lub w „trzecim świecie”.

Takie jest właśnie tło, na którym brukselska wizyta węgierskiego ministra spraw zagranicznych Petera urosła do rangi wydarzenia politycznego. Mimo, iż wizyta nie zmieni zapewne układu sił na świecie, spotkanie byłego biskupa kalwińskiego Petera ze znanym ze swego przywiązania do wiary belgijskim ministrem spraw zagranicznych Harmelem, zostało natychmiast nazwane „synodem wschód-zachód”, a jego przebieg został określony jako „przejaw ducha laickiego ekumenizmu”.

W dziedzinie „współlistnieniowego ekumenizmu” Belgia wykazuje sporą inicjatywę. Harmel był pierwszym zachodnim ministrem spraw zagranicznych w Moskwie po inwazji Czechosłowacji, przyjął potem u siebie kolegów z Rumunii, Bułgarii, Czechosłowacji, no i wspomnianego już min. Petera. Bawił tu także polski wiceminister spraw zagranicznych Winiewicz. Nie potrafił on jednak zatrzeć wspomnienia o Rapackim, który był w Belgii szanowany i popularny, tym bardziej, że znane są dramatyczne okoliczności w jakich doszło do jego dymisji. Sceptycznym echem więc odbiła się tu najnowsza propozycja Winiewicza o zinstytucjonalizowanie ciągle jeszcze mitycznej konferencji na temat bezpieczeństwa w Europie. Złośliwi wyrażają wątpliwości co do szans trwałości takiej instytucji, wspominając daremność poszukiwań za jednym choćby z członków ekipy PRL z mieszanej komisji polsko-belgijskiej, z którą tyle nadziei wiązano przed pomarcowym wichrem w Warszawie.

Jak im to wytłumaczyć?

Oczywiście, w stosunkach państwowych i handlowych trwają i będą trwały próby dialogu z Warszawą. Odbywa się to jednak ostatnio w atmosferze pewnego zażenowania.

Belgowie to ludzie taktowni, dobrze wychowani, no a przede wszystkim doświadczeni w dziedzinie demokratycznego rozwiązywania skomplikowanych spraw wewnętrznych. Stąd oczywiście najpierw niedowierzanie, a potem już tylko niesmak w związku z procesami pomarcowymi i więzieniem młodzieży urodzonej i wychowanej już przecież w socjalizmie. Wygnanie resztek polskiego żydostwa dopełniło całości obrazu. Belgowie mają ogromny szacunek dla postawy Polaków w czasie wojny. Znają cenę wyzwolenia, znają ogrom polskich cierpień. Rozumieją też skutki geo-polityki, wiedzą co to znaczy potężny sąsiad, a zwłaszcza dwóch potężnych sąsiadów. Tego jednak, co się obecnie w Polsce dzieje nie jest w stanie zaakceptować najbardziej gorący zwolennik dialogu.

Tym bardziej, że najnowszej okazji dla wprowadzenia Polski na pierwsze strony gazet dostarczył proces 5 młodych Polaków, których zbrodni nikomu tutaj nie można wytłumaczyć. Belgowie mianowicie nie są w stanie pojąć, że znalazł się ustrój i sąd, który skazał 5 przedstawicieli młodej inteligencji na ciężkie więzienie za przywiezienie i kolportowanie jakiegoś miesięcznika z Paryża i jakiegoś manifestu z Pragi.

Tu, na uniwersytecie rozdają codziennie setki manifestów ze wszystkich stron świata, po kioskach wałęsają się pisma we wszystkich językach (nawet *Trybuna Ludu*). Tu, na socjologii (biedny Jakub Karpiński) odbyło się niedawno zebranie, które prowadził i zagaił katolicki dyrektor *Témoignage Chrétien* na temat Bliskiego Wschodu i w trakcie którego, przy ogromnym napięciu sali, kolejni mówcy zwracali się do siebie jak najpoważniej w świecie per „kolega palestyńczyk” i „towarzysz syjonista”.

Belgia, jak wiadomo, *est omnis divisa in partes tres*. Belgów pozornie w ogóle nie ma. Są natomiast Walonowie, Flamandowie i Brukselczycy. Cały kraj jest misternie podzielony na okręgi walońskie, flamandzkie i dwujęzyczny okręg brukselski. Są, dla jasności obrazu, jeszcze gminy „z ułatwieniami”, co ma oznaczać, że mieszkająca tam mniejszość ma prawo do swojego języka. Są katolicy walońscy i socjaliści flamandzcy, i odwrotnie naturalnie, są także partie skrajne, jednolite językowo i dość ostro nacjonalistyczne. Położenie Brukseli określa się jako „flamandzki kafełtan” lub „walońskie klezzcze”. Sprawozdawcy parlamentarni donoszą, iż w głosowaniu w komisji uczestniczyło: „6 Walonów, 6 Flamandów i jeden Belg”, którym okazuje się na ogół stosunkowo świeży emigrant ze Wschodu.

W Brukseli w ciągu jednego miesiąca oficjalne wizyty złożyli izraelski minister Eban i algierski Buteflika, a tunezyjski i szalenie muzulmański min. Burguiba-junior przemawiał z trybuny „Wielkich Konferencji Katolickich”.

W świadomości więc Walonów, Flamandów czy Belgów fakt, że młodzi polscy intelektualści, w tym matka 10-letniej dziewczynki, zostali wtrąceni do kryminału za kolportowanie polskiego miesięcznika i czeskiego manifestu politycznego, że więzieniem załatwia się różnice poglądów, a wygnaniem Polaków o jakimś tam pochodzeniu (termin jakże tutaj niejasny), zamyka się spory w kierownictwie partii i rozwiązuje kryzys polityczny, to wszystko wywołuje najpierw przerażenie potem współczucie dla ofiar a na końcu — wściekłość na polityków z Warszawy.

Albowiem taki proces i jego fatalne echo oznacza utrudnianie przez Warszawę dialogu Wschód-Zachód.

Jugosłowiańska prapremiera

Nastroje zwolenników dialogu poprawiły się natomiast wraz z przyjazdem do Brukseli jugosłowiańskiego ministra Tomy Granfila. Wziął on udział w dwóch premierach — parafowaniu i podpisaniu układu ogólnego między Jugosławią a Wspólnym Rynkiem. Uroczystości takich odbyło się już mnóstwo, natomiast po raz pierwszy stroną było państwo komunistyczne. Jugosławia, co prawda, nie jest członkiem Paktu Warszawskiego, od zerwania ze Stalinem w roku 1949 ma dość szczególną pozycję na Zachodzie, czego jej w ciszy bardzo bratnie kraje zazdroszczą, ale dla EWG pozostaje krajem socjalistycznym, lub jak się to tutaj nazywa, krajem o państwowym handlu. Układ obecnie parafowany z EWG zapewnia wzrost eksportu jugosłowiańskich artykułów rolnych i przemysłowych i w oczywisty sposób przyczyni się do wyrównania bilansu handlowego i płatniczego Jugosławii z krajami Wspólnego Rynku. Politycznie zaś — a kładzie się na to tutaj ostry akcent — premiera ta potwierdza możliwości współpracy państw socjalistycznych z EWG na zasadzie wzajemnego szacunku i obopólnego interesu.

Jest to zjawisko tym godniejsze uwagi, że w premierowym przedstawieniu występuje Jugosławia, chociaż pionierem w dziedzinie ułożenia stosunków między Wspólnym Rynkiem a państwami trzecimi, przede wszystkim zaś socjalistycznymi, była właśnie Polska. Jest to opowieść długa i smutna, ale w streszczeniu opowiem.

Europa Wschodnia, w tym Polska także, zajęty wobec problemu integracji Zachodu od początku stanowisko błędne i dogmatyczne. Priorytet dawano sekciarskim formułkom politycznym. Sięgano do wypowiedzi Lenina z 1915 roku (jak powiedział Bieńkowski — nie ma takiej bzdury, której by się nie dało udowodnić przy pomocy cytatów z klasyków marksizmu). A i tę formułę fałszowano. Lenin bowiem twierdził wówczas, że Stany Zjednoczone Europy są albo niemożliwe albo muszą być reakcyjne, opuszczano natomiast niewygodną część tej wypowiedzi, mówiącą, że zjednoczona Europa może powstać także na zasadzie przeciwstawienia się potęgze USA.

Jakże jednak cytować do końca, kiedy właśnie Wspólny Rynek uznano od początku i na zawsze za narzędzie amerykańskich monopolu i ich europejskich wasali, powołane wyłącznie do kolonizacji Europy i wyzysku klasy robotniczej oraz za gospodarce przedłużenie Paktu Atlantyckiego. Po drugie zaś uznano, że i tak ten cały rynek się rozleci. Zgodnie więc z poglądem okaleczonego Lenina, Wspólny Rynek miał być politycznie reakcyjny, a gospodarczo — niemożliwy.

Aż przyszedł rok 1962. Na moskiewskiej konferencji pierwszych sekretarzy w czerwcu owego roku, tow. Wiesław poddał rewizji obowiązujące dotąd zasady oceny Wspólnego Rynku. Zachód, jak państwo pamiętają, był naówczas daleko od katastrofy gospodarczej, Wspólny Rynek wykazał swoją żywotność, a na 1 lipca tegoż roku zapowiedział wejście w życie nowych zasad wspólnej polityki rolnej. A to już głęboko interesowało państwa Europy Wschodniej, które *gros* swoich dewiz czerpały właśnie z eksportu produktów rolnych do gnijących państw Zachodu. Trzeba dodać, że ZSSR był znacznie mniej podniecony, jako że płody rolne to on raczej sprowadzał, a eksportował głównie surowce, które zaostreniom nie podlegały. Gomulce przyszli w sukurs komuniści włoscy, którzy zrozumieli, że Wspólny Rynek jest rzeczywistością, jaką muszą uwzględnić w walce o interesy ich własnej klasy robotniczej.

U źródle tak bolesnej rewizji poglądów tkwiły polskie jaja. W 1961 roku Polska sprzedała ich za 21 milionów dolarów. Ignorowanie EWG oznaczało zmierzch zachodniej dominacji kwok znad Wisły. Aby ratować (z marnym zresztą skutkiem) te wysunięte pozycje polskiego eksportu, Polska jako pierwsze państwo socjalistyczne zbliża się do Wspólnoty i podpisuje z nią pierwsze porozumienie. „Jajeczna” rewaloryzacja poglądów świadczy dobrze o owym okresie przywilejskiego myślenia ekonomicznego i o ówczesnych doradcach I sekretarza — dziś już zasłużonych rewizjonistach na bruku, emeryturze lub za granicą. W latach następnych za przykładem Polski poszły Czechosłowacja i Jugosławia, które także podjęły rozmowy ze Wspólnym Rynkiem jako takim.

Właściwe wnioski wysnuła jednak naturalnie nie Polska, a Jugosławia (Czechosłowacja niestety nie zdążyła). W Polsce wróciły do mody formułki sprzed 50 lat, a rozmaitych Langów, Kaleckich, Brusów itp. odsunięto, aby nie przeszkadzali. Jugosławia natomiast kontynuowała rozmowy, aż w 1968 roku akredytowała w Brukseli drugiego ambasadora. Jeden był przy królu, a drugi — przy Wspólnym Rynku. No i wreszcie, w 1970 roku w miesiącu marcu ten duet doprowadził do podpisania układu ogólnego, który od razu na wstępie daje Jugosławii statut „państwa najbardziej uprzewilejowanego”, a więc istotne ułatwienia celne itd.

I żeby już było zupełnie wesoło — w chwili gdy Jugosłowianie szykują zielony ceremonialny stół, aby na nim układ z EWG podpisać, Polska postanowiła wypowiedzieć tej organizacji wojnę. Pewien ważny dyrektor z Warszawy ogłosił właśnie w piśmie

L'Européen artykuł, w którym proklamował zdecydowaną wyższość stosunków dwustronnych nad wielostronnymi, a dyskusję wewnątrz EWG nad ustaleniem wspólnej polityki handlowej wobec państw wschodnich określił jako spór „między rozsądkiem a żłudzeniami”, skromnie nie ukrywając, że rozsądne jest to co on właśnie sam proponuje.

Tym delikatnym wystąpieniem pan dyrektor wywołał m.in. mało dla nas sympatyczną interpelację posła holenderskiego w parlamencie europejskim w Strasburgu, ale przede wszystkim potwierdził, że ujawniły się na Wschodzie różnice w podejściu do EWG. Jedna tendencja reprezentowana jest przez Rumunię, Węgry, a nawet Bułgarię, które starają się zbliżyć do Wspólnoty. ZSSR natomiast, oczywiście w sojuszu z Polską, powracają do sekciarskich tradycji z lat 50-tych, krytykując antysocjalistyczny charakter Wspólnoty lub też poddając w wątpliwość istotę wspólnotowej rzeczywistości.

Te przedziwne próby zawracania Wisły kijem, próby forsowania priorytetu stosunków bilateralnych wobec członków EWG są tym zabawniejsze, że właśnie od 16 grudnia ub. roku „szóstka” podjęła decyzję o poważnym wzmocnieniu koordynacji w jej wschodniej polityce handlowej. Postanowiono nawet przedkładać wysokiej aprobacie Rady Ministrów EWG teksty układów zawartych przez poszczególne państwa Wspólnoty z którymś z krajów socjalistycznych. I to mimo, że pan dyrektor z Warszawy życzy sobie inaczej.

Podpisanie układu i inauguracyjny bal odbył się w Brukseli w znanym starszym Polakom dniu 19 marca. Byli ministrowie wspólnoty, belgijscy i jugosłowiańscy. Wygłaszano toasty, pito miód i wino. My, jak stara ciotka, siedzieliśmy na kanapie i mieliśmy za złe.

W świecie teorii

Skoro już mowa o duecie polsko-jugosłowiańskim widzianym z brukselskiej perspektywy, to warto dodać, że dzięki naszym południowym braciom rozstawione tu zostało ostatnio imię pewnego wybitnego teoretyka znad Wisły. Belgia — jak to może państwo wiedzą — jest krajem o dużej tradycji marksowskiej (jest nawet jeszcze na rynku kawiarnia, gdzie Marks pisał zdaje się „Kapitał”). Każdy absurd czy naprawdę historyczna brednia w tej dziedzinie ma tutaj zapewniony zbyt. Interesowano się więc w Brukseli całą serią ideologicznych konferencji, jakie odbyły się ostatnio w Moskwie. Nie trzeba też było czekać długo na efekty. Okazało się mianowicie, że najbardziej horendalne wystąpienie należało do znanego specjalisty od *numerus clausus* w PZPR, Andrzeja Werblana, który zamroczył wprost Jugosłowian stwierdzeniem ścisłych związków „między rewizjonizmem a wojnami na Bliskim Wschodzie i w Wietnamie”.

Jugosłowianie, jak wiadomo, kochają oskarżenia o rewizjo-

nizm itp., i nie omieszkali swej opinii o tych teoretycznych rewelacjach upowszechnić.

W związku tym trzeba też odnotować spory wzrost „popularności” Warszawy po wystąpieniach Garaudy'ego.

Przed odejściem w partyjny niebyt, Garaudy zdążył jeszcze powiedzieć co myśli o internacjonalizmie z gatunku sowieckiej pomocy dla Grecji, polskiego węgla dla Hiszpanii w okresie strajku górników czy pomarcowego antysemityzmu.

Otóż trzeba w związku z tym odnotować ciekawe zjawisko. Polityka polska nie tylko denerwuje burżuazyjnych zwolenników dialogu Wschód-Zachód, ale stawia w głupim położeniu nawet komunistycznych przyjaciół PRL. Duclos, znany przecież z ciętości języka i szybkiej riposty, miał kłopoty z wysupłaniem się z pytań radia „Europe nr 1” po kongresie FKP. Były kandydat na prezydenta Francji stwierdził właściwie, że Warszawie pomóc można już tylko milczeniem. Duclos nie mógł, a może i nie chciał, dementować faktu, że w Polsce antysemityzm istnieje, stwierdził jedynie, że „nie zwalczy się go krytykami wobec poszczególnych towarzyszy z partii polskiej”.

Na temat sowieckiej elektrowni dla Grecji i polskiego węgla dla Hiszpanii, Duclos powiedział w tym samym wywiadzie, że strajki w Hiszpanii i pułkownicy w Atenach to sprawy stosunkowo świeże a kontakty — stare, sprzed lat. Duclos ma oczywiście w zasadzie rację, i ze względów ideologicznych nie można naturalnie likwidować współistnienia czy też ograniczać handlu międzynarodowego. Duclos zapomniał jedynie dodać, że mówiąc o strajkach i o węglu, Garaudy miał na myśli nie rok 1969, a rok 1962. Wtedy zaś strajki w Asturii trwały wiele miesięcy i kosztowały życie kilkudziesięciu towarzyszy hiszpańskich, polski eksport węgla zaś miał charakter szybkiej interwencji i był wynikiem błyskawicznej transakcji. Wtedy zresztą, w roku 1962, ta brudna transakcja wywołała spory niesmak w samej Warszawie.

Listę takich transakcji „w imię racji stanu — po komunistycznych trupach” (Irak, Indonezja itp. a jeszcze wcześniej KPP-owcy wydani w 1940 roku przez Rosjan hitlerowcom) można by ciągnąć długo, ale wystarczy westchnąć za Władysławem Gomułą: „Ech, nasza ideologia to piękna rzecz, ale nasza polityka to straszne świństwo”. A doszedł on do tego głębokiego wniosku w chwili, gdy kazał uspokajać naród po egzekucji Nagy'ego, premiera budapeszteńskiego „października”.

Dyskrecja błędna i zbędna

To małoznane teoretyczne odkrycie nie zapewniło Gomułce na Zachodzie większej popularności. Miał on natomiast „dobrą prasę” po raz pierwszy chyba od października 1956, przy okazji rozpoczęcia rozmów z NRF. Zachód z miejsca odnotował przemówienie polskiego polityka z maja 1969 roku, zwrócono tu

uwagę na kolosalną zmianę słownictwa, brak wyzwick, na redukcję wstępnych warunków politycznych itp. Stwierdzono równocześnie różnice poglądów z Ulbrichtem, a to zawsze świadczy dobrze o człowieku.

Zachód jednak nie wierzył w przypadek, który sprawił że zanim Georg Ferdinand Duckwitz przekroczył próg pogestapowskiego gmachu przy al. Szucha, odwzajemniając w ten sposób wizytę min. Becka w Berchtesgaden, minister handlu zagranicznego PRL, Burakiewicz, jako pierwszy tego szczebla ludowy dygnitarz, odwiedził NRF.

Ten związek przyczynowy traktowany jest w Warszawie z dyskrecją i zażenowaniem jakby. Nieśluszenie! Świat patrzy bowiem na takie transakcje wiązane jak najbardziej naturalnie, a nawet z pewną życzliwością. Widzi bowiem w tym związaniu polityki z gospodarką określone gwarancje powagi i znamiona odrzucenia bezwzględności priorytetu pseudo-ideologii nad zdrowym rozsądkiem. To po pierwsze.

A po drugie — większość krajów zachodnich dobrze rozumie intencje Brandta, który — rzecz tu najzupełniej naturalna — chce, a i może, dobrze zapłacić za otwarcie mu drzwi do saloonów Wschodniej Europy. Otworzyć mu te drzwi może właśnie przede wszystkim Polska, poczucie winy wobec naszego kraju jest bowiem w NRF ciągle ogromne, a Gomułka oceniany jest tam — i słusznie — jako najostrzejszy cerber, autor strategii i taktyki zimnowojennej polityki wobec NRF, filar „żelaznego trójkąta Berlin Wsch. - Praga - Warszawa”.

Pojednanie z Polską jest ambicją Brandta, tak jak pojednanie z Francją było ambicją Adenauera. Polska pieczęć przesądziłaby o ostatecznej rehabilitacji Niemiec i zatarciu najgorszych wspomnień II wojny światowej. A taka rehabilitacja oznacza dla Brandta utrwalenie socjal-demokratycznej władzy na długo, zapewnia bowiem zwycięstwo w wyborach i podniesienie SPD-owskiej reprezentacji w Bundestagu do bezpiecznej wysokości, niezależnej od humorów chwiejnego FDP-owskiego partnera.

Ze realizując swe cele, zgodne w jego przekonaniu z interesem jego kraju i całej Europy, Brandt wykorzystuje trudną sytuację gospodarczą Polski, temu nikt rozumny na Zachodzie się nie dziwi. Podobnie jak nikt się nie dziwi, że w celu wywarcia presji na rząd polski sam Ulbricht odmówił mu ostatnio pomocy gospodarczej, że Belgia protestuje przeciw zarządzeniom protekcyjnym utrudniającym eksport szkła do bratnich Stanów Zjednoczonych, lub też że Francja zagradza ciągle jeszcze Anglii drzwi do Wspólnego Rynku, mimo odrodzenia „Entente Cordiale”.

Nikim też na Zachodzie nie wstrząsnął fakt, że Ulbricht śleszył emisariuszy w mroźne noce grudniowe do zniemawidzonych socjal-demokratów w Bonn, że wpuszcza przez swój „wielki mur” przedstawicieli „neo-nazistowskiej” NRF. Nikt się temu nie dziwi, każdy bowiem ma tu dostęp do statystyk, a z tych wynika, że dzięki temu co się nazywa handlem wewnątrzniemieckim, NRD może być traktowana bez większego ryzyka jako siódmy

członek Wspólnego Rynku. I nawet Ulbrichtowi to nie przeszkadza, mimo, że taki charakter handlu oznacza właściwie zaprzeczenie suwerennego charakteru „pierwszego w dziejach demokratycznego państwa niemieckiego”.

Zachód — bez złudzeń

Manewry niemieckie śledzone są i analizowane na Zachodzie bez uprzedzeń, a nawet z pewną satysfakcją. Interesy państw zachodnich nie zalecają — delikatnie mówiąc — natychmiastowego zjednoczenia Niemiec. Każde z państw niemieckich oddzielnie stanowi poważną siłę. Razem, spędzałyby sen z oczu niejednego polityka w Europie. Dlatego ze zrozumieniem witano oświadczenie Brandta „o dwóch państwach narodu niemieckiego”, dlatego, po długiej przerwie, Władysław Gomułka był pozytywnie wspomniany przez prasę.

W chwili pisania tych słów Brandt odsypia w domu dwie noce spędzone w pociągu przed i po spotkaniu z „tym drugim Willym”. Mimo, że noszą te same imiona, że mają, zdaje się, po czworo dzieci, że są w tym samym wieku, że obaj walczyli choć „z rozmaitych pozycji” z hitleryzmem, że obaj mówią po niemiecku, mimo tego wszystkiego tak szybko obaj panowie premierzy się nie dogadają. Możliwości działania pana premiera Stophy są niesłychanie ograniczone i pozbawiony złudzeń Brandt zna dolną granicę koncesji Wschodu na ołtarzu odprężenia w Europie. Linie tę wyznacza strategiczny interes ZSSR. Breżniew nie po to bowiem proklamował w Warszawie swoją doktrynę, aby interesy jakiegokolwiek państwa o ograniczonej suwerenności mogły stać w sprzeczności z priorytetowym charakterem tej strategii. I dlatego kilka spraw nie będzie przedmiotem dyskusji ani z Duckwitzem w Warszawie ani z Bahrem w Moskwie ani wreszcie z Brandtem w Erfurcie. Bez ambicji wyczerpania listy, oto kilka z tych spraw „bezdyskusyjnych”:

1) Obecność kilkudziesięciu dywizji sowieckich w NRD i w Czechosłowacji jest konstansem sytuacji w Europie. ZSSR nie pójdzie na żadne wersje redukcji sił zbrojnych po obu stronach Łaby, bo zaprzepaściłby wówczas główny — jego zdaniem — sens zwycięstwa z 1945 roku, skutki Jałty i Poczdamu. To bowiem nie groźba NRF, a wypadki w Czechosłowacji wykazały sens obecności garnizonów rosyjskich nad Łabą.

2) Nic nie zachwieje murem berlińskim. Nadal z jednej jego strony będą ginąć ludzie, rażeni prądem elektrycznym albo kulami Vopo, a z drugiej — urządzić się będzie „miradory” i widowiska folklorystyczne na temat wolności itp.

3) Nie ma mowy o przywróceniu wolnego ruchu osobowego między obu częściami Niemiec. Mimo bowiem istnienia czegoś w rodzaju świadomości narodowej w młodym pokoleniu w NRD, magnes wielkiego *Vaterland*'u (to paradoksalny skutek nacjonalizmu nrd-owskiego), niechęć wobec dogmatyczno-pruskiego abso-

lutyzmu, no i miraż *société de consommation* widziane przez światła Kur-damu, doprowadziłyby w wypadku uzyskania swobody ruchu, do prawdziwego *massen-flucht'u*.

4) Wykluczyć również należy możliwość repatriacji z ZSSR, Polski i Czechosłowacji tych wszystkich, którzy skłonni byłiby jako Niemcy pójść na tułaczkę do NRF. W samej Polsce mogłoby to objąć co najmniej 100.000 dorosłych mieszkańców Mazur, Dolnego i Górnego Śląska, przede wszystkim górników i fachowców w ogóle. Spowodowałaby taka repatriacja wzrost trudności w górnictwie, no a zwłaszcza podważyłaby zasadę atrakcyjności socjalizmu. To rozumowanie odnosi się także do innych potencjalnych *Bundes-deutsch'ów* w pozostałych krajach wschodu. Sukces Adenauera, który za cenę traktatu moskiewskiego w 1955 roku wyprowadził z Syberii jeńców wehrmachtowskich, jest nie do powtórzenia.

Powszechne uznanie NRD nie nastąpi więc ani jutro ani pojutrze. Zachód zna i szanuje interes sowiecki, jak to wykazała np. reakcja na *incident de parcours* w Czechosłowacji. Zachód jednak wie także, że i bez uznania NRD, za cenę formalnego uznania *status quo*, a więc granicy na Odrze i Nysie i nieważności Monachium, to znaczy rzeczy dawno faktycznie przesądzonych, Brandt potrafi, przy akompaniamencie istotnych „porozumień gospodarczych”, zainstalować ambasadorów w NRF, w Warszawie i gdzie indziej. Natomiast obejdzie się na razie bez wymiany ambasadorów przez oba państwa niemieckie.

Oczywiście, pozostaje otwarta sprawa ceny, jakiej Wschód żąda za niemykanie europejskiego *dolce far niente* w przyszłości. Choćby na tę okoliczność warto zachować formułkę *de iure* w odniesieniu do NRD.

Pilota odrzutowego obowiązuje przed każdym startem skomplikowana procedura polegająca na sprawdzeniu tzw. *check-listy*.

Może by wprowadzić coś takiego także dla polityków?

BRUKSELCZYK

20 marca 1970

P.S. Z ostatniej chwili. Znajomi z Warszawy przysłali mi bez słowa komentarza czy zapowiedzi książkę literata Dobrowolskiego Ryszarda Stanisława pt. „Głupia sprawa”. Wszystkim wątpliwym, wyznającym teorię zygaków w rozwoju społecznym, głoszącym nieuchronność wzrostu po niżu judeo-marcowym, lekturę tej książki gorąco polecam. Pożyteczne dzieło. Małe, ale za to gustowne, jak się mówi o Pałacu Kultury im. Józefa Stalina w Warszawie.

B.

Na skutek perturbacji pocztowych w Wielkiej Brytanii i Francji Kronika angielska Londyńczyka nie nadeszła do chwili zamknięcia numeru. Redakcja.

INSTYTUT LITERACKI

Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, 78-MAISONS-LAFFITTE, France

ZESZYTY HISTORYCZNE

Poświęcone najnowszej historii Polski i krajów środkowoeuropejskich, wychodzą regularnie od 8 lat, dwa razy do roku. Napływ materiałów jak i zainteresowanie Czytelników sprawiają, że Instytut Literacki chciałby *Zeszyty Historyczne* przekształcić z początkiem 1971 roku na kwartalnik. Zależy to jedynie od ilości prenumeratorów. Liczymy tu na pomoc naszych wszystkich Czytelników.

Zwracamy ponadto uwagę, że są jeszcze do nabycia komplety *Zeszytów* (16 zeszytów) — z wyjątkiem wyczerpanego nru 2-go.

Cena pojedynczego *Zeszytu* wynosi F. 18,50 (\$ 4; 28 sh.).

Roczna prenumerata *Zeszytów Historycznych* kosztuje F. 40 (\$ 8; £. 3.0.0).

Prenumeratory *Kultury* korzystają z 25 % zniżki i płacą: we Francji F. 30; za granicą F. 35 (\$ 6; £. 2.10.00).

ZESZYT 1-SZY

● Zawiera m.in. eseje poświęcone Aleksandrowi Lednickiemu; pracę Leona Mitkiewicza pt. *Powstanie Warszawskie*; *Nieznane exposé* premiera Tomasza Arciszewskiego z 15. I. 1945 oraz *Indeks nazwisk* do trzech tomów *Najnowszej Historii Polski* Wł. Póbobóg-Malinowskiego (Wyd. I).

ZESZYT 2-GI

● Zawiera m.in. Bazylego Rogowskiego Wspomnienia o Marszałku Śmigłym; Edwarda Rydz-Śmigłego *Czy Polska mogła uniknąć wojny?* oraz *Nieznane listy* Józefa Piłsudskiego.

ZESZYT 3-CI

● Zawiera m.in. P. Wandycz: *Przyczynki do zagadnienia wojny prewencyjnej*; Fr. Kalinowskiego: *Naczelni wodzowie i lotnictwo*; Relacje i wspomnienia z *Okresu Niepodległości* T. Święcickiego, W. Sukiennickiego, J. Grobickiego, W. Mercika i L. Orłowskiego oraz z *Okresu wojny* M. Borwicza, L. Mitkiewicza i T. Katelbacha.

ZESZYT 4-TY

● Zawiera m.in. prace: J. Monda: *Nieznana dyskusja Wł. Gomułki z dziennikarzami*; Relacje i wspomnienia z *Okresu Niepodległości* W. Chocianowicza, W. A. Zbyszewskiego i St. Fischlowitza; relacje z *Okresu wojny i powojennego* F. Frankowskiego, K. Bagińskiego, W. Ładniewskiej-Blankenheimowej.

ZESZYT 5-TY

● Zawiera m.in. relacje dotyczące *Drugiej podróży Mikołajczyka do Moskwy* (Stenogram z posiedzenia Rady Narodowej RP w Londynie z 27. X. 44), z *Narad Aktywu Centralnego w sprawie sytuacji na froncie kulturalnym* 23. XII. 1955 w Warszawie, *działy w OBCYCH OCZACH, SĄSIEDZI* itd.

ZESZYT 6-TY

● Poświęcony jest rocznicy wybuchu 2-ej Wojny Światowej i rocznicy Powstania Warszawskiego. Zawiera opracowania śp. gen. M. Karaszewicz-Tokarzewskiego, W. Babińskiego, Z. S. Siemąszki, Jana Kowalewskiego, A. Ponińskiego i innych.

ZESZYT 7-Y

● Zawiera m.in. początek większej pracy T. Katelbacha o pierwszych miesiącach powrześniowej emigracji; kontrowersyjną historię lotnictwa polskiego płk. Kalinowskiego, opracowania na temat udziału Białorusinów i Litwinów w powstaniu styczniowym; wspomnienia z pobytu w więzieniach i łagrach sowieckich, wspomnienia kolejarza z okresu 2-ej wojny światowej, wspomnienia z partyzantki na Wileńszczyźnie.

656
ZAMAWIAM PRENUMERATĘ „ZESZYTÓW
HISTORYCZNYCH” NA OKRES
DLA

ZAMAWIAM NASTĘPUJĄCE NUMERY „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH”

ZAMAWIAM PRENUMERATĘ „KULTURY”
WRAZ Z „ZESZYTAMI HISTORYCZNYMI” NA
ROK 1970
DLA

Francja - F. 90; Zagranicą - F. 96 (lub \$ USA 18;
\$ can. 19).

Załączam czek na

.....
(Podpis)

ZESZYT 8-Y

Wiera m.in. dokończenie pracy T. Katelbacha o pierwszych mie-
powrześniowej emigracji; wspomnienia o Drugim Powstaniu
a i o marsz. Rydzu-Śmigłym oraz opracowania dotyczące polsko-
ttle of Britain", cenzury w Polsce, ostatnie dokumenty Polski
nej, polemiki, recenzje i listy do Redakcji.

ZESZYT 9-TY

Wiera m.in. prace: K. Okulicza: *Ostatni akt dramatu J. Piłsudskie-*
Popiela: *Wybór prezydenta I. Mościckiego*; T. Rudnickiego: *Kon-*
Teherańska; G. Soro: *Upadek Polski*; St. Mackiewicz: *Stulecie*
Wł. Studnickiego oraz zwykłe dzieła, polemiki i listy.

ZESZYT 10-TY

Wiera w pierwszym rzędzie pracę Wacława Lednickiego: *Rosyjsko-*
Entente Cordiale 1903-1905; Wacława Jędrzejewicza: *Sprawa woj-*
wencyjnej z Niemcami; Edwarda Puacza: *Powstanie Warszawskie*
okółach PKWN oraz dzieła recenzji i polemik.

ZESZYT 11-TY

Wiera m.in. prace: J. Weinstein: *Władysław Studnicki w świetle*
entów hitlerowskich II wojny; St. Kota: *Wspomnienia (Cz. I)*;
Młotka: *Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich (Cz. I)*; T. No-
go: *Ludowe Wojsko Polskie*; St. Lubodzieckiego: *Wspomnienia*
drugiej grupy (Cz. I).

ZESZYT 12-TY

Wiera m.in. Z. S. Siemaszki o *Pobycie Retingera w Polsce w roku*
stanowiącym jeden z najciekawszych i najbardziej kontrowersyj-
rozdziałów w dziejach stosunków między emigracją a krajem;
ndyczna o współpracy polsko-ukraińskiej w latach 1919-20; płk.
icza *17 września 1939 roku w Sztapie Naczelnego Wodza*; dalszy
spomnień prof. St. Kota oraz dokończenie opracowań T. Nowac-
M. Młotka i St. Lubodzieckiego.

ZESZYT 13-TY

Wiera m.in. prace: T. Katelbacha: *Zet*; W. T. Drymmera: *Zagadnie-*
dowskie w Polsce 1935-1939; E. Puacza: *Powstanie Warszawskie*
atkach Adama Bienia; T. Romera: *U kolebki pewnego sojuszu*;
nsteina: *Scenariusz Ministra Gafencu*.

INSTITUT LITTÉRAIRE

91, Avenue de Poissy

78-MAISONS-LAFFITTE

Fr

ZESZYT 14-TY

● Zawiera m.in. prace: K. Iranka-Osmeckiego — *Polacy i Żydzi 1939-1945*; M. Tauchnera — *W bolesną rocznicę*; T. Nowackiego — *Gen. Kazimierz Sosnkowski*; St. Biegańskiego — *Rozkaz Nr 19 gen. Sosnkowskiego*; F. Kalinowskiego — *Lotnictwo polskie w bitwie o Atlantyck*; dokończenie wspomnień prof. S. Kota oraz dział recenzyjny.

ZESZYT 15-TY

● Zawiera m.in.: Zapomniany i zakazany w PRL tekst Żeromskiego *Na plebanii w Wyszkowie*; studium Adama Ciołkosza *Broń dla getta Warszawy*; próbę biografii Gomutki pióra Petera Rainy; materiały o Powstaniu Warszawskim w obcych oczach (*Dziennik działań Niemieckiej 9 Armii* w opracowaniu J. Mateckiego, fragment pamiętników Rokossowskiego, reportaż dziennikarza moskiewskiego Mara o skoczках sowieckich); wspomnienia L. Jurewicza, E. Puacza i D. Klina; nieznane listy rosyjskie Piłsudskiego w opracowaniu W. Sworakowskiego; oraz recenzje, listy i polemiki.

ZESZYT 16-TY

● Zawiera m.in. prace: Z. S. Siemaszki: *Powstanie Warszawskie — Kontakty z ZSSR i PKWN.* — A. Cieniasty: *Polityka brytyjska wobec odrodzenia Polski 1914-1918.* — J. Łukasiewicz: *Wspomnienia z roku 1939* w opracowaniu Waława Jędrzejewicza. — G. K. Żukowa: *O powstaniu Warszawskim i Polsce.* — J. K. Zawodnego: *Raport d-cy plutonu A.K. z Powstania Warszawskiego.* — T. Nowackiego: *O Polsce, Francji i wojnie.* — *Lista awansów oficerskich, dokonanych przez prez. A. Załeskiego od 1954 do połowy 1969 roku.*

ZESZYT 17-TY

● Zawiera m.in. prace: *Memoriał Michała Romera z 1915 r.: Polska a Litwa*; St. Kirkora: „*Korespondencje*” J. I. Kraszewskiego; W. Jędrzejewicza: *Sprawa Wilna w lipcu 1920*; L. Mitkiewicza: *Placówka „Star”* oraz *Relacje, Recenzje i Polemiki.*

Sąsiedzi

List A. Sacharowa do L. Breżniewa

Na zamkniętych zebraniach partyjnych odczytuje się głośno wasz, Leonidzie Iljczu, list skierowany do wszystkich członków partii. W liście przytacza się pewne szczegóły nieznane dołom, lecz ogółem biorąc zarysowany w nim obraz jest znany od dawna i członkom partii i całemu narodowi.

Wiemy od dawna że przegraliśmy nie tylko bitwę o księżyc, lecz również całkowicie współzawodnictwo gospodarcze, że wydajność pracy jest u nas żadna, że nasz kraj zamienia się w surowcowy dodatek do Europy, że utrzymujemy się jedynie dzięki legendarnym wręcz bogactwom naturalnym i tradycyjnej cierpliwości chłopów, że zamiast zająć się realną pracą ludzie u nas zajmują się tylko schlebaniem przełożonym, że tak fikcyjne wydarzenia jak jubileusze i rocznice stały się u nas ważniejsze od rzeczywistych problemów gospodarczych i społecznych.

Wszystko to jest następstwem faktu, że od wielu lat żyjemy w wymyślanym świecie, oszukujemy się nawzajem i nie możemy się zdecydować na spojrzenie prawdzie w oczy; i to w czasach gdy inne państwa nie królują w niebiosach, lecz na ziemi budują swoją gospodarkę. Dlatego przeganiają nas coraz bardziej i bardziej.

Nie ma dziś ani jednego spotkania w gronie przyjaciół, na którym by się o tym nie mówiło. Wszyscy przecież wiedzą, że ustawiczne zbiorowe samooszukiwanie się prowadzi nieuchronnie do katastrofy. Mówi się o tym w całej Rosji, i oto wasz list. Jest to śmiały i słuszny krok z waszej strony, historia zapisze go na wasze dobro. Ale nie przebaczy wam ona, jeśli za sygnałem nie pójdą środki zaradcze. A są one bardzo proste. Diagnoza wskazuje na metody leczenia. Powszechne wzajemne łgarstwo można wyleczyć tylko jawnością. Ile inicjatywy, rozumu, entuzjazmu wydobędzie się na zewnątrz, jeśli nareszcie przestanie się zatykać usta! W redakcjach czasopism leżą dziesiątki artykułów, na maszynach przepisane są dziesiątki książek, w których uczciwie ana-

lizuje się nasze życie. Tego wszystkiego się „nie przepuszcza”. Sołżenicyna, chlubę literatury rosyjskiej, wygnano ze Związku Pisarzy. Parlament kosztujący tyle pieniędzy stał się ślepą maszyną do głosowania.

Jawność i tylko jawność może skierować chorą Rosję na drogę do ozdrowienia.

SACHAROW

Czas płaczu proroków i zasada nadziei

Czym bardziej tracimy nadzieję — czy też, nie tracąc jej wprawdzie, obawiamy się ją stracić — tym bardziej obracamy się ku Historii i szukamy w głębiach przeszłości analogii dla naszej epoki, czasem mniej lub więcej kulejących, a czasem trafnych. Nie potępiajmy w czambuł tego przedsięwzięcia i nie dopatrujmy się w nim tylko próby ucieczki, lecz również wzmocnienia tak potrzebnego w dobie płaczu proroków...

Niemal przed dwoma tysiącami lat świat rzymski — czy też ówczesny europejski — znajdował się w głębokim kryzysie materialnym, intelektualnym i moralnym. Wtedy to w jednym małym peryferyjnym kraju, leżącym daleko poza świetnymi ośrodkami uzbrojonych po zęby, bogatych mocarstw i bloków, w kraju z prastarą swoistą kulturą umysłową i liryczną, która wymykała się z ram ówczesnego trzeźwego i praktycznego świata rzymskich gościńców i baz wojskowych, narodziła się próba reformy ideologii i utopii Starego Zakonu. W kraju, który stosunkowo niedawno utracił suwerenność, a w którym obok kolaboranckich kapłanów i faryzeuszy twardo rządziła obca przemoc, oparta o okupacyjne załogi, doszło do rewolucji etycznej i intelektualnej, prowadzonej z początku przez kilka tylko jednostek.

Nie miała to być rewolucja przeciw obowiązującemu Prawu z jego surową starodawną etyką oraz mesjanistyczną utopią, zrodzoną kiedyś w czasach nieszczęść narodowych, tak częstych w tym kraju, utopią, która w dobie ciemności i płaczu proroków utrzymywała w narodzie iskrę nieustającej nadziei. Rewolucja miała jedynie oczyścić ideologię Starego Zakonu, wrócić ją ku jej pierwotnym korzeniom a zarazem dać jej nową treść socjalną.

Ten manifest nowej emigracji czeskiej ukazuje się jednocześnie w języku czeskim w specjalnym numerze *Literarnich Listów* wydanym przez rzymski tygodnik *Espresso*.

Nie przyszła bowiem — przynajmniej w zamierzeniu — by obalić Prawo, lecz aby je wypełnić.

Logika historii prowadziła do tego, że owo wypełnienie musiało być jednocześnie obaleniem starego, nieludzkiego kultu okrutnego i nieobliczalnego Jehowy i jego sług, musiało być intronizacją nowego porządku umysłowego z ludzką twarzą. Gdyż stare i dotąd obowiązujące prawa musiały wydawać się bardziej oświeconym jednostkom już bezsensownymi i nawet jeśli nie chciano się jeszcze z nimi rozstać, to musiano próbować nadać im nowe znaczenie i nowy cel. Miejsce grzmiącego boga na niebie miał odtąd zająć człowiek, ludzki bóg na ziemi ze swym humanitarnym królestwem miłości bliźniego.

Rewolta przyszła przedwcześnie. Świat pełen był jeszcze tępych Rzymian z ich maszynami wojennymi, a gdzieś poza epicentrami cywilizacji przygotowywali się barbarzyńcy przybrani w skóry zwierząt, zagrażając tyłom władającego światem imperium. Namiestnik cesarza mógł umyć ręce i przekazać reformatorów dogmatycznym kapłanom, pragnącym tylko utrzymania się u władzy, oraz garści ich sfanatyzowanych zwolenników, domagających się ukrzyżowania.

Nie upłynęło wiele czasu, a ów mały naród, w którym krzewił się praktyczny zmysł krytyki i racjonalny sceptycyzm, łączący się w podziwu godny sposób z mesjanistycznym entuzjazmem, wstał na swoją drogę krzyżową do diaspory. I znów nie potrafiło długo, a pyszne mocarstwo, sięgające ku gwiazdom, rozbili barbarzyńcy.

Rewolucja musiała przyjść przedwcześnie. Bowiem rzeczywiste powstanie ducha nigdy nie przychodzi „w czas”, gdy sprawa i tak już jest wygrana. Aby ziarno zakiełkowało i wydało owoc, musi nieraz paść na glebę niezoraną, musi się przedzierać przez kamienie i wzmocniać mrozami. Lecz łodyga jest mocna, a kłos obiecuje urodzaj przyszłym pokoleniom.

Logika historii jest nieubłagana zarówno wobec rewolucji jak wobec ich ideologii. One również dojrzewają, starzeją się i umierają na sklerozę. Skoro tylko idea zinstytucjonalizuje się i stanie się obrządkiem państwowym, zamienia się w nowy dogmat i wtedy nieuchronnie pojawia się nowa herezja, schizma i nowe osiągnięcia myśli, w których wschodzi ziarno starego boju o prawdę.

Nie tak dawno przecież, zaledwie kilka wieków, jak Europę — na razie w ukryciu — ogarnął znowu głęboki kryzys. Tym razem był to kryzys Rzymu kościelnego i wielkich mocarstw chrześcijańskich. Wtedy to w jednym niewielkim kraju pośrodku kontynentu, w kraju przez stulecia ścisłanym żelazną obręczą potężnych sąsiadów, w kraju, któremu sądzone było poznać przełiczne nieszczęścia, mały naród obdarzony praktycznym zmysłem krytyki i zdrowym sceptycyzmem pokusił się — nie bez mesjanistycznego entuzjazmu — o wielki atak na panujący Dogmat.

Na początku stała znowu jednostka, oświecony średniowieczny intelektualista, w którego skali wartości najwyższe miejsce zajmowała Prawda. Również teraz nie była to próba obalenia ów-

czesnej ideologii, lecz tylko oczyszczenia jej i powrotu do źródeł, próba rewolucyjnej reformy ideologii i utopii Nowego Zakonu. Przewrót intelektualny, który rozpoczął się od krytyki niektórych dogmatów oraz przegniętej praktyki aparatu władzy, w naturalny sposób połączył się z próbą dania starej nauce nowej społecznie etycznej treści. Ideologia pękającego pancerza kościelnego, która zdążyła już się stać znowu nieludzką, znalazła się w konfrontacji z próbą chrześcijaństwa z ludzką twarzą.

Także i tym razem rewolta przyszła przedwcześnie. Ci, którzy władali siłą i brutalną przemocą siedzieli jeszcze zbyt pewnie w swych krzesłach, aparaty ich funkcjonowały jeszcze bezbłędnie, przygotowując się do nadejścia inkwizycji, a narody znały jedynie fałszywą świadomość, głoszoną im z kazalnicy przez służebników panującej potęgi ideologicznej. Sobór mógł bez obawy skazać nieposłusznych, obcy władca mógł znowu umyć ręce złamawszy słowo i przekazawszy miłośnika prawdy płomieniom, opancerzeni krzyżowcy z kilku krajów prawowiernego bloku chrześcijańskiego mogli wtargnąć przez granice. Bohaterski opór małego narodu przeciw przemocy ideologicznej i wojskowej załamał się na koniec i nastał czas ciemności i wygnańców, czas płaczu proroków. Ślady nieudanej bohaterskiej próby wryły się jednak głęboko w nasz los i w świadomość naszego narodu.

Aż z końcem lat sześćdziesiątych naszego tyle obiecującego a zarazem tak nieszczęsnego stulecia, sięgającego ku gwiazdom a zarazem spadającego znowu do głębin okrucieństwa, tępoty i agresji, znowu mały kraj w środku Europy pokusił się o oczyszczenie swych szeregów od wszelkiej niesprawiedliwości i bezprawia, spróbował powrócić do źródeł swych humanitarnych tradycji, przegnać ropuchy znad źródeł a kramarzy ze świątyni. Chciał dać swemu głęboko zdeformowanemu ustrojowi nową treść, usunąć nieludzkie porządki i przywrócić społeczeństwu ludzką twarz.

Była to chyba znowu próba przedwczesna. Lecz jeśli była przedwczesna i skazana na klęskę, to mimo to nie należy popadać w rozpacz. Ślad tej próby wryje się głęboko w historię, a ziaro jeśli nawet nie wyda kłosów już dzisiaj, to wszędzie niepowstrzymanie jutro, wzmocnione przez mrozy.

Również i dzisiaj cała Europa, ba, cała planeta, jest w kuczach kryzysów intelektualnych i etycznych, burz antyautorytarnych, niepokoju socjalnych, przewrotów narodowych i wojсковych. Szukając Miłości i Pokoju, a zarazem nienawidząc swego własnego społeczeństwa przeżuwa dosytu, upojeni narkotykami, psychodeliczną muzyką czy też ideami ubóstwianych rewolucjonistów, młodzi synowie i córki ojców z *Establishment*'u zakładają niewidziane dotychczas subkultury komun, *hippies*'ów i innych współczesnych nowochrześcijańców i adamitów.

Herezje i schizmy zagrażają tak dawniej monolitycznemu blokowi neostalinizmu. Wewnątrz jego imperium krzyżuje się, traci lub zsyła na wygnanie reformatorów, marzycieli i pisarzy. Właśnie

minął rok, jak w prastarej Pradze, na skrzyżowaniu europejskich kultur, zapłonęła młodzieńcza pochodnia Jana naszych czasów.

Świat wciąż jeszcze pełen jest tępych władców, aparatczyków, biurokratów i generałów. Tam, gdzie przed rokiem jeszcze zwykliśmy byli słyszeć słowa pełne nadziei, odzywają się dziś tylko niewiarygodnie głupie i pełne pogroźek kazania służebników obcej Potęgi. A gdzieś poza tradycyjnymi ośrodkami kultury europejskiej przygotowują się — znowu niemal w skórkach barbarzyńców — nowe „rewolucje kulturalne”...

A jednak tak jak niegdyś husytyzm stał się jednym z niewielu czaskich pojęć, które weszły rzeczywiście do świadomości europejskiej, tak samo stało się z praską wiosną, która ofiarowała szukającej ludzkości jakąś nadzieję i której wizja, o ile nie zamieni się w zwykłą tylko nostalgię, długo jeszcze unosić się będzie nie tylko nad naszymi miastami i wioskami. Gdyż bój Prawdy, stale zwyciężanej, z Siłą, zawsze znowu zwycięską, nigdy nie przebiega nadaremnie.

W ślepotę swej zauważaliśmy często jedynie rewolucje wstrząsające gospodarczymi, socjalnymi i politycznymi podstawami społeczeństw i zamieniające je w dymiące ruiny, na których w krwawych dobach rewolucyjnego i kontrrewolucyjnego terroru wyrasta w męce nowy ład.

Są jednak i inne rewolucje, etyczne i intelektualne, które pragną przywrócić rodowi ludzkiemu jego utraconą ludzką twarz. Są to rewolucje w rewolucji, w takiej, która zdążyła się już zdogmatyzować i zinstytucjonalizować, która zaczęła już zjadać swoje dzieci, nasycona trupami swych nieprzyjaciół.

Są one kłopotliwe, gdyż przeciw nim stoją z reguły potężne i bezlitosne siły, a one same często nie mają nic poza krytycznym rozumem, entuzjazmem i gołymi rękami.

Nie obiecują natychmiast, dziś jeszcze, dóbr ziemskich z wizją łatwego dobrobytu — te osiągają zazwyczaj tylko ustabilizowane społeczeństwa po długoletnim rozwoju. Pokonane przez obcą przemoc przynoszą tylko łzy, pot i zgrzytanie zębów.

Bywają przedwczesne, a po nich przychodzi czas ciemności i płaczu proroków.

Zasadą ich jest jednak zasada nadziei.

Ivan BYSTRINA

(Autoryzowany przekład Jana Torosiewicza)

Ivan BYSTRINA, ur. 8. X. 1924, politolog i filozof prawa. B. pracownik naukowy Czechosłowackiej Akademii Nauk w Pradze, b. redaktor naczelny czasopisma *Pravnik*. W okresie przed sierpniem 1968 członek zespołu naukowców, którego zadaniem było wypracowanie nowego modelu socjalistycznego dla Czechosłowacji. Podczas wiosny praskiej redaktor i współpracownik pisma *Literarni listy*. Od marca 1970 Visiting Professor na uniwersytecie heidelberskim.

List Wiktora Hugo do Herzena

W styczniu br. minęła setna rocznica śmierci Aleksandra Herzena. Z tej okazji Figaro Littéraire z 22 marca br. ogłosiło list Wiktora Hugo do Herzena wraz z apelem do żołnierzy rosyjskich tłumiących wówczas powstanie 1863 r. Apel ten ogłosił Herzen w Kołokole z 15 lutego 1863 r.

Przypomnienie tego apelu wydaje się nam bardzo na czasie.

Hauteville-House, 8 lutego 1863.

Mój mężny mój wypróbowany w walce bracie.

Pewien oficer rosyjski napisał do mnie z następującą prośbą, którą ci przekazuję. Opublikuj ją, wykorzystaj, jeżeli wierzysz, że może się to na coś przydać.

Pomagajmy sobie. Jesteśmy w tym samym narodzie, i jest tylko jedna sprawa; dopóki nie ma wolności — uwolnienie; skoro mamy wolność — postęp.

Z uwagą śledzę twoją przekonującą zwycięską działalność.

Pochwalam cię i cię kocham.

Victor HUGO

Żołnierze. Dajcie dowód swego człowieczeństwa.

Droga do sławy stoi dzisiaj dla was otworem, wykorzystajcie tę chwilę. Jeżeli nie zaprzestaniecie tej bezsensownej wojny, wy, oficerowie o sercu szlachetnym, lecz poddani dyktatowi, który może was zdegradować i wygnać na Sybir; jeżeli wy, żołnierze, wczorajsi niewolnicy i niewolnicy dzisiejsi, wyrwani z objęć waszych matek, waszych narzeczonych, z waszych domów, wy, karani chłostą, źle odżywieni, skazani na długie lata służby wojskowej, gorszej w Rosji niż ciężkie roboty w innych krajach, jeżeli wy — ofiary, będziecie walczyć przeciwko innym ofiarom, jeżeli w tej chwili uroczystej kiedy to Polska męczeńska powstaje mimo, że czas wyboru nie dojrzał jeszcze pomiędzy Petersburgiem a Warszawą, pomiędzy samowładztwem a wolnością; jeżeli w chwili tego tragicznego wybuchu nie wypełnicie waszego obowiązku braterstwa — jedyne jakiego należy wybrać, jeżeli pójdziecie z carem przeciw Polakom, jeżeli wybór wasz padnie na kata, który jest także waszym katem, jeżeli w waszej niewoli nauczyliście się jedynie pomagać oprawcy, jeżeli użyjecie broni służąc potwornemu despotyzmowi, który ciąży tak samo nad Rosjanami jak nad Polakami; jeżeli zamiast obrócić oręż przeciwko katom zmiążdżycie waszą przewagą w ludziach i broni bohaterski naród, którego cierpliwość jest u kresu i który głosi swoje święte prawo do własnej ojczyzny; jeżeli teraz w pełni XIX wieku zamordujecie Polskę, jeżeli to zrobicie, wiedzcie żołnierze armii rosyjskiej, że stoczyć się niżej jeszcze niż zbrojne bandy Ameryki Południowej i że wzbudzić obrzydzenie całego cywilizowanego świata. Nawet zbrodnie do których jesteście zmuszani pozostają zbrodniami; wstręt całego społeczeństwa będzie karą za nie.

Żołnierze rosyjscy, czerpcie natchnienie z czynu Polaków, nie zwalczajcie ich. To nie wróg stoi naprzeciw was, ale przykład.

Victor HUGO

Hauteville-House, luty 1863

KOŁAKOWSKI W SAMIZDACIE

W sowieckim samizdacie ukazał się ostatnio artykuł Leszka Kołakowskiego *Co to jest socjalizm?* Jest coś symbolicznego w tym, że przekład rosyjski został dokonany nie z oryginału polskiego, lecz z tłumaczenia czeskiego ogłoszonego w Pradze w kwietniu 1968 roku.

Należy oczekiwać, że działalność samizdatu wzrośnie w najbliższym czasie w związku z rugami i czystkami w śmielszych czasopismach sowieckich. Te rugi i czystki pociągnęły chwilowo za sobą katastrofalny spadek nakładów. I tak, na przykład, *Junost* obniżyła swój nakład z przeszło dwóch milionów do półtora miliona egzemplarzy.

COMES

Sekcja sowiecka wystąpiła z *Comunità Europea degli Scrittori* (COMES), jedynej międzynarodowej organizacji pisarzy która miała swoje odgałęzienie w Moskwie i członków sowieckich w swoim zarządzie (wiceprezesa był Twardowski, w skład rady naczelnej wchodził Abaszidze). Powód zerwania: Sołżenicyn. 14 stycznia br. sekretarz generalny COMES, Giancarlo Vigorelli, rozesał do szeregu sowieckich członków stowarzyszenia listy protestujące przeciw haniebnemu zachowaniu się Związku Pisarzy Sowieckich w sprawie Sołżenicyna. Biuro sekcji sowieckiej COMES uznało to za „próbę przeciwstawienia literatów sowieckich — członków COMES Związkowi Pisarzy ZSSR”. Oburzone listy otwarte do Vigorellego ogłosili w *Literaturnoj Gazietie* Gribaczow i Woronkow. Vigorelli oświadczył: „Jeżeli Związek Pisarzy Sowieckich zamierza wyznaczyć na swoich reprezentantów w COMES siedmiordnych pisarzy i tępych biurokratów w rodzaju Gribaczowa i Woronkowa, to nie tego zerwania nie odwróci. Nie ma mowy o jakimkolwiek dialogu z ludźmi tego pokroju”.

SUBSKRYPCJA NA „DZIEŁA” W. GOMBROWICZA
(Lista Nr 5)

AB Sandberg Bokhandel, Stockholm (2-gi).	Roch Boncza-Ozdowski, West Hollywood.
Akademische Buchhandlung, Otto Rasch, Marburg/Lahn.	Dr Władysław W. Socha, Woodside, N.Y.
Karolina Borchard, Londyn.	Bolesław Srebro, Bergen, Norwegia.
Bogdan Czaykowski, Vancouver.	Marian Sromek, Chicago.
Cleveland Public Library, Cleveland, O.	Adam Szyper, New York.
B. Czarnocha, New York.	Paweł Rawita-Gawroński, Zürich.
Mgr B. Grabowski, Londyn.	Zb. Szpikowski, Toronto.
Librairie Hachette, Paryż.	Alojzy Sztupak, New Britain.
Wiesława Kolacz, West Hartford, Conn.	A. Richter, Bahamas.
M. Laskowski, Buffalo, N. Y.	Jerzy Urbański, Stockholm.
S. Makuch, Montreal.	Westfälische Wilhelms-Universität, Münster.
Dr K. Murawski, Plainfield, N.J.	Aleksander Zawadzki, Westfield, Mass.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Kraj

Statystycy i statyści

Pewnego razu zapytałem wysokiego dygnitarza partyjno-państwowego, dlaczego opóźnia się opublikowanie komunikatu Głównego Urzędu Statystycznego o wykonaniu Narodowego Planu Gospodarczego. W odpowiedzi usłyszałem: „GUS przygotował wszystko w terminie, ale biuro polityczne nie może się jakoś zebrać, żeby podjąć odpowiednie decyzje”. Po kilku bodaj tygodniach dowiedziałem się, że biuro polityczne wreszcie się zeszło i skorygowało dane GUSu dotyczące wzrostu przeciętnej miesięcznej płacy realnej. Według GUSu wskaźnik wzrostu wynosił, w porównaniu z rokiem poprzednim, powiedzmy, 2,0 %, a biuro polityczne uznało wzrost za... niedostateczny i podwyższyło wskaźnik do 2,5 czy 3,0 %. Ta „polityczna” decyzja, będąca w istocie czystym szalbierstwem, zmusiła GUS do „skorygowania” wielu innych danych liczbowych. Boć przecież w *Roczniku Statystycznym* liczby muszą się ze sobą zgadzać, nikomu wszak nie wpadnie na myśl napomknąć w przypisach: „Po korekcie biura politycznego”... Trzeba więc było dopasować, czyli mówiąc wprost — zafałszować dane dotyczące wzrostu osobowego funduszu płac, przeciętnej miesięcznej płacy nominalnej, kosztów utrzymania, realnego osobowego funduszu płac — zgodnie z tempem „wzrostu” przeciętnej miesięcznej płacy realnej. Ale to nie wszystko, bo w ślad za tymi zmianami odpowiednim przekształceniom ulec musiały liczby i wskaźniki wielu innych działów statystyki. Porządek musi być!

Innym razem zapytałem równie wysokiego dygnitarza państwowego, co sądzi o poziomie wydatków na obronę narodową. „Według GUSu, w 1967 roku wydano na ten cel ponad osiem procent budżetu państwa, a według nieoficjalnych danych co najmniej dwa razy tyle”. Było to powiedziane ot tak sobie, bez zażenowania czy rumieńca wstydu, nawet nie zastrzegł się jak zazwyczaj: „Tylko pamiętajcie, to tajemnica, ja wam tego nie mówiłem...”. I zresztą cóż dziwnego, nawet uczeń licealny wie,

że poziom wydatków na obronę jest tajny, czyli że publikacje na ten temat są nieprawdziwe. Nie każdy jednak zdaje sobie sprawę z tego, że skoro jedna pozycja budżetu została sfałszowana, inne również są nieprawdziwe. Jeśli wydatki na obronę narodową stanowią zamiast 8-16 czy więcej procent, to inne wydatki budżetu państwa, zwłaszcza na usługi socjalne i kulturalne oraz ubezpieczenia społeczne wynoszą — nie, powiedzmy, 20 % jak to wynika z *Rocznika*, lecz odpowiednio mniej.

Już na podstawie dwóch przykładów człowiek, nawet nie obeznany z kulisami „socjalistycznej statystyki”, musi dojść do wniosku, że po pierwsze — statystyka ta prawdy nie powie, a po wtóre — osiągnięcia, którymi szczyli się reżym komunistyczny, nie mogą być traktowane poważnie. W roku 1662 ukazała się w Londynie praca Johna Graunta o liczebności mieszkańców Londynu, zapoczątkowując stosowanie metod statystycznych. Chociaż historia statystyki jest dużo starsza, ale dopiero od czasów Graunta mówi się, że *statystyka, to umiejętność otwierania ust liczbom*. Parafrazując tę żartobliwą definicję można powiedzieć, że reżymowa statystyka przekształciła się w *umiejętność zamykania ust liczbom*. Prymitywni w swym despotyzmie władcy myślą się oczywiście sądząc, iż zamykając usta liczbom — zmieniają świat, którym rządzą. Zresztą, nie tylko ludzie, również liczby nie milczą. Aby się o tym przekonać, wystarczy lektura *Rocznika Statystycznego 1969*.

Metodologia fałszerstw

Chociaż nie, trzeba będzie się również cofać, zaglądać do poprzednich roczników, porównywać je, aby tym łatwiej „otworzyć usta liczbom”. Zapamiętałem np., że według *Rocznika Statystycznego 1967* Rada Państwa przyznała w 1966 roku ogółem orderów i odznaczeń 26.536 (dwadzieścia sześć tysięcy pięćset trzydzieści sześć...), czyli mniej więcej 0,8 na 1.000 mieszkańców. A ponieważ w dwóch następnych latach świętowano rocznicę PKWN oraz zwycięstwo nad młodzieżą akademicką odniesione wiosną 1968, były zatem ważne okazje do znacznego zwiększenia liczby odznaczonych, chciałem więc w nowym roczniku uzyskać pogląd na tę istotną sprawę. I cóż — w nowym roczniku tabela o nadaniu orderów i odznaczeń znikła! Tymczasem w przedmowie napisano czarno na białym: „Tematyka niniejszej publikacji została dość poważnie rozszerzona...”. Więc? Inny przykład. Jak wiadomo, przedwojenny („burżuazyjny”) *Mały Rocznik Statystyczny* skrupulatnie rejestrował liczbę mniejszości narodowych w Polsce: według języka ojczystego i wyznania. Wpadło mi więc na myśl sprawdzić, co z tych mniejszości pozostało oraz jak traktuje je socjalistyczna statystyka. Owszem, w *Roczniku 1969* (podobnie jak w poprzednich) coś niecoś znalazłem, mianowicie, wykaz zawierający 18 wyznań religijnych — liczby parafii, zborów, gmin wyznaniowych i duchownych, ale *bez liczby wierzących!* W innym

miejscu, w rozdziale o szkolnictwie, odkryłem małą tabelkę zatytułowaną „Uczniowie szkół ogólnokształcących z niepolskim językiem”, podzieloną na cztery rubryki: białoruski, litewski, słowacki, ukraiński, a na dole przypis: „Uwaga. Tablica dotyczy uczniów narodowości niepolskich”. A zatem są mniejszości narodowe! Ilu jest niepolskich uczniów? Dokładnie: 3.367... I to już wszystko, co socjalistyczny rocznik statystyczny ma do powiedzenia na temat mniejszości narodowych! Nie ma Niemców, ani Rosjan, nawet Żydów, których liczbę sam Gomułka w 1967 roku publicznie ocenił na 25 tys. Trudno tedy nie przyznać partii racji kiedy powiada, że socjalizm zlikwidował problem mniejszości narodowych. Oczywiście, w dużym stopniu dzięki statystyce. I jeszcze jeden przykład, tym razem z dziedziny międzynarodowej. W przeglądzie międzynarodowym w *Roczniku Statystycznym 1969* znajduje się m.in. tabela obrazująca podział dochodu narodowego na spożycie i akumulację w ważniejszych państwach świata. Są tam dane o USA, NRF, Francji, W. Brytanii, Japonii itd. A jak ten podział wygląda w ZSSR? Tajemnica — nie ma ZSSR! W innym miejscu tabela charakteryzuje liczby samochodów będących w użytkowaniu, m.in. w głównych państwach świata, ale ZSSR brak... Tak samo ma się sprawa z samobójstwami (w kraju budującym komunizm nie ma samobójstw...), z wypadkami drogowymi (w ZSSR tylko obcokrajowcom przytrafiają się wypadki), z zasobami mieszkaniowymi itp., itd.

Przykładów, jak się wydaje, wystarczy, można już pokusić się o sformułowanie pierwszego wniosku: *jedna z metod fałszowania reżymowej statystyki polega po prostu na przemilczaniu niewygodnych liczb*. Toteż nie ma bezrobocia, chociaż w kraju występują „nadwyżki siły roboczej”. Nie ma przestojów w czasie pracy robotników, daje natomiast o sobie znać spadek dyscypliny klasy robotniczej. Brak mniejszości narodowych, chociaż istnieją różnej maści nacjonalizmy. I jest wreszcie nieustanny wzrost stopy życiowej mimo, że społeczeństwo ma w tym względzie zgoła odmiennie zdanie.

Druga metoda jest bardziej skomplikowana, a dla jej scharakteryzowania ponownie kilka przykładów. Jak Czytelnik sądzi, ilu ludzi zatrudniła gospodarka narodowa np. w 1965 roku? Mimo pozorów, trudna będzie to odpowiedź, jeśli nawet ktoś uzbroi się w rocznik statystyczny, bo jeszcze pytanie, którym rocznikiem Czytelnik zechce się posłużyć. Jeśli *Rocznikiem Statystycznym 1966*, to z tablicy 1 dowie się, że liczba zatrudnionych (powtarzam — w gospodarce narodowej) wynosiła w 1965 r. 8.794 tys. Ale z *Rocznika 1967* wynika (też z tablicy 1), że było tylko 8.427 tysięcy czyli o 367 tys. ludzi mniej... A z *Rocznika 1968* czytelnik się dowie (ciągle z tablicy 1), że liczba zatrudnionych w tym samym 1965 roku była jeszcze niższa, bo wynosiła 8.386 tys... W ostatnim zaś *Roczniku 1969* liczba ta urasta (powtarzam — w 1965 roku) do 8.611 tys.! Powie ktoś, że te liczby się nie zgadzają. Słusznie! GUS jednak formalnie bierze w porządku, nikt mu niczego nie udowodni. W każdym bowiem roczniku wpro-

wadzano *przypisy wyjaśniające*, kogo w tym roku zaliczono, a kogo pominięto w rubryce „zatrudnienie w gospodarce narodowej”. Więc w jednym roku dane obejmują uczniów w następnym bez uczniów, ale za to wraz z niepełnozatrudnionymi w przeliczeniu na pełne etaty. A w ostatnim roczniku dodano jeszcze jedno novum: „Wraz z właścicielami i pomagającymi członkami rodzin”...

I tak poczyna sobie GUS w każdym niemal dziale ważnej przecież publikacji. Oto dział o dochodach ludności i spożyciu. W *Roczniku 1968* w uwagach ogólnych znajduje się zastrzeżenie, którego nie było poprzednio, że „dane za lata 1965 i 1966 (...) skorygowano w porównaniu z poprzednio publikowanymi, w związku z odmienną metodą szacunku usług”. A zatem nowa metoda szacunku pozwala korygować stare informacje statystyczne! Która z owych metod szacunku usług była bliższa prawdy? W jakim celu dokonano zmiany metody szacunku? Retoryczne pytania... W dziale o inwestycjach i środkach trwałych w *Roczniku 1968* pojawia się nagle uwaga: „Dane za lata 1946-1966 (...) zostały częściowo zmienione w stosunku do poprzednio opublikowanych, w związku ze zmianą Klasyfikacji Gospodarki Narodowej z dniem 1. I. 1967”. A w *Roczniku 1969* w tym samym dziale jeszcze jedna zmiana: „Dane za lata 1960-1967 dotyczące gospodarki nieuspołecznionej zostały zwiększone w stosunku do poprzednio opublikowanych w związku z ujęciem wartości urządzeń zaopatrzenia w wodę indywidualnych gospodarstw rolnych”. W każdym roczniku, we wszystkich w zasadzie działach wprowadza się co rok zmiany, na podstawie których dokonuje się osobliwych korekt danych statystycznych dotyczących poprzednich okresów. Można tedy powiedzieć, iż następna z kolei metoda fałszowania reżymowej statystyki polega na *systematycznym przekształcaniu* tzw. bazy porównywalnej, aby uniemożliwić obiektywne porównywanie i tym łatwiej ukryć prawdziwy stan rzeczy. Przed kim? Przed obcymi wywiadami? Jak dotychczas, ekwilibrystyka ze statystyką nie stanowi dla nich większych trudności. A więc przed swoimi, przed własnym społeczeństwem? Właśnie, o to chodzi. I dlatego dane zawarte w poszczególnych rocznikach różnią się między sobą. Z tego samego względu GUS zmuszony jest prowadzić podwójną buchalterię, jedną przeznaczoną dla mas, drugą dla elity rządzącej. Obok więc oficjalnych i ogólnie dostępnych wydawnictw, GUS drukuje biuletyny „poufne”, „tajne” i „ściśle tajne”. Z jawnych publikacji czytelnik dowiaduje się o wzroście poziomu spożycia, że podnosi się płaca realna — a z niejawnych publikacji zaufana część elity uzyskuje informacje o tym, że jest wprost przeciwnie... Biuro polityczne fałszuje dane o wzroście płac realnych, a policja aresztuje ludzi protestujących przeciwko stagnacji, względnie spadkowi tychże płac. Boć przecież w *Roczniku* pisze czarno na białym, że rośnie! Więc chyba rośnie, no nie?

O tym, jak dalece partia i usłużna jej statystyka nie liczą się z opinią publiczną, w szczególności załóg fabrycznych, niech świadczy następujący przykład. Oto dane zaczerpnięte z dwóch

roczników o nakładach finansowych na bezpieczeństwo i higienę pracy w gospodarce uspołecznionej w roku 1967.

Według *Rocznika 1968*:

Nakłady ogółem	13.630,0 tys. zł.
w tym odzież i obuwie ochronne	5.340,7 tys. zł.

Według *Rocznika 1969*:

Nakłady ogółem	11.568,2 tys. zł.
w tym odzież i obuwie ochronne	4.666,1 tys. zł.

Jak widać *Rocznik 1969* pomniejszył nakłady ogółem o ponad 15 %, a w przypadku odzieży i obuwia o więcej niż 13 %. Są to różnice z punktu widzenia interesów robotnika wcale niebagatelne, bo ile w końcu naprawdę wydano na poprawę jego bezpieczeństwa i higieny pracy — tyle, ile twierdzi jeden rocznik, czy też ile wskazuje drugi? Aby sprawdzić, czy nie popełniłem jakiegoś przeoczenia, błędu, skrupulatnie porównałem przypisy, którymi zaopatrzone odnośne tablice w obydwu rocznikach. Żadnych zmian, uwag, sprawdziłem także obydwa erraty — nie! Co prawda, nad tablicami dodano w nawiasie „ceny bieżące”, ale czy słyszał kto, żeby w okresie tegoż roku ceny odzieży i obuwia uległy obniżce? Jeśli się zmieniły, to na pewno wzrosły... Do jakiego więc celu mogła służyć ta swoista manipulacja liczbami? A oto i cel, czytamy tym razem już tylko w *Roczniku 1969*:

Nakłady ogółem w 1968 roku	12.865,3 tys. zł.
w tym odzież i obuwie	5.173,3 tys. zł.

Łatwo zauważyć, iż nakłady w 1968 roku są *niższe* od nakładów w 1967 roku — ale w wersji *Rocznika 1968*; według zaś wariantu *Rocznika 1969* są one *wyższe*. W ten sposób, tanim zgoła kosztem, osiągnięto „dynamiczny wzrost” nakładów finansowych na bhp, faktycznie jednak nastąpił bezwzględny ich spadek, mimo że wzrosła w tym okresie liczba robotników. Toteż liczba wypadków przy pracy rośnie, czego nie jest w stanie ukryć nawet zakłamana statystyka. Jak notuje *Rocznik 1969*, liczba zatrudnionych w gospodarce powiększyła się w latach 1966-1968 o mniej więcej 8 %, za to liczba wypadków śmiertelnych wzrosła w tym samym okresie o ponad 26 %! Przytoczone przykłady są chyba wystarczające, trzeba jednakże pamiętać, że wszystkie roczniki, z ostatnim łącznie, aż się roją od mniej lub bardziej zakamuflowanych fałszów.

Objawy chorobowe

Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia w tym miejscu uwagi Lenina o znaczeniu statystyki. „Statystyka była w społeczeństwie kapitalistycznym wyłączną domeną 'urzędasów' lub wąskich specjalistów, my powinniśmy ją udostępnić masom i popu-

laryzować"... Nie widzę potrzeby udowadniania, że i w tej dziedzinie Lenin wykazał krótkowzroczność. Statystyka na Zachodzie przeżywa niespotykany rozkwit, m.in. dzięki cybernetyzacji metod i techniki statystyki, a w krajach socjalistycznych, w tej liczbie również w Polsce, statystyka — ta obiektywna, prawdziwa — zejść musiała do swobodnego podziemia, a oficjalna — ta zakłamaną — stała się jeszcze jednym katalizatorem frustracji społecznej. Niestety, dane statystyki „podziemnej” są fragmentaryczne, nie dają poglądu na rozwój całej gospodarki, nie upoważniają do generalnych ocen. Trzeba zatem zadowolić się oficjalną statystyką uwzględniając atoli, że jest zafałszowana. Mimo jednak fałszów, statystyka nie jest w stanie ukryć rzeczywistych tendencji i kierunków rozwojowych, skutków określonych decyzji podejmowanych przez partię, w istocie przez biuro polityczne. Na podstawie liczb zawartych w *Roczniku 1969* można, niczym w zwierciadle, ujrzeć odbicie tych decyzji i wywoływane przez nie zjawiska chorobowe.

W świetle danych statystycznych wzrost dochodu narodowego w 1968 roku była najwyższy od 1955 roku, wyniósł bowiem aż 9 %, podczas gdy np. w okresie 1963-1967 sięgał tylko 6-7 %. Był to więc rok wyjątkowo pomyślny, tak wysokim przyrostem dochodu narodowego mogło się poszczycić niewiele krajów na świecie. Tymczasem z różnych enuncjacji partyjnych wynikało, że sytuacja gospodarcza Polski w tym właśnie roku miała wiele słabych stron, a w odczuciu społeczeństwa rok 1968 uznany był za jeden z gorszych. Przyjmując, że wskaźnik 9 % jest prawdziwy, nasuwa się, rzecz zrozumiała pytanie, dlaczego tak znaczny wzrost dochodu narodowego nie wywarł dodatniego wpływu na gospodarkę i warunki bytu społeczeństwa.

Pierwsze, co się rzuca w oczy, to systematyczny z roku na rok spadek udziału w podzielonym dochodzie narodowym spożycia oraz wzrost udziału akumulacji. Oto dane:

	1960	1961	1962	1963	1964	1965	1966	1967	1968
Spożycie	76	75	76	75	74	73	72	73	71
Akumulacja	24	25	24	25	26	27	28	27	29
w tym nakłady inwestycyjne	17	17	19	18	18	19	20	21	22

Jak wynika z przytoczonej tablicy, w roku 1968 z bochenka zwanego dochodem narodowym odkrojono aż 29 % z przeznaczaniem na akumulację, wydatnie uszczuplając pozostałą część bochenka przeznaczoną na spożycie. Nie dysponuję jeszcze danymi za ten sam rok dotyczącymi innych państw, w latach jednak poprzednich, włącznie z rokiem 1967, Polska była na mapie gospodarczej świata niechlubnym pod tym względem wyjątkiem. Tak wysokiego udziału akumulacji nie notowano w żadnym z krajów socjalistycznych (o ZSSR dane w tym zakresie są „tajne”) i również w niewielu krajach innych obszarów geopolitycznych. Np. USA przeznaczyły na akumulację w 1967 r. 17 %, W. Brytania ok.

19 %, Francja niecałe 23 %, Portugalia ponad 18 %, Włochy 21 %, NRF 24 %. Tak wysoki udział akumulacji w Polsce kładzie się ciężkim brzemieniem na barki całego społeczeństwa, które nie otrzymuje należytej zapłaty za wzrost wydajności pracy i zatrudnienia, ani spodziewanej rekompensaty z tytułu wyrzeczeń na rzecz stale rosnących nakładów inwestycyjnych. Gospodarka narodowa przeistoczyła się w molocho, który sam się pożera... Rozwijają się ona pod względem ilościowym, coraz więcej przybywa obiektów produkcyjnych, które zużywają rosnące ilości surowca i materiałów — po to, aby w następnym roku można było zbudować nowe obiekty, które... itd. Toteż zwiększa się rozpiętość pomiędzy dochodem narodowym i spożyciem przez ludność dóbr materialnych z dochodów osobistych:

	1965	1966	1967	1968
Dochód narodowy na 1 mieszk. w tys. zł.	16,9	17,9	19,0	20,7
Spożycie na 1 mieszkańca w tys. zł. ..	10,9	11,4	21,1	12,9
Różnica (rozpiętość)	6,0	6,5	6,9	7,8

Tak to wygląda w świetle oficjalnej statystyki, w rzeczywistości różnice są jeszcze większe, istotne jednak, że *Rocznik* ukazuje kierunek rozwojowy, tendencję dalszego obniżania udziału spożycia w dochodzie narodowym. Ujawnia to właśnie jeden z najważniejszych objawów chorobowych, który to objaw sam przez się wywołuje liczne zaburzenia w gospodarce narodowej i społeczeństwie.

Jedną z przyczyn tak wysokiego udziału akumulacji w dochodzie narodowym jest niewątpliwie bardzo niska efektywność nakładów inwestycyjnych będąca z jednej strony wynikiem skandalicznej wprost organizacji budowy nowych obiektów — ich średnie cykle realizacji są z reguły wieloletnie; a z drugiej strony — z wstecznego systemu zarządzania i planowania. Można z góry założyć, „na ślepo”, że w innych warunkach, przy innej organizacji i odmiennym systemie zarządzania oraz planowania, z każdego miliarda złotych inwestycyjnych można byłoby uzyskiwać efekty ekonomiczne o kilkadziesiąt procent wyższe! I tu ciekawostka na marginesie. Otóż w jednym ze zjednoczeń przemysłowych dyrektor, gwoli raczej zabawy i z ciekawości, opracował analizę ekonomiczną przyjmując abstrakcyjne założenie, iż posiada pełnię praw gospodarczych i może obracać nakładami inwestycyjnymi według zasad i potrzeb dyktowanych przez rozsądek ekonomiczny. Nie będę referował szczegółów tego dokumentu, którego jedynym przeznaczeniem, podobnie jak to się dzieje w przypadku wielu... książek, była szuflada. Ujawnienie dokumentu byłoby brzemienne w takie same konsekwencje, jakie spotkały np. autora szopki, Szpotańskiego... W każdym razie dyrektor doszedł do wniosku, że można bezboleśnie zrezygnować z co najmniej trzydziestego procent nakładów, a pozostałe ulokować w sposób, który zapewni efekty wyższe od oficjalnie planowanych również o trzydzieści procent! Że to nie bajka zmyślona przez autora, niechaj potwierdzeniem służy inny przykład — już bez potrzeby

ukrywania nazwy przedsiębiorstwa. W kołach gospodarczych i partyjnych dobrze jest znany dokument, opracowany przez grupę specjalistów angielskich, którzy przez czas dłuższy badali organizację produkcji w zakładach „Ursus”. Jest to wielki zakład budowy traktorów, zatrudniający kilkanaście tysięcy ludzi, stale rozbudowywany, powiększający z roku na rok liczbę zatrudnionych i kwotę nakładów inwestycyjnych. I cóż „odkryli” Anglicy?

Stwierdzili oni mniej więcej co następuje: *Można zmniejszyć załogę o połowę oraz podwoić produkcję przy niewielkim stosunkowo wzroście nakładów finansowych.* Dokument Anglików uznany został za ściśle tajny, wydano zakaz publikowania jakichkolwiek rozważań na temat wyników badań Anglików... Nieczyste sumienie jeszcze raz zatriumfowało nad poczuciem odpowiedzialności i zdrowego rozsądku.

Niska efektywność nakładów inwestycyjnych, a w konsekwencji niska wydajność społeczna gospodarki narodowej, w tym również przemysłu, sprawiają, że dla zapewnienia nieustannego ilościowego wzrostu dóbr materialnych potrzeba coraz więcej nakładów finansowych kierować do działów gospodarki zwanych produkcyjnymi. *Irracjonalny podział na „produkcyjne” i „nieprodukcyjne” oraz wzrastający udział wydatków na cele „produkcyjne”, oto następna przyczyna choroby polskiej gospodarki.* Jak wiadomo, do działów produkcyjnych partia zalicza przemysł, rolnictwo, transport, łączność oraz obrót towarowy; do nieprodukcyjnych zaś gospodarkę komunalną i mieszkaniową, oświatę, naukę i kulturę, ochronę zdrowia, opiekę społeczną, a także z działu transportu, drogi publiczne. Jest rzeczą zrozumiałą, że już sam podział rodzi w mentalności działaczy partyjnych i gospodarczych przeświadczenie, iż działy produkcyjne są „ważniejsze” od działów nieprodukcyjnych, co w pewnym sensie bierze się zresztą z samej doktryny, w myśl której usługi niematerialne „nie tworzą” dochodu narodowego... Jakie są zatem tendencje ujawniające się w podziale nakładów inwestycyjnych na produkcyjne i nieprodukcyjne? Jeszcze w 1960 roku na cele produkcyjne przeznaczono 69% nakładów, a na nieprodukcyjne 31%; w 1965 roku odpowiednio proporcje wynosiły już 75,5% i 24,5% natomiast w 1968 roku 77,0% i 23,0%. Innymi słowy następuje szybki wzrost udziału nakładów na działy tzw. produkcyjne i spadek udziału nakładów na działy tzw. nieprodukcyjne. Prowadzi to do coraz ostrzejszych dysproporcji pomiędzy rozwojem przemysłu, rolnictwa i budownictwa, a pozostającymi coraz bardziej w tyle gospodarką komunalną, oświatą, zdrowiem itp. Rzecz nie do wiary, *Rocznik* w tym przypadku chyba nie kłamie, że w tak żywotnie ważnych i jakże zaniedbanych działach, jak gospodarka mieszkaniowa, oświata, kultura, ochrona zdrowia, następował w niektórych latach *bezwzględny spadek* nakładów inwestycyjnych i to w warunkach niesłychanego wzrostu ogółu nakładów! Czyż to nie paradoks, że Polska, kraj o tak wielkich potrzebach mieszkaniowych, wydaje na ten cel tylko 14% ogółu nakładów inwestycyjnych, podczas gdy w krajach zachodnich udział tych nakładów jest

nieporównanie wyższy? Np. w Danii stanowi on (dane za 1966 r.) 18,6%, w W. Brytanii 20,1%, w Szwecji 24,9%, we Francji 29,8%, w Grecji 30,1%, we Włoszech nawet 32,6%...

Tak więc zasada dzielenia nakładów na produkcyjne i nieprodukcyjne oraz związany z tym mechanizm podziału sprawiają, że jedne działy gospodarki narodowej są faworyzowane, uprzywilejowane, inne zaś niedoceniane, dyskryminowane. Pociąga to za sobą dalekosiężne skutki. Partia, nie bez racji zresztą, zarzucała Polsce przedwojennej nierównomierny rozwój województw, podział Polski na bardziej rozwiniętą część „A” oraz zacofaną część „B”. Okazuje się jednak, że w praktyce socjalistycznej wyrównanie tych dysproporcji jest równie trudne, ba! *dysproporcje nie maleją lecz rosą...* To zrozumiałe, skoro bowiem uprzywilejowuje się działy produkcyjne, a gros ich obiektów znajduje się głównie w województwach już dawniej rozwiniętych — tam więc płyną obfite strumienie nakładów inwestycyjnych. Stara to prawda, kapitał płynie do kapitału, przemysł — do ośrodków zurbanizowanych. Skutki? To właśnie we współczesnej Polsce „B” — w Białostockiem, Warszawskiem, Lubelskiem, Rzeszowskiem — przypada najwyższa liczba osób na 1 izbę mieszkalną; to tutaj najniższy jest procent mieszkań wyposażonych w gaz sieciowy, łazienki, ustępy, wodociągi... I w tych też województwach najrzadsza jest sieć ośrodków leczniczych, sklepów handlowych, kin oraz innych „nieprodukcyjnych” obiektów.

Mogłoby się jednak wydawać, że w wyniku takiej polityki podziału dochodu narodowego oraz nakładów inwestycyjnych przynajmniej następuje szybki wzrost *poziomu technicznego* działów produkcyjnych. *Otóż nie!* Nie jest tajemnicą, że poziom techniczny fabryk, transportu, budownictwa podnosi się zgoła nieznacznie, na dobrą sprawę można mówić o zastoju technicznym całych gałęzi przemysłu. Świadczy o tym m.in. statystyka charakteryzująca stopień zużycia maszyn i urządzeń technicznych. Ale najpierw pewne wyjaśnienie. W myśl sowieckiej doktryny ekonomicznej, w gospodarce planowej nie występuje zjawisko technicznego przestarzenia środków pracy, co usprawiedliwia długotrwałe użytkowanie maszyn, jeśli nawet w innych krajach zostały one dawno zastąpione nowocześniejszymi, bardziej sprawnymi. Toteż *Rocznik Statystyczny 1969* zawiera dane o zużyciu, jako wartości brutto środków trwałych (tzn. od chwili oddania do eksploatacji) pomniejszanej co rok po umorzeniu wartości amortyzacji, od której odlicza się wartość dokonanych kapitałnych remontów. A ponieważ wskaźnik procentowy amortyzacji jest co rok wyznaczany przedsiębiorstwom przez władze zwierzchnie, w ramach rozdziału ogółu wskaźników dyrektywnych, stąd tempo amortyzacji, czyli czas zużycia maszyn nie mogą być ustalone przez przedsiębiorstwa. Wspomniana doktryna oraz biurokratyczna praktyka, w połączeniu z wadliwie funkcjonującym zespołem bodźców ekonomicznych sprawiają, że unowocześnienie parku maszynowego napotyka na nieprzystawne bariery. I chociaż partia przy każdej okazji „napomina” działaczy gospodarczych o potrzebie

modernizacji potencjału wytwórczego, potencjał w coraz większym stopniu ulega technicznemu przestarzeniu. Po tym wyjaśnieniu wróćmy do statystyki obrazującej stopień zużycia maszyn i urządzeń technicznych. Otóż w 1968 roku stopień ich zużycia w całej gospodarce oceniono na 50,1 %, a w przemyśle na 51,5 %. Z innych jednak danych wiadomo, że w wielu gałęziach przemysłu wskaźnik ten wynosi 65 % i nawet 70 %. A ponieważ jeszcze kilka lat temu stopień zużycia, jak wynika z rocznika, był niższy, a więc wskaźnik rośnie, oznacza to zatem, że powiększa się udział maszyn przestarzałych technicznie. W okresie nasilającego się na świecie wyścigu w dziedzinie technologii prowadzi to do wzrostu dystansu dzielącego Polskę od krajów wyżej rozwiniętych — ze wszystkimi wpływającymi stąd skutkami. Takie są, w najogólniejszych zarysach, niektóre tylko objawy choroby, której nosicielem jest partia, głównie dogmatyczne i wsteczne kierownictwo.

Jak podnosi się stopa

Jak już wspomniano, rok 1968 był wyjątkowy z uwagi na wysoki wzrost dochodu narodowego, tymczasem w wielu dziedzinach życia zamiast oczekiwanej poprawy nastąpiło wyraźne pogorszenie. Sytuacja musiała stać się dramatyczną, jeśli GUS w oficjalnej publikacji nie mógł przemilczeć niepokojących zjawisk sygnalizujących zahamowanie wzrostu bądź nawet spadek stopy życiowej. W celu zilustrowania tych zjawisk pozwolę sobie przytoczyć trochę danych statystycznych. Przede wszystkim zbadajmy relacje pomiędzy tempem wzrostu dochodu narodowego, zatrudnienia, funduszu płac oraz przeciętnej miesięcznej płacy.

Rok poprzedni = 100	1965	1966	1967	1968
Dochód narodowy	107	107	106	109
Zatrudnienie w gospodarce narodowej	104	104	104	104
Osobowy fundusz płac (netto)	107,4	108,9	108,4	108,0
Przeciętna miesięczna płaca nominalna (netto)	102,6	104,5	104,0	103,8
Przeciętna miesięczna płaca realna	100,0	103,3	102,5	101,3

Pierwsze, co się rzuca w oczy, to brak jakiegokolwiek związku przyczynowego pomiędzy dynamiką dochodu narodowego, zatrudnienia i płac. A przecież partia nieustannie powtarza slogan o występowaniu ścisłej współzależności pomiędzy społeczną wydajnością pracy i stopą życiową, zwłaszcza płacami. Tymczasem w latach 1965 i 1966 zarówno przyrosty dochodu narodowego jak i zatrudnienia były identyczne. To znaczy, że przyrost dochodu narodowego w obydwu latach uzyskano w 57 % dzięki wyższemu zatrudnieniu oraz w 43 % w wyniku podwyższonej społecznej wydajności pracy. Tymczasem w 1965 r. przeciętna miesięczna płaca realna *nie wzrosła* w ogóle, podczas gdy w następnym roku pod-

niosła się o 3,3 %, nominalna zaś płaca miesięczna w pierwszym przypadku podniosła się o 2,6 %, w drugim zaś o 4,5 %. Nasuwa się uzasadnione pytanie, czy w 1965 roku określona część społecznej wydajności pracy została *nieopłacona*, czy też w następnym roku odpowiednia część wzrostu wydajności pracy została *przeopłacona*? Nie przypominam sobie, aby ktokolwiek w Polsce próbował te sprawy wyjaśnić, wytłumaczyć. Zwłaszcza, że za parawanem liczb w skali makroekonomicznej kryją się znaczne rozpiętości, tym drastyczniejsze, im słabsze jest tempo wzrostu płac, zwłaszcza realnych. Utrzymanie się miesięcznej płacy realnej w 1965 roku na poziomie 1964 roku oznaczało w praktyce *bezwzględny ich spadek* u wielu grup społeczeństwa. Wzrost zaś tych płac w 1968 roku zaledwie o 1,3 % prowadził, w istocie, do takich samych skutków, był to bowiem zbyt niski przyrost, aby można było podnieść płace jednym grupom nie naruszając przynajmniej poziomu płac innym grupom. Zresztą *Rocznik 1969* przytacza interesujące przykłady. I tak przeciętna miesięczna płaca nominalna (brutto) w gospodarce uspołecznionej w 1968 roku wzrosła o 101 zł, ale płace nauczycieli w szkołach zawodowych powiększyły się tylko o 12 zł, w szkołach podstawowych zaledwie o 4 zł (tak, cztery!), natomiast w liceach ogólnokształcących nastąpił *bezwzględny spadek o 3 zł...* A koszty utrzymania, jak notuje rocznik, podniosły się w tym czasie o 2,5%! Przykład nauczycieli nie jest zapewne odosobniony.

Nikt zresztą w Polsce nie daje wiary — i słusznie! — oficjalnemu wskaźnikowi kosztów utrzymania, który to wskaźnik „ustala” w ostatniej instancji biuro polityczne. W *Roczniku 1969* w rozdziale „Ceny” znajduje się wykaz ponad 160 towarów konsumpcyjnych i niekonsumpcyjnych oraz usług. Ceny większości tych towarów w 1968 roku nie uległy zmianie, niektórych zostały podwyższone, w ani jednym natomiast wypadku nie zarejestrowano obniżki! Jakże zaś towary podrożały? Oto niepełny wykaz:

Rok poprzedni = 100	1965	1966	1967	1968
Tapczan tapicerski	100	100	100	109
Odkurzacz domowy	100	100	100	121
Łódówka absorbcyjna	100	100	100	107
Radio tranzystorowe	100	100	100	105
Kapusta biała	80	98	115	133
Ziemniaki	109	96	109	103
Mięso, drób i przetwory mięsne	100	99,9	101,9	116,4
Usługi komunikacyjne	100,0	100,0	108,2	104,7
Wczasy	100,6	100,4	101,8	104,7
Czynsz, świadczenia i centralne ogrzew.	126,2	188,7	100,3	100,5

O niektórych podwyżkach cen nawet nie poinformowano społeczeństwa, a ileż dokonuje się podwyżek „utajonych”, których nawet GUS nie rejestruje! Społeczeństwo zna te rzeczy z autopsji, z własnych codziennych doświadczeń. Zwróćmy uwagę na jeden z wymienionych w tabeli towarów — mięso i przetwory mięsne.

Jak wiadomo, stanowią one podstawowy składnik wyżywienia przeciętnego Polaka. Mięso i kiełbasa sycą, „dają siłę” najgorzej sytuowanym warstwom społeczeństwa. Tymczasem w jednym tylko 1968 roku mięso, drób i przetwory mięsne podrożały aż o ponad 16%! Nic więc dziwnego, że spożycie mięsa, jak zanotował *Rocznik*, wynoszące 52,3 kg na 1 mieszkańca w 1967 roku — zmalało do 52,2 kg w roku 1968. Chwileczkę... czy tylko o 0,1 kg? Przecież konsumenci mięsa, to w głównej mierze mieszkańcy miast, ludność zaś miast powiększyła się w tym jednym roku o prawie ćwierć miliona. Żeby więc utrzymać poziom spożycia mięsa osiągnięty w 1967 roku, handel winien był zwiększyć dostawy (o iloczyn $250.000 \times 52,3$) o mniej więcej 12,8 tys. ton. Tymczasem... Tymczasem dostawy mięsa (wraz z wyrobami garmaze-ryjnymi!) uległy zmniejszeniu o 6,4 tys. ton. Jeśli odejmiemy od mięsa wyroby garmaze-ryjne, których jedyną zaletą z punktu widzenia handlu jest niezwykle wysoka marża podrażająca cenę, mięsa okaże się jeszcze mniej.

Przyrost dochodu narodowego w 1968 roku był najwyższy, ale rok ten przejdzie do historii jako jeden z najgorszych, nastąpił bowiem trudny do ukrycia drastyczny spadek stopy życiowej, widoczny w każdej nieomal dziedzinie. Partia z żelazną konsekwencją „przykręciła śrubę” płac, konsumpcji, wydatków na cele „nieprodukcyjne”. Zwłaszcza w tej ostatniej dziedzinie dokonane restrykcje były szczególnie ostre i brzemiennie w skutkach. Zajrzymy ponownie do *Rocznika 1969*:

Izby lekcyjne w szkołach oddane do użytku	6.111	5.631	4.135	5.329
Mieszkania oddane do użytku na 1.000 małżeństw	br.d.	779	780	734
Procent ogółu kandydatów przyjętych na I rok studiów	46,5	br.d.	43,1	42,4
Widzowie w teatrach w tys. ...	10.350	10.459	10.252	10.177
Widzowie w kinach w mln. ...	168,5	164,7	160,6	161,7
Łóżka w tys.:				
W izbach porodowych	5,8	5,7	5,3	5,1
W prewentoriach	6,8	6,2	5,5	4,6
W sanatoriach przeciwgruźlicznych	24,0	21,6	20,9	20,4
Wypłaty dewizowe na turystykę zagraniczną w mln zł dewizowych	117,8	160,1	131,5	86,8
Przeciętny miesięczny zasiłek rodzinny w zł	207	204	201	195
Kredyty na zakupy ratalne udzielone przez „ORS”. Rok poprzedni = 100	111	122	88	91

Na dobrą sprawę przytoczone dane nie wymagają żadnych komentarzy, liczby mówią za siebie — liczbom „nie zamknięto ust”...

Pogorszyły się warunki nauki w szkołach, coraz mniej w stosunku do potrzeb mieszkań, maleje udział młodzieży spośród ogółu pragnących studiować, coraz mniej ludzi chodzi do kin i teatrów; w szpitalach i innych ośrodkach leczniczych nie ma gdzie kłaść chorych; coraz mniej Polaków wyjeżdża na turystykę zagraniczną itd., itp. Formalnie jest to bilans władzy partii w jednym 1968 r., w rzeczywistości rok ten stanowi tylko mały fragment destrukcyjnej roli partii. Żyjemy bowiem w czasach kolejnej wielkiej rewolucji technicznej, niebywałego wzrostu warunków bytowych całych społeczeństw — Polska zaś drepcze w miejscu, to znaczy cofa się.



Pewnego dnia na plac położony w pobliżu wielkich magazynów warszawskich zwieziono tysiące par obuwia. Następnie, obok powstałego kopca, zebrała się komisja, której przewodniczący był w posiadaniu „aktu złomowania”, czyli zniszczenia obuwia. Potem, sprowadzony specjalnie robotnik, oblał naftą kopiec i podpalił, a komisja podpisała „akt złomowania”... Dokoła zebrało się trochę ludzi, którzy dziwili się widowisku. Ktoś z komisji wyjaśnił w czym rzecz. „Bo widzicie, buty wyprodukowała pewna fabryka, ale wykonała je źle — same braki... Więc przeleżały w magazynie trochę czasu, nikt bowiem nie chciał ich kupić. Dokonano jednej przeceny — ludzie nie kupili... Dokonano drugiej przeceny — ludzie nie kupili... Dokonano trzeciej przeceny — ludzie nie kupili... Władze postanowiły podarować te buty jakiemuś domowi starców po symbolicznej złotówce od pary — też nie chcieli. No to co było zrobić? Trzeba było spalić i dziś to się właśnie stało”. Ogień buchający z kopca widać było w całej okolicy, a na pytanie co się pali, ludzie odpowiadali machnięciem ręki: „E, nic, jakieś buty...”.

Antoni GUTOWSKI

Po inwazji

Od wielu lat jedyna działalność pisarska, jaką się zajmuję, to komponowanie listów handlowych. W jakiej branży — przemilczę, nie należy władzom bezpieczeństwa ułatwiać roboty. Niech się trochę pomęczą. Ale przed wojną było inaczej. Przebywałem w środowisku zbuntowanej młodzieży literackiej, próbowałem eseju i publicystyki, wahałem się między postępowym katolicyzmem a ugrupowaniem bardziej laickim i bardziej lewicowym. Zostało mi trochę starych znajomości wśród literatów i teraz, kiedy jako obcokrajowiec i *businessman* mogłem odwiedzić Polskę,

przebywałem tych kilka tygodni między swoimi. Zaniedbałem trochę interesy, ale nie żałuję, były one tylko pretekstem do odwiedzin, jak łatwo się domyślić.



— To była inwazja — powiedział mi starszy pan, którego szybkość i skoczność pamiętam z boiska sportowego z zawodów szkolnych. — Podobnie jak istnieje emigracja wewnętrzna, może też istnieć najazd od wewnątrz. Hordy aktywistów, szpiclów, ORMO-wców zalały kraj. I oto mamy wszystkie skutki najazdu: okupację sitwy partyzanckiej, „quislinga” na czele rządu, kolaborantów dziennikarzy i literatów. I falę uchodźców, co jest zawsze skutkiem faszystowskiego najazdu. Szmalcownicy i hieny wyleźli z nor. Egzystencje ludzkie w ruinie. Niszczenie dorobku kulturalnego i pogarda dla zastanych dóbr, charakterystyczna dla obcych, bezwzględność godna wroga zewnętrznego. Ja to właśnie tak odczuwam: wróg najechał moją ojczyznę i pozbawił mnie pracy, domu, języka, przyjaciół. Taką ruinę mogłaby usprawiedliwić tylko katastrofa wojenna. To, że ten wróg mówi po polsku nie ma znaczenia — to znaczy ma, jest tym okropniejsze. Nie ma dla mnie miejsca w moim własnym kraju.

Najazd czy przewrót? — zastanawiałem się. Ale przewrót przynosi jakąś zmianę stosunków ekonomicznych, nowe prawa, przemieszczenia całych grup społecznych, nową politykę zagraniczną. W Polsce wszystko zostało po staremu. Zmienili się ludzie na niektórych posadach i nic więcej.

— Jeśli z czymś już to porównać, to z przewrotem w Grecji — usłyszałem. — Nawet fizycznie są do siebie podobni. Popatrz na Papadopulosa, na te szerokie ramiona, krótkie nogi, na nos i przestrzeń między nosem i wargami i od razu kojarzysz sobie: Kąkol, Rusinek, Korczyński. Soldateska, jasne. Ale ci Grecy, chociaż bardzo źle pachną, mają coś w rodzaju ideologii: strach przed komunizmem. Partyzanci mają tylko chciwość, trudno nazwać ideologią antysemityzm i obłudny nacjonalizm, który oddaje kraj w ręce Rosjanom. Wybacz...

Nie wiem, dlaczego ja miałbym coś wybacząć. Ja tylko słucham.



W witrynie nowa książka Konwickiego. Obok książka Brauna, dalej Eurypides i „Niekochana” Adolfa Rudnickiego. Wygląda to wszystko całkiem przyzwoicie. „Jak przedtem” — jak mówią w Warszawie.

Ale są to tylko pozory, na które złożyło się wiele przyczyn.

„Czarna lista” nie jest dziś egzekwowana tak rygorystycznie jak w roku 1968. Przynajmniej nie w dziedzinie wydawania książek. Za to wszystkie środki masowego przekazu, środki popularyzacji — są wyłącznie dla swoich. Skazuje to pisarzy, którzy nie poszli na pełną współpracę z nowymi władcami, na nędzę. Wystarczy uprzytomnić sobie, że również wszystkie agendy pomocy (fundusz stypendialny, zapomogowy, fundusz literacki) zostały wydarte z rąk pisarzy niezależnych. Nie będzie przesadą, jeśli się tu stwierdzi, że wielu literatom polskim, szczególnie tym znienawidzonym przez partyzantów, grozi głód.

W tej sytuacji trzeba ze smutkiem stwierdzić małoduszność, jeśli nie tchórzliwość ludzi, którzy uratowali się na stanowiskach redaktorskich.

— Jeśli wyjadę — powiedział mi literat, którego dopiero teraz poznałem — to dlatego, że nikt mnie nie zatrzymuje. Nie znalazł się ani jeden redaktor, ani jeden wydawca, który by mi zaproponował umowę, felieton, recenzję. Ponieważ tamci powiedzieli, że jestem „be”, to już boją się ze mną bawić. Gdybyż ktoś przyszedł i powiedział: „Słuchaj, napisz coś dla nas, będziemy drukowali pod pseudonimem, przetrzymasz najgorszy okres”. Może bym nie drukował, ale rozplakałbym się przynajmniej ze wzruszenia. Ale telefon ani razu nie zadzwonił.



Pozory. Ludzie, którzy są u władzy, czują że coś trzeba zrobić, żeby wyglądało, że życie kulturalne kraju toczy się nadal, że nie zostało zredukowane do trójkąta Bryll-Brycht-Grochowiak. Przeprowadzają coś w rodzaju „rehabilitacji” (słowo bardzo nie na miejscu w sytuacji, w której starać się o rehabilitację powinni nie ci, którzy bronili kultury polskiej, tylko ci, którzy ją kompromitowali). Istnieją tu wyraźnie dwa nurty, *Kultury* (prawicowy) i *Współczesności* (lewicowy). Rzecz charakterystyczna, literaci twierdzą, że łatwiej im się dogadać z najbardziej obłąkanymi komunistami, niż z grupą Wilhelmięgo. Tamci mają przynajmniej jakieś kryteria ideowe, grupa Wilhelmięgo jest wyłącznie sitwą. W serii omówień „dzieł 25-lecia” warszawska *Kultura* zamieściła dwa nazwiska z czarnej listy: Andrzejewskiego i Konwickiego. Szła twardo według klucza rasowego i zabrakło miejsca dla A. Rudnickiego, Brandysa, Strykowskięgo i kilku innych. Tak się jednak złożyło (i nie mogło być inaczej), że musiały znaleźć się na tej liście dzieła poświęcone tragedii żydowskiej: „Medaliony” Nałkowskiej i „Czarny Potok” Buczkowskięgo. A jakimż świadectwem rozdartęgo ludzkiego sumienia jest nowelistyka Borow-

skiego, z teje listy dzieł 25-lecia! Nie wypchniesz tej tematyki. Włazi wszystkimi szczelinami.

Współczesność nie jest rasistowska. Zamieściła artykuły Niny Assorodobraj, fragment nowej książki Hena, wystąpiła w obronie „wczesnego” Baczki. Ale *Współczesność* jest dwutygodnikiem, na domiar kiepsko płacącym. Nie da ludziom wyżyć, za to wystawi alibi partii, zręczniejsi niż zacięty Wilhelmi. *Współczesność* wydrukowała w odcinkach elaborat Andrzeja Mencwela skierowany przeciw *Kuźnicy*. Nic mnie w końcu ich spory nie obchodzi, ale bardzo to dziwny elaborat, kiedy pismo marksistowskie zarzuca Żółkiewskiemu, że po wojnie wydawał pismo marksistowskie. Powinien był od razu wydawać *Dziś i Jutro!* Artykuł Mencwela, mętny, pseudouczony, przedziwnie zawiły w stylistyce (choć nie trudno odnaleźć główną obsesję autora), robi chwilami wrażenie nieprzytomnego bredzenia. Czytającego ogarnia współzucie. Poddać go badaniu prof. Ałapina! Ale Ałapin podobno emigrował...



Pokazano mi trzy krótkometrażówki T. Jaworskiego. Musiałem w tym celu specjalnie pojechać na prowincję, skorzystać z prywatnej sali. W Warszawie się bano...

„Edukacja”. Rzecz o Krwawym Franku, który jako szesnastoletni chłopiec został wywieziony do obozu w Oświęcimiu. Tam go Niemcy wyszkolili na okrutnego kapo. Siedemnastolatek kopał więźniów w kość ogonową. Potem powoli gniła i więzień umierał w męczarniach. Po wojnie skazany na karę śmierci. Wyroku się nie wykonuje. Franek wciąż czeka. Jaworski przyszedł do niego do celi z aparatem. Jak to się stało, że z siedemnastoletniego chłopca można zrobić kata? Film nazywa się „Edukacja”. Opowiada Franek i opowiadają ludzie, którzy się z nim stykali. Wstrząsająca konfrontacja. Materiał pouczający. Obsypano film nagrodami.

„Źródło”. Dwie wsie walczą o studnię, która jest gdzieś pośrodku, na czymś polu (tratowanym przez ludzi i bydło). Żadna z wsi nie chce ustąpić. O pogodzeniu się też mowy nie ma. Zawziętość jak w świętej wojnie. Już lepiej, żeby wcale studni nie było. „Będzie po sprawiedliwości” — mówią. Jaworskiemu udało się zmusić mieszkańców do pokazania całej swej pasji. Film ważki, wychowawczy. Obsypany nagrodami.

„Sekretarz”. O ten film kilka lat temu była awantura. W miejscowości Kazimierza Wielka sekretarz postanowił założyć chodniki, bruki, wodociąg. Nie miał na to prawa, bo miejscowości poniżej 10.000 mieszkańców wodociąg i kanalizacja nie przysługują. Wszystko więc poza planem. KW go atakuje, ale on ma

mieszkańców, początkowo też niechętnych, po swojej stronie. Panowie z KW nie posiadają się ze zgrozy. Jaworski nie walczy z nimi, pozwala im mówić. Jeden po drugim prezentują nalane pyski, biurokratyczną tępotę, oportunizm. Wybuchamy śmiechem. Tak samo śmieli się ludzie na prasowej premierze przed trzema laty. Panowie z terenu zaprotestowali: Jaworski ośmiesza! A on ich tylko prezentował. Pokazywał ograniczoność, nicość i spętanie planem. I człowieka, który przejawiał inicjatywę, wyskoczył poza ten plan. Miejscowość wygląda nie do poznania, ale film zdjęto. Potem znowu go pokazano, potem zdjęto, potem znowu pokazano.

I tak by to trwało w nieskończoność, gdyby nie — wydarzenia marcowe. Jesienią 68 r. ukazał się w *Żołnierzu Wolności* artykuł Gontarza „Reżyser o podwójnym obliczu”. Tego samego dnia Jaworski dostał wymówienie z pracy. Synchronizacja zaiste godna podziwu, chociaż trochę samodemaskująca się. Okazało się, o czym prawie nikt nie wiedział, że Jaworski jest Żydem. I dlatego nakręcił paszkwilancki film ukazujący Polaka-gestapowca (tak rozumiał Gontarz głęboko humanistyczną „Edukację”). I dlatego atakował aktyw terenowy (tych tłuszciochów z KW). Reżyser miotał się między urzędami i komitetami, szukał sprawiedliwości. Oficjalnie oskarżano go o to, że będąc w Australii i mając kręcić film o emigracji spotkał się z kimś z emigracji. Żadne tłumaczenia nie pomogły. Jeden z najlepszych dokumentarzystów świata znalazł się bez pracy.

Próbował interweniować u swojego przyjaciela Grochowiaka, z którym jeszcze kilka miesięcy przedtem dostawali do spółki nagrody za różne filmy i z którego scenariusza miał kręcić film. Powiadają, że Grochowiak był bardzo wstrząśnięty. Nie miał pojęcia, wieszcz narodu, że współpracował tyle lat z Żydem... Jaworski emigrował.



— Nie wyjadę — powiada jeden z nich. — Nie wyjadę, bo tu mnie atakują. Atakuje się Kogoś. Tutaj przynajmniej jestem wart tego, żeby ze mnie robiono szmatę. Tam nie czeka mnie nawet to. — Zamyślił się. Nadpił kiepskiej kawy i powiedział uśmiechając się: — Tam nie mogę nawet obnosić swojej kłęski. I cóż z tego, że Toller skoczył z okna, a Stefan Zweig się powiesił? Dla kogo ta demonstracja? Kłęska, nieszczęście — mają znaczenie tylko w środowisku, w które się wrosło. Emigranci są podwójnie nieszczęśliwi, ponieważ ich nieszczęście nie ma tła. Nie mogą rozpaczać — nie mają przed kim. Ludzie, którzy staną się ich nowymi znajomymi, nie mają dla ich tragicznej sytuacji

miary porównawczej. Żeby wiedzieć, jak dalece smutne jest czyjeś oblicze, przechodzić musiałby je znać z okresu, kiedy było wesołe.

◆

Pokazano mi tęgonogiego, krótkowzrocznego byczka w czymś niechlujnym, co przypomina trochę strój harcberski, a trochę resztki po pancerniaku. Janusz Przymanowski. Kupa anegdota.

Grafoman z sowiecką szkołą. Wie, że wystarczy tylko chcieć i naczelstwu się przypodobać. W czasach stalinowskich napisał książkę „Żołnierze czterech rzeź”. Wszystko było uzgodnione z naczelstwem. Spychalski był w niej pokazany jako angielski szpieg (do spółki z Kirchmayerem), a AK-owcy jako bandyci. Książkę poprawiał Żukrowski. Z tego czasu datuje się ich przyjaźń i wspólne zaangażowanie (tutaj szept). Po październiku było z tym trochę kłopotu, bo Kirchmayer wyszedł z więzienia i domagał się satysfakcji. Spychalski co prawda też był na wolności, ale nie wnosił pretensji. Przymanowski przemawiał jako październikowiec, liberał, Kirchmayera przeprosił, książka poszła na przeznaczenie. Ale zdążono ją wydać w kilku krajach bloku, w Rosji w nakładzie pół miliona egzemplarzy (bandyci z AK!).

Obecnie Przymanowski jest autorem serii TV „Cztery pancerni i pies”. Wszystko tam jest wyssane z palca. Przymanowski jest mistrzem od organizowania weteranów nieistniejących bitew i gier młodzieżowych na własny temat. Jest mistrzem wazelinarstwa. Największym jednak jego wynalazkiem jest pies. Pies się czołga, pies odkrywa Niemca, pies merda ogonem, pies się tuli do Poli Raksy, pies nie chce niemieckiej kiełbasy, pies udaje że chce niemiecką kiełbasę, pies rozbiera minę, pies zakłada minę, pies robi minę — czyż czułe polskie serce się nie wzruszy? Pies, psina, psiątko. I tak rośnie mit nieistniejącego czołgu, z przyjaźnią polsko-sowiecką, z aktorem polskim w roli biało-zębnego Gruzina, o którym to aktorze opowiadają anegdociarze, że matka jego właśnie wyemigrowała do Izraela, bo Polska to jest taki zwariowany kraj.

Przymanowski jest najbogatszym literatem w Polsce. Tych odcinków z psem naknocił chyba ze czterdzieści, co daje ponad milion złotych wraz z tantiemami. Do tego dochodzą wydania książkowe tych pancernych keksów. I pensja pułkownika. I może jeszcze kilka innych pensji. Tak że dodają anegdociarze — żeby nie dać się ograbić urzędowi podatkowemu ukochanej Polski Ludowej — pan pułkownik podpisuje niektóre scenariusze wraz z żoną, dzieli się wtedy zarobki i progresja jest mniejsza. Jakoś mu to uchodzi. Swoim wszystko wolno.

Życie ściele się po różach — no, ale kolce są też. Pan pułkow-

nik ma dwie zadry, które dolegają. Jedna, że żaden kolega jeszcze mu nie powiedział, że umie pisać. Sukcesy są, forsa jest, sława jakiej nie zaznał Mickiewicz, a te chudopachołki milczą. Żaden nie powie: „Widziałem, czytałem, dobre, Januszu, brawo”. Milczą zawzięcie. Dziennikarze robią wywiady, a krytycy ani się zająką. Nie „uwazają”. Druga zadra — to partia. Tak się jakoś dotychczas udawało wykręcać sianem i nie zabierać głosu, nie potępiać i nie atakować, być niewiadomą, zagadką, sfinksem i nadzieją, a oto skończyło się, powiedziano mu w partii u literatów: trzeba przemówić i potępić.

Na zebraniu wyborczym oddziału warszawskiego przemówił. No i popłynęła krasomówcza patoka. Buchnęło złością i nienawiścią. On, on wie co to sukces, co to czytelnik i tylko oni, ta niechętna masa, nigdy tego nie przyznają. Autor książki o „bandytach z AK” zaatakował Kotta za stalinizm (to metoda: wyrzuca się ze stanowisk liberałów, ale atakuje się ich za okres, w którym byli komunistami). Najbogatszy grafoman w Polsce powiedział o kolegach udających się na tułaczkę: „za dwadzieścia tysięcy miesięcznie byli Polakami, za dwa i pół tysiąca nie chcą”. Ten, kto mi to opowiadał, dodał złośliwy komentarz: „Za to on za czterdzieści tysięcy miesięcznie jest Polakiem po *dotknosci*”...

◆

Grajdołek. Wszyscy wszystkich znają, wszyscy ze wszystkimi są na ty. Na przestrzeni między Wiejską a Placem Zamkowym wciąż się na siebie natykają. Jadają w tych samych stołówkach, przesiadują w tych samych kawiarniach, przyjmują ich ci sami wydawcy, chociaż nie równie serdecznie. Jeszcze niedawno byli przyjacielami, szczególnie to tak zwane „pokolenie pryszczatych”, pili razem, politykowali, popychali się nawzajem w górę, często mieli te same dziewczyny.

Teraz są wrogami. Jeden drugiemu podrzyna gardło, ale dziwi się i oburza, kiedy podrzynany nagle przestaje uchylać kapelusza. Kat nie rozumie, że ofiara może nie znać się na żartach. Kat skarży się na zebraniu partyjnym, że koledzy go nie zauważają, że unikają. Tak jak gdyby szło o sprawy towarzyskie tam, gdzie same podstawy egzystencji ludzkiej i pisarskiej zostały podcięte. Ale i tak nie można wytrwać długo w dumnym niespostrzeganiu. Przeklęty Grajdołek. Wszędzie te same twarze. Rasiści i ich rozedrgane ofiary, zamordyści i liberałowie, twarze zadowolone, pewne siebie, promieniejące i twarze, które zasnuł cień smutku i śmierci — wszyscy spotykają się przy obiedzie. Tamci jedzą kurczaka po polsku za 28 zł., a ci obiad klubowy za 11 zł., w poniedziałki za 10 (dzień bezmięsny). Kat uśmiecha się, mówi znad swojego kurczaka: „Serwus”. Ofiara zżyma się, ale w końcu

miękką duszę i dobre wychowanie przemagają, odpowiada „serwus”. Nawet ręce sobie podają.

— Nigdy bym nie przypuszczał — słyszę szept znad klubowego kapuśniaku — że mój druh Czeszko okaże się takim podlecem. Wydawało mi się, że umiem odróżnić faszystę od człowieka lewicy. — Przyglądam się naiwnym oczętom mojego rozmówcy i robi mi się go żal. — Ale zawsze był tchórzem i tchórzostwo pewnie jest nadal motywem jego postępowania. On wie to, co pan i ja, zapewniam pana, jest zbyt inteligentny. Ale samochód, wódka, gruby brzuch, strach... A Witold Zalewski? Przecież taki wydawał się porządny facet! Jedno z moich największych rozczarowań. Na pewno znajdzie dla siebie setki usprawiedliwień, to jest okropne. Tylko że on cały czas był po naszej stronie i nagle zrobił woltę. Jeszcze kiedy likwidowano *Przegląd Kulturalny* był jednym z głównych liberalnych oponentów. Nie wiadomo, co o tym myśleć. Czy znowu idzie o miraż kariery niedopieczzonego literata?

Tak więc stosunki towarzyskie pozornie trwają, chociaż po wydarzeniach marcowych wydawało się, że ci ludzie zerwali z sobą raz na zawsze. I oby tak byli zrobili. Nie udało się. Lepkość, śliskość życia powszedniego zwyciężyła. Ale nigdy już nie będzie tego, co było przedtem. Nie będzie kolegów.

Któryś z nich chwali się, że fryzjer uściśnął mu konspiracyjnie dłoń i powiedział: „Jestem z panem, niech się pan nie daje”. Na jakiejś wieczorynce przeczytano jego wiersz, przemycili to, proszę sobie wyobrazić. Siedzimy w kawiarni, przy sąsiednim stole znajduje się trzech szpicli, nie ma nawet wątpliwości. Dwaj literaci zaczynają mówić o piłce nożnej. Legia wygrała z Saint-Etienne. Znają się na tym coraz bardziej, nie opuszczają żadnego meczu, sport to jest jeszcze najuczciwsze, co ten świat ma do zaoferowania. Szpicle słuchają, słuchają, mają dosyć. Ja też o mało się nie wyniosłem ze szpicłami. Ale wtedy jeden z tych, który milczał, pisarz bardzo popularny, odezwał się:

— Gdybym mógł zmienić zawód... Przytrafiła mi się najgorza rzecz, jaka może zdarzyć się pisarzowi: utraciłem wiarę w czytelnika. Nie chcę już być „inżynierem jego duszy”. Ani nie chcę się przed nim spowiadać. Nie zależy mi na jego uznaniu, poklasku. Nie chcę go nawet przekonać. Czy pan wierzy? Podczas tych miesięcy nie dostałem ani jednego listu z wyrazami otuchy. Lubią mnie czytać, ponieważ nie traktują mnie serio. Nie wiedzą, że to wszystko co piszę, to jest spowiedź, krzyk. Myślałem, że to zabawa. Skończyłem ich bawić, siadają przed telewizorem. Będzie ich bawił kto inny. Może się tylko bardziej ponudzą. — Westchnął. — Strasznie tu dużo się pije. Niech pan pojedzie na prowincję: w biały dzień powszedni, w godzinach pracy, gromady pijanych.

Próbują się wypowiadać nie wprost. Na emigracji my nie zawsze sobie zdajemy sprawę z tych niuansów, aluzji, prztyczków. Niby się atakuje Polonię amerykańską, niby czasy saskie, niby wyjąłowanie po powstaniu listopadowym, niby głupotę przywódców greckich, a ma się na myśli stan obecny, przywódców własnych, ideologię partyzancką, która jest skórą zdjętą z konfederatów barskich i reakcji przeciw Konstytucji 3-go maja. Gontarz przypomina księdza Łuskię, a Kąkol kasztelana Jezierskiego. Szuka się w przeszłości nauki, wyjaśnienia teraźniejszości. Stąd powodzenie książek Jasienicy. Analogie narzucają się same. Te książki się odchorowuje. Czyta się Kucharzewskiego „Od białego do czerwonego caratu”, bo nic tak bardzo nie tłumaczy pewnych zjawisk w Polsce, a ostatnio i w Czechosłowacji, jak znajomość historii Rosji. Krąży „Wielka Czystka” Weissberga-Cybulskiego, o której kilka osób powiedziało mi, że książka ta stanowiła przełom w ich życiu. Prawdziwym *best-seller*em jest jednak „Stanisław August” Mackiewicza, o której znowu ktoś się wyraził, że marzy o tym, by była obowiązkową lekturą w szkołach. Nieszczęściem Polski, pisze Mackiewicz, było to, że opozycja była też prosijska. Królowi potrzebna była opozycja antyrosyjska, wtedy mógłby coś u Katarzyny wytargować. Ale oni nie walczyli z najeżdźcą, tylko z królem. Załatwiano — z a w s z e — sprawy personalne! Wszyscy biegli na prześcigi do Stackelberga i ten król z łaski Katarzyny, który chciał coś w tej Polsce naprawić, mógł zostać w każdej chwili posłany na grzybki. Nie był już potrzebny, a nawet stawał się uciążliwy.

I tak każda książka staje się zwierciadłem wydarzeń obecnych. Oczywiście, nie ominęło to książki J. Bocheńskiego o Owidiuszu. Ale, co dziwniejsze, podobno cenzor zadrżał czytając niektóre passusy „Ulissesa” Joyce’a. Wędrownka Blooma jako nieoczekiwany komentarz do antysemityzmu Gomułki — cóż za przygoda dzieła Irlandczyka! A jednak... Ci którzy już się z książką zapoznali, mówią o tym głośno, sami nieco zaskoczeni.

O jeszcze jednej książce mówi się dużo. O nowym wydaniu Małej Encyklopedii Powszechnej PWN. Kolejki podobno były w bibliotekach do obejrzenia jej. Encyklopedia, w której nie ma Gombrowicza, Hłaski, Mrożka, Miłosza. Za to jest Gawroński, Nawrocka, Dobrowolski, Machejek i mnóstwo innych tym podobnych. Jeszcze epoka ciemności się nie skończyła, a już sama sobie wystawiła pomnik. Zbieracze kuriozów nie powinni tego dzieła przeoczyć.

Michał ZIELIŃSKI

ORGANIZOWANIE DYWERSJI IDEOLOGICZNEJ

Radio Warszawa I w dniu 9-tym marca doniosło, że w ostatnim okresie nastąpiło w kraju znaczne ożywienie prac naukowych w dziedzinie walki z antykomunizmem. Prace te prowadzone są w licznych placówkach badawczych.

O dalszej intensyfikacji tego typu badań poinformował PAP dyrektor ośrodka badań stosunków Wschód-Zachód dr Janusz KOLCZYŃSKI.

Od kilku lat działa w Polsce zespół naukowców współpracujących z naukowcami innych krajów socjalistycznych w ramach komisji współpracy akademii nauk tych krajów zajmujących się koordynacją badań w zakresie krytyki antykomunizmu.

Na podstawie zebranych doświadczeń doszliśmy do wniosku, że w celu dalszego aktywnego uczestniczenia w rozwijającej się współpracy międzynarodowej krajów socjalistycznych w tej dziedzinie konieczne jest skoordynowanie krajowych wysiłków naukowych. Dokonałiśmy analizy działalności polskich placówek naukowych pracujących w tym zakresie. Jak się okazało podejmowanych jest w różnych ośrodkach badawczych wiele ambitnych prac naukowych. Poszczególne placówki mają rozległe programy badań. Brak jest jednak kompleksowości prac i wzajemnego podziału zadań. Prace badawcze prowadzi INSTYTUT ZACHODNI w Poznaniu, INSTYTUT FILOZOFII I SOCJOLOGII PAN, OŚRODEK BADAŃ STOSUNKÓW WSCHÓD-ZACHÓD, POLSKI INSTYTUT SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH, UNIwersytet POZNAŃSKI, WOJSKOWA AKADEMIA POLITYCZNA i NAUKOWE ŚRODOWISKO WROCŁAWSKIE. Badania nad antykomunizmem rozpoczyna też nowopowstały INSTYTUT NAUK POLITYCZNYCH NA UNIwersytecie WARSZAWSKIM i INSTYTUT NAUK SPOŁECZNYCH PRZY UNIwersytecie ŚLĄSKIM.

Na naukowe rozwiązania problemów walki z antykomunizmem istnieje stałe zapotrzebowanie praktyki politycznej. Aktualna pogłębiona krytyka różnych koncepcji współczesnego antykomunizmu jest rzeczą niezmiernie istotną z punktu widzenia potrzeb frontu ideologicznego. Dlatego nie można tu pozwolić na luki i opóźnienia. Wszystko to wskazuje na potrzebę powołania komitetu, który podjąłby koordynację i inspirację prac naukowych w dziedzinie badań nad współczesnym imperializmem i jego ideologią — antykomunizmem.

Korzystając z odpowiednich uprawnień koordynacyjnych komitet taki mógłby podjąć bardziej energiczne działania dla wykorzystania potencjału badawczego i zwiększenia naszego uczestnictwa we współpracy międzynarodowej krajów socjalistycznych w tym zakresie.

Utworzenie komitetu umożliwiłoby stworzenie forum, na którym będzie mógł być prezentowany rosnący krajowy dorobek badawczy, prowadzone dyskusje i poszukiwania najskuteczniejszych form merytorycznej i organizacyjnej działalności naukowej w zakresie problematyki której znaczenie we współczesnym świecie stale rośnie.

W KRAJU PO PROCESIE

Ktoś ze środowiska inteligencji, kto wyjechał z Warszawy już po ogłoszeniu wyroku w procesie pięciu, pragnie podzielić się z czytelnikami garścią wrażeń. Píše w liście z Londynu:

„Nikt wśród moich znajomych nie zdawał się przygnębiony. Ton oburzenia sprawozdań prasowych kwitowano przeważnie sceptycznymi uwagami w rodzaju: „Już nie wiedzą, czym zapchać braki w aprowizacji” albo „Dobre to

na rozgrzewkę przy takich mrozach”. Nie znam nikogo w Warszawie, kto by prasowe relacje o rzekomym tchórzostwie oskarżonych potraktował poważnie. Długie wahania, potem proces przeprowadzony „po bałaganiarsku”, „bez głowy”, wywołały refleksje nie świadczące bynajmniej o wierze w siłę władzy i jej konsekwentny program. Z objawami zastraszenia nie zetknąłem się nigdzie. Przy tym tych zawodowych pesymistów, których znam, wydarzenie nie tylko nie pogrążyło w jeszcze czarniejsze wizje, ale nawet wprowadziło w pogodniejszy nastrój, a głównemu oskarżonemu, Kozłowskiemu, przypisuje się nawet te dowcipy, które inni powymyślali w kawiarniach. Coś się jak gdyby ruszyło w ogólnej martwocie: „jeszcze komuś warto”... „można się pośmiać”... „znów się wygłupili”... „komedia”. Najbardziej uderzyła mnie uwaga córki jednego znajomego: „Posiedzą trochę, wypoczną. Potem będą za bohaterów”. Czyżby zazdrościła zasądzonym?”.

CZARNA LISTA

- Wiesław Nowakowski: „Jakie cele wyznaczają imperialistyczne ośrodki dywersji ideologicznej ukazującemu się w języku polskim w Paryżu miesięcznikowi 'Kultura'?", *Zagadnienia i materiały*, 11/24 luty 1970
- W. Zieliński, płk: „Giedroyciowi nie odpowiada poziom kłamstw Wolnej Europy”, *Żołnierz Wolności*, 14/15 luty 1970 oraz „Na usługach obcych”, *Żołnierz Wolności*, 27 luty 1970.
- J. Kraś: „Kultura i dywersja”, *Trybuna Ludu*, 18 luty 1970.
- Bolesław Kowalski (polski publicysta): „Sud nad izmiennikami”, *Literaturna Gazieta*, 18 luty 1970.
- Kazimierz Konkol (także „polski publicysta”): „Diwersanty”, *Komsomolskaja Prawda*, 22 luty 1970.
- Władysław Machejek: „Proces przeciwko Giedroyciowi”, *Życie Literackie*, 22 luty 1970.
- Krzysztof Strzelecki: „Pozna mnie Pan po miesięczniku 'Kultura'”, *Panorama Północy*, 22 luty 1970, „Kogo należy się wystrzegać”, *Panorama Północy*, 1 marca 1970.
- Maria Osiańczak: „KULTuryści”, *Prawo i Życie*, 22 luty i 8 marzec 1970.
- Cz. Berenda: „Kim są rzekomi reformatorzy”, *Głos Pracy*, 26 luty 1970.
- Jerzy Klechta: „Tubą jest Mieroszewski”, *Walka Młodych*, 1 marca 1970.
- Adolf Reut: „Giedroyc i ska”, *Głos Pracy*, 2 marca 1970.
- M. Niemojewski: „Oredownicy nie polskiej sprawy”, *Żołnierz Wolności*, 7/8 marca 1970.
- K. P.: „Po wyroku”, *Polityka*, 7 marca 1970 (prosimy o pomoc naszych czytelników w ustaleniu nazwiska autora).
- Remigiusz Szczesnowicz: „I za to zostali skazani...”, *Głos Koszaliński*.
- Józef Pribula: „Historia jednego listu”, *Głos Ludu*, Ostrawa Czeska, 3 marca 1970.
- Jiri Hecko: „We służbach antykomunizmu”, *Rude Pravo*, Praga, 10 luty 1970.
- S. K.: „Proces 'Kultury'”, *Perspektywy*, 6 marca 1970. (Prosimy naszych czytelników krajowych o podanie nam pełnego nazwiska autora).
- Krystyna Kosak: Sprawozdawczyni Radia Warszawa z Procesu 5-ciu.
- Diennikarz paxowski *Kierunków*, podpisujący się literą (m), o którego nazwisko pytałiśmy naszych czytelników w nrze styczeń-luty, nazywa się *Zbigniew LESIEWSKI*.
- Tadeusz Pajda (w nrze marcowym *Kultury* podaliśmy w „Czarnej liście” mylnie jego nazwisko jako „Fajdy” — co obecnie prostujemy (sprawozdawca z procesu 5-ciu w *Ekspresie Wieczornym* z 9, 10 i nast. dni lutego rb.

Sprawy i troski

Dziennik i listy z podróży do Polski

Wiem, że jestem jeszcze w Ameryce. Jesteśmy w tłoku lotniczym na Kennedy. Powinienem się dobrze rozejrzeć: po raz ostatni widzę Stany Zjednoczone. Zobaczą je dopiero za 3 miesiące. Już pewnie niedługo zacznę pisać po polsku. Język ten jest wszędzie naokoło mnie, wydaje mi się, że za każdym razem gdy ktoś się odezwie po polsku, jest to głos mojej matki. Przyzwyczajam się szybko. Ta chwila przekroczenia bramy. Trudno mi było uwierzyć jak naprawdę ciężko jest po prostu odejść. Wyobrażam sobie, jak ciężko było kiedyś memu ojcu. Dwóch tuż obok mnie — to Polacy, fotografują jeden drugiego. Kierujemy się w słońce i tracimy resztę dnia, resztę 19 maja, odzyskamy go znów w sierpniu.

20 maja 1969, wtorek

W chwili lądowania na Okęciu nie czułem nic. Żadnej różnicy z Amsterdamem, może tylko byłem bardziej śpiący — nie spałem całą drogę. Wyszliśmy z samolotu i zaraz wcisnęli nas w dwa prze-malowane szkolne autobusy — Polskie Linie Lotnicze Lot. Szukałem Bolesława pomiędzy tłumem oczekujących, tłoczących się wzdłuż drogi i przy bramie. Stałem w szeregu, poprowadzono nas do bramy, bramka jak u wejścia na 'ring' ślizgawkowy. Podeszła do mnie krępa kobieta i zapytała z jakiego kraju przyjeżdżam. Sprawdzono mój paszport, wizę i zaprowadzono mnie do lśniącej, wykaflowanej i oszklonej klatki, otoczonej ścianami ze wszystkich czterech stron. Po jednej stronie urzędnicy celni — znudzeni i źli. Chciałem wyszukać wzrokiem chociaż jednego, który wyglądałby przyjaźniej — nie ma mowy. Mój bagaż nie nadchodził. Starąłem się być chłodny, spokojny, *relaxed*. Byłem zmęczony, niespokojny,

zmartwiony. Nareszcie mój bagaż w komorze celnej. Starąłem się dostrzec Bolesława. Myślałem: E... rozpoznam ich. Gdzie tam! Wynurzyłem się z komory celnej z uczuciem ostrzyżonej owcy. Rozglądałem się. Wszędzie ten język! Zbyt szybki! Mostwin? A więc rozpoznano mnie. To był Bolek. Uściskał mnie, jak gdyby dokumentując oficjalność powitania. Zawołał swoją córkę, Jolę. Poznała mnie. Ja nie rozpoznawałem nikogo. Po chwili poczułem, że nie mogę mówić.

Spałem do 2.30 po południu, potem Bolek wziął mnie do swego mieszkania, była tam cała jego rodzina. Nikogo nie rozpoznałem. Wyobrażam sobie co myśleli o mnie: skończona d... Nakarmili mnie.

Warszawa, 21 maja

Kochani,

Piszę przy świecy, bo akurat korek elektryczny się wypalił. Do jakiego kraju Wyście mnie posłali! W każdym razie w tym całym samolocie był tłok niesamowity... po prawej stronie siedział jakiś starszy pan z Filadelfii, chyba z działu polonistyki i czytał sobie o wierszach Mickiewicza i tak bardzo wolno kiwał głową na wszystko co czytał. Dopiero po kieliszku *sherry* przed obiadem zaczął do mnie mówić i trochę tak, ciekawe, przygotował mnie do tej Polski. No, dalej. Wylądowaliśmy na Okęciu i ta cała granda, zupełnie jak wycieczka piknikowa zorganizowana przez biuro pana K., z tej samej okolicy, i ja, wciśnięci zostaliśmy do takiego starego autobusu, napisane na boku 'Lot'. No zjawiliśmy się przed taką bramą gdzie sprawdzono nasze wizy i paszporty i wpuszczono do takiej nowoczesnej, szklanej, świecącej się klatki ludowej. Powyżej nas cała ludownia narodowa gapiała się na nas, ja szukam Bolka, ale nic z tego. W końcu bagaż mój przyszedł i przeszedł i znalazłem się w Polsce.

... Dziś poszedłem sobie trochę na piechotę przez miasto i zwiedziłem muzeum Wojska Polskiego. Także poszedłem do sklepu, nie, to właściwie CDT, centralny dom towarowy, takie sobie Macy's, pooglądać buty. Tylko tu się nie ogląda, raczej jeśli jest, to się kupuje. W każdym razie trzeba się dobijać do kontuaru i wykrzyknąć czego chcesz, bo inaczej nie ma obsługi. Widzicie — mówiono mi — tu jest tyle obrotu, że wszystko zaraz wysprzedane i zawsze tłok. Jutro idę do kina na film *Pan Wołodyjowski Sienkiewicza* i także na operę. No, po krótko, to muszę powiedzieć, jestem zgubiony. Następny list chyba za tydzień, albo wcześniej. Sciskam serdecznie, Jacek.

21 maja, środa

Spałem 14 godzin, po prostu nie mogłem wyjść z łóżka. Strasznie tu zimno. Dużo zimniej niż myślałem, kiedy pakowałem walizki. Powinienem był wziąć futrzaną kamizelkę i ciepłą marynarkę. Będę musiał czekać, aż się ociepli.

Dziś Jola i ja poszliśmy kupić parę butów. Byliśmy w kilku małych sklepach i wreszcie — CDT. Musiałem się przebić przez tłum do kontuaru, no i powiedzieli mi, że wszystko sprzedane. Dali mi wreszcie jeden but. Siadłem na rurze od kaloryferu, ażeby zmierzyć. Nic nie kupiłem. Poszedłem do Muzeum Wojska Polskiego. Byłoby naprawdę piękne, gdyby nie to, że całkowicie poświęcone jest zbrojom i broni. Największa armata — rosyjska. Jola zabrała nas do *Krokodyla*. Kawiarnia z różnymi urozmaiceńiami: stary pianista, a obok student „z głową pełną wina”, niezbyt przytomny. Iwonka i ja spieszymy się na operę. Wstąpiliśmy po panią I., jej męża i córkę. Staram się, ażeby oni mówili, chociaż mój język polski po początkowym szoku powoli wraca. Zauważyłem: 1) ile razy coś jest *superior* jest to produkt amerykański, 2) interesująca paralela: w U.S. — dolar, tu myślę — wykształcenie. Prawo wymaga, aby czyściciel ulic miał maturę. W operze — znów muzeum. Zwiedziłem tyle muzeów ostatnio, że wydaje mi się, że są wszędzie.

23 maja, piątek

Czuję się na pół ogłupiały, chociaż rozumiem doskonale co się dzieje naokoło mnie. Wczoraj starałem się włączyć w dyskusję na temat tzw. „kulturalnego” wykształcenia i wykształcenia w ogóle — po prostu nie mogłem. Natychmiast mnie zagadali. Staram się dużo słuchać. Ich sposób myślenia, wiem, jest inny. Dzień przed przyjazdem moja matka, która pisała te wszystkie listy do Bolesława, wspomniała coś o skryzalizowaniu się mojej *identity*. Nie wiem czego moi rodzice spodziewają się po tej podróży. Sądzę, że moja matka chce ażebym czuł się bardziej Polakiem. Ja myślę jednak, że wrócę z większą znajomością i z serdecznym uczuciem do mojego polskiego pochodzenia i do rodziny, całej rodziny, ale wrócę czując się bardziej sobą. Ale jednak kiedy się bardziej tak nad tym zastanawiam, to przecież zdaję sobie sprawę, że jestem w Warszawie dopiero 4 dni z moim ciotecznym dziadkiem i dwiema kuzynkami i że oni wyłażą ze skóry, ażeby wszystko dla mnie zrobić i naprawdę czuję się okropnie

myśląc, jaki ja im się wydaję. Wszyscy mówią tak szybko i tak dużo, a ja siedzę i wyglądam jak jakaś ciemna masa.

Pogoda zupełnie nieszczęsna. Albo leje, albo zbiera się na ulewę. Mówią mi, że to nienormalne, ale ja wiem tylko, że jest zimno i mokro. Pojechaliśmy gdzieś na wieś. Ludzie pracują na polach. Scenaria wzdłuż drogi i na drogach, jak z *Secret Agent*.

Wszystko naokoło już jest dla mnie zaplanowane: robimy to, albo tamto: dziś wieczór koncert — pianista technicznie dobry, ale bez ducha. Jak mi tłumaczą: kultura *en masse*.

24 maja

O ile Brooklyn jest ceglasto-brunatny, o tyle Warszawa jest asfaltowo-szara, ale przecież została kompletnie zniszczona w czasie wojny. Niektóre ulice są imponujące i po uchwyceniu „tonu” miasta, po pewnym przyzwyczajeniu, widzi się jego kontyntenalną europejskość.

Dziś wieczór była *party* w willi u Joasi. Nie czułem, że do nich należę, a jednak to było interesujące. Ta cała *gang* starała się bardzo, ażebym się dobrze poczuł. Pierwsze wrażenie to, że znów jestem w *High School*, na jednej z tych wielu *parties*. Staś jest fotografem i to jest właściwie wszystko, co go interesuje, cała jego rodzina i jego *sweetheart* są w Anglii. Ale nie może tam pojechać. Próbował studiować w szkole filmowej w Łodzi — nie dostał się. Będzie znów próbował i znów się nie dostanie. Nic więcej nie mogę wywnioskować, powinienem poznać go lepiej i zobaczyć jego pracę — żadna z tych rzeczy nie dojdzie do skutku. Jego *date* to Wanda, szczupła w obcisłej złotej, błyszczącej sukni. Pracuje w jakimś wydawnictwie. Ona, i cała ta grupa, palą jak szaleni. Krzysztof zalał się zupełnie pod koniec, gdzieś około 12-tej. Bardzo mu było z tym dobrze, cieszyłem się razem z nim, w jego zamroczonych oczach — delirium. Oblał egzaminy wstępne, poszedł do marynarki, zwolnili go po 10 miesiącach, po wypadku samochodowym, miał uszkodzenie czaszki. Bardzo słowiański, blondyn, niebieskooki, jastrzębi nos i błyskotliwy. Cała atmosfera, ton języka który słyszałem, błyskotliwa, ożywiona, pieniająca się. Maciek pracuje przy jakiejś budowie. Oblał egzaminy wstępne i przyszedł dlatego w wymiętoszonym, szarym ubraniu i w *turtleneck*. Długie *side burns*. Buty wszystkich, z wyjątkiem dziewcząt, nędzne. Maciek zalał się, ale zalał się powoli i wygadywał o swojej głupocie do jakiejś idiotki, która mówiła mu, że nie zależy jej na chłopcach z Warszawy.

Jagoda. Bardzo polska. Blondynka, bardzo ładna o delikatnym głosie i w sukni z zachodniego magazynu. Upiła się bardziej niż

inni. W końcu kochała i nienawidziła wszystkich — nie wyłącza-
jąc mnie. W autobusie, w drodze powrotnej usiadła na podłodze.
Nikt nie wiedział, gdzie mieszkała. Wysiadła po prostu i wyglądała
nie bardzo przytomnie, zagubiona.

Mogła to być jedna z tych moich *parties* w *High School*.
Wszyscy palą i piją do nieprzytomności z wyjątkiem mnie samego.
Myślę chyba, że jestem *detached* w każdym języku.

25 maja

Żelazowa Wola. Na drodze: wozy chłopskie i zwykli ludzie
w deszczowych płaszczach na rowerach, albo na motocyklach. To
miejsce gdzie Chopin urodził się 22 lutego 1810 roku, znajduje
się w parku. Wewnątrz dom — białość i kwiaty sztuczne i praw-
dziwe na zwisających belkach i zapach wosku do podłogi. Jakby
to podobało się mojej matce! Na zewnątrz piękny, zielony, nie-
dzielny park i kwiaty. Pierwszy słoneczny dzień od czasu mego
przyjazdu. Siedzę na schodach otaczających dom. Ludzie wokoło
czekają skupieni na rozpoczęcie się koncertu. Orkiestra będzie
grała tam, wewnątrz, a przez otwarte okna będziemy ją słyszeć
w parku.

Grała dwa mazurki i walca — bardzo ładnie. Miała trochę
kłopotu z polonezem, ale całość — Chopin unoszony poprzez
otwarte w białych koronkach okna, opadający tu na ludzi — to
było piękne.

Wyda się, że to tu jest typowe dla ludzi, pojechać gdzieś
(jak później widziałem to w Łazienkach) ażeby spacerować. Spa-
cery w czasie *week-end'u* i właściwie zawsze wtedy, gdy nie pra-
cują. Normalny dzień pracy zaczyna się o 9-tej albo 8.30 i trwa
do 3-ciej bez przerwy na *lunch*. A potem odpoczywają, albo chodzą
na spacer.

26 maja, poniedziałek

Siedzę w kawiarni po zobaczeniu filmu *Pan Wołodyjowski*.
Pewnie moje trudności językowe przyczyniły się do braku głę-
szego zainteresowania, ale mój werdykt jest następujący: słaby
polski *western*, z polską wojną z Turkami w roku 1600 jako
podstawą. Może bardziej historyczna przygoda niż *western*. Trwa-
ło to 3 godziny i 15 minut. Teatr był *modern*, ale siedzenia hor-
rendalnie niewygodne.

Muszę sobie teraz powiedzieć wyraźnie, że mam spore wątpli-
wości czy powinienem w ogóle to wszystko pisać. Siedzę w ka-
wiarni *Orbis* i trzymam przed sobą ten zeszyt i piszę zamiast
mówić z kimś. Możliwe, że niektóre z tych notatek są ciekawe,
że pomogą mi w przypomnieniu sobie niektórych szczegółów, ale
może jednak byłoby lepiej, ażebym całkowicie zanurzył się w to
życie tutaj zapominając o wszystkim, z wyjątkiem tylko tego, że
jestem w tym kraju. Nie mogę się zdecydować, bo gdybym tak
postąpił mógłbym stracić korzyść (?) porównania.

Tego popołudnia poszedłem (po wyczekaniu się przez dwa-
dzieścia minut w ogonku — tłok pchających się kobiet, coś niesamowitego jak się pchały, gorzej niż w autobusie *Lechemere*) do
Pałacu Kultury, wjechałem windą na 30-te piętro, ażeby zobaczyć
miasto. Widok ze wszystkich stron, z wyjątkiem wschodniej na
rzekę, jest taki sam: szklano-srebrno-stalowe budynki i wydaje się,
że budują wszędzie. Na wschód — widok na główną część miasta.
Pamiętam pewnego październikowego wieczora Jim i ja staliśmy
na dachu *Prudentialu* spoglądając na Boston i wtedy Jim mówił
coś o sile narodu. Podobne myśli wydają się najbardziej odpo-
wiednie w takich właśnie chwilach, jak ta. Bolek lubi żartować,
ale pojęcia jego wydają się ustalone. Starłem się dziś po obiedzie
porozmawiać z nim trochę. Życie — to wariacje na jeden podsta-
wowy temat: zachowanie gatunku. Narody, które nie potrafią się
włączyć w tę walkę, upadają. Pokój przynosi z sobą komfort ma-
terialny, a za tym idzie destrukcja. Tylko chore, niespokojne du-
sze mogą popchnąć świat naprzód. Amerykańscy studenci nie
mają celu przed sobą, ani kierunku. Świat nie zmienił się, czło-
wiek ani nie zmienił się, ani nie zmieni, ani też nauka nie zmieni
człowieka. To chyba nie wszystko co mówił, ale to mnie przy-
gnębiło. Starłem się nieśmiało bronić piękna i rozumu, ale skoń-
czyło się na tym, że słuchałem tego co mówił, to było w każdym
razie dla mnie bardziej interesujące.

I tak po tym filmie, oglądaniu miasta z dachu Pałacu Kultury,
i po słuchaniu jego wywodów pomyślałem czy może Ameryka nie
jest snem? Czy nie jest to sen zbudowany na okrucieństwie, i czy,
gdy dolar upadnie, bańka mydlana snu nie prysnie? Czuję się bez-
bronne i beznadziejnie i myślę w tej chwili, że może prawdziwy
pokój nigdy nie nadejdzie, człowiek nigdy nie spocznie, nigdy nie
ograniczy swojej agresywnej energii tylko do pogoni za wiedzą.
Myśląc tak, przygnębiłony, poszedłem na spacer na Krakowskie
Przedmieście. Jest naprawdę ładne. Odbudowane zaraz po bom-
bardowaniu: cała dzielnica i Rynek zachowały swój charakter.
Wstąpiłem do kościoła Św. Jacka, a teraz piję wino w winiarni
Fukiera, czekając na mający się rozpocząć koncert. Będzie to pol-
ska muzyka ludowa, w muzeum, tu na rynku.

Warszawa, 30 maja

Kochani Rodzice!

Siedzę sobie w kawiarni gdzieś na ulicy Marszałkowskiej więc słownika polskiego nie mam. Wczoraj pojechałem do ciotek w Lublinie i od razu zwiedziłem całe miasto... W ogóle na pewno się wszystkim wydaje, że ja jakieś ciele jestem, bo jeszcze mam za wiele kłopotu z językiem ażeby nawet głos zabierać. Więc Bolcio wszystko za mnie mówi, zupełnie jak adwokat...

Chodzę aż nadto do teatru, do opery, do muzeów. Zwiedzam ciągle to miasto, chodzę po ulicach, wchodzę do sklepów — niczego nie można tu kupić. Wszystko albo wysprzedane, albo po prostu *nie ma*, nie ma wyboru. Z tego co na razie widziałem, wydaje mi się, że Polska jest szara i zakurzona. Dopiero jak pojechałem do Lublina i do ciotek, trochę bliżej się przyjrzałem. Polska po wojnie przestała rosnać, wydaje mi się. Ciągłe budują, ale ciągle wydaje się nieodbudowane, tak jak chodnik półdokończony, taki szary, zakurzony.

Wszędzie te chorągiewki i plakaty rządu. Dopiero, jak się je ignoruje, można powoli trochę zobaczyć jak to może kiedyś było w domach, na ulicach, na targu.

Powolotku tak zaczynam odczuwać kraj. Wczoraj w powrotnym pociągu z Lublina stałem przy oknie i patrzyłem sobie na krajobraz — bardzo taki ładny i spokojny. Żał mi, że nie mogę trochę lepiej po polsku się wyrazić, ale też mi się język powoli poprawia...

No to całuję Was serdecznie, pozdrowcie także psy Kima i Sonię, Jacek.

4 czerwca, środa

Dziś rano poszedłem na pocztę odszukać kilka numerów telefonicznych. Kiedy wychodziłem, padał deszcz. Podniosłem kaptur mego deszczowego płaszczu i przystanąłem patrząc na kałuże wody na brukowanych ulicach. Jakiś przechodzień pchnął mnie, ot tak, brutalnie, bez słowa. Przekląłem go pod nosem po angielsku. I wtedy, w jednej chwili, uprzytomniłem sobie, że Polska jest krajem gdzie szybkość języka góruje nad myślą, gdzie szorstkość i grubiaństwo są na każdym kroku. Bardzo dobrze, Mostwin, tylko tak dalej, dajesz sobie radę!

Ludzie za kontuarem są nieuprzejmi i zawsze wydają się ofi-

cialni, w pośpiechu, tak jakby robili ci wielką łaskę, że w ogóle raczą zauważyć twoje istnienie. Niedobrze mi się robi. A kelner musi chodzić 5 lat do specjalnej szkoły! Czy oni zwariowali, czy co? Nagle zrozumiałem, że przecież socjalizm to marzenie każdego kapitalisty: kompletny monopol i dominacja, kontrola nad konkurencją. To nie Oceania w roku 1984, ani nie nowy wspaniały świat, to bardziej przypomina mi *The Company* Thomasa Wolf w *You Can't Go Home Again*.

Tego rana pisałem siedząc w kawiarni. Patrzyłem przez okno i od czasu do czasu spojrzenie na salę i nielicznych gości. Deszcz ustał. Odbicia ogrodowych parasoli i stolików na tarasie kawiarni wygładziły się. Wyjrzało słońce. Czuję jak oczy rozszerzają mi się i jak uciekają słowa, które mógłbym napisać.

13 czerwca

Powrót do Warszawy sleepingiem. Nadzwyczaj dobrze spałem. Polski system kolejowy działa niezwykle sprawnie. Jechałem drugą klasą: trzy łóżka w małym przedziale, dla każdego basen do mycia, mały materac w polskim stylu. Kolejarz mówił mi, że był dwadzieścia lat we Francji. Rozmawiał ze mną łamaną angielszczyzną poprzez swoje złoto-srebrne i żółte zęby. Zbita wiatrem i słońcem uśmiechnięta twarz. Jakże on cieszył się z tej rozmowy.

A teraz czuję się spokojnie, tak spokojnie, że nawet nie muszę pisać. Siedzę w ogródku *Krokodyla* i piję kawę. Jest szarobrunatnie, ale bardzo cicho. Lato jest bardzo młode i gdybym miał dziewczynę, mógłbym tu siedzieć godzinami patrząc na nią i tylko cieszyć się z życia.

15 czerwca

Wstałem o 4.30 rano, o piątej odjeżdżał autobus do Cetniewa. Miałem tam jechać z grupą PIS. Siedem godzin męczarni, ale i zabawy.

Cetniewo, 17 czerwca

Kochani Rodzice,

...Piszę do Was teraz rano przed śniadaniem. Utyję, bo wszystko co możliwe do jedzenia jest tuczące. Owoców w ogóle nie ma. Wszystko na śmietanie, mące i kartoflach. Wczoraj po-

szedłem do kawiarni na lody, to było już wieczorem. Lodów nie było, bo się roztopiły... .. Rower, który chciałem kupić w Warszawie okazał się taki sobie, ale jednak 2400 złotych. Kupiłem, ale ten rower okazał się przeklęty. Wsiadłem na niego i pedały się złamał. Udało się zamienić. Po drodze do Cetniewa musiałem go przywiązać do dachu autobusu bo to nie żaden *Trailways Bus*. Opona się rozwalila jak uderzyła gdzieś w drzewo. Stoi teraz rower w pokoju, bo opony nigdzie nie mogę w tym kraju kupić.

Ale autobus — siedzenia takie, jak w najgorszym autobusie szkolnym, takim jakim jeździłem do szkoły co rano. Tylko tamten był lepszy. Drogi okropne, myślałem, że zęby mi wypadną. Co dwie godziny musieliśmy przystawać przy drodze, bo ktoś musiał pójść „w krzaczkę”. Cała granda przywiozła z sobą dość jedzenia na tydzień. Co pół godziny ktoś coś do gęby wkładał, czy jajko, czy kura, czy cukierki...

Ale plaża, morze są śliczne. Można tu na długie spacerować od rana do wieczora. Teraz jest 7.45 rano. Widzę, że znowu będzie prześliczna pogoda. Już jestem opalony, ale teraz muszę zupełnie zbrązowieć.

Ściskam Was serdecznie, pozdróćcie piesków. Jacek.

28 czerwca, sobota

Dostałem masę korespondencji, listy ze Szczecina i Inowrocławia, trudne do odcyfrowania. No i naturalnie list od Bolka. Ten mój cioteczny dziadek uważa, że moje ciągłe poszukiwanie nowego miejsca to ucieczka przed samym sobą. No to dość na temat filozofii i to filozofii w jego wydaniu.

Wczoraj wieczór zdecydowałem, że ja mam przecież stale jeszcze dwadzieścia lat i zdrowe zęby. Może to podburzone „ego” przez prowokację Bolka. ... Zdecydowałem także, że w każdym razie teraz dość łagodnego ulegania i uprzejmego robienia tego i tamtego. Dziś spokojnie, ale zdecydowanie zbuntowałem się przeciwko pani S., powiedziałem, że nie pójdę jutro do Jastrzębiej Góry, ani też nie będę się włóczył z jej córką po Gdańsku i Gdyni. Chcę być sam.

To nie jest tak jak „hemingwayowskie przebywanie w samotności”, to jest samotny bieg i poruszanie się osobno, ale z tym, że są ludzie do których można wrócić wieczorem. Ten bieg samotny, bez ludzi, jest dlatego dobry, bo po prostu nie myślisz o nich w czasie dnia. Jasne? Ta cała rzecz sprowokowana listem Bolka wpłynęła na to, że dziś rano zacząłem myśleć o moim sto-

sunku do Polski, do moich rodziców, do U.S. — innymi słowy o mojej tożsamości.

Przyglądam się ludziom na plaży, słucham co mówią. Nie podobają mi się sposób w jaki rozmawiają, ani też sposób w jaki na mnie patrzą. To są zupełnie inni ludzie niż moi rodzice (no, naturalnie!), ale nawet moi rodzice są inni teraz niż w okresie, gdy byłem mały. Jeszcze stale starają się utrzymać tę narodową polską dumę, ale tylko dlatego, myślę, bo inaczej, gdyby tak nie postępowali, wydawałoby im się, że zdradzają Polskę. I jeszcze, to jest dla nich źródło siły, dla dwojga emigrantów związanych czymś więcej niż tylko małżeństwem.

I ja też czułem się zobowiązany do utrzymania tego nacjonalistycznego, polskiego ducha, bo wydawało mi się, że inaczej zawiodę moich rodziców i że w jakiś sposób odwrócę się od moich przodków, rodziny, „kraju”. Doszło do tego, że wahałbym się nazwać dziecko moje w przyszłości imieniem nie polskim, nie nazwałbym imieniem nie polskim nawet psa. I różne inne rzeczy. Wydawało mi się, że Polska jest krajem, w którego cieniu mogę się ukryć, kiedy będę miał dość Ameryki.

Teraz widzę, że Polsce i tym wszystkim ludziom g... zależy na emigracji, albo na moich rodzicach, albo na mnie, chyba tylko, że śpiewam polskie piosenki i jem polską kiełbasę... Może zbyt mało jeszcze spotkałem inteligencji z którą mógłbym się porozumieć na własnej platformie. Ale tym, których tu spotkałem, nie zależy na tym czy jestem Polakiem czy Egipcjaninem.

Ostatnio też konflikt izraelsko-arabski dał mi dużo do myślenia na temat nacjonalizmu. Mam dość agresji, antysemityzmu i oskarżania o antysemityzm. Nie chcę traktować Żydów ani jako „kozła ofiarne” ani jako „świętą krowę”. To są po prostu ludzie... Polska, z tego co widzę, jest co najmniej taka: nacjonalizm, melodramat, duch, chała i *bullshit*. Widzę tu dobre twarze, tak jak widzę wszędzie; serdeczne, łagodne, ciepłe twarze ludzi zgubione w tłumie upartym, aroganckim, zbyt dumnym, zbyt pewnym siebie. Zbyt wiele uporów, zbyt wiele zaufania do siebie, zbyt długo trwają w tym uporze. Moi rodzice przywieźli to tu z sobą. Na początku, w U.S., kiedy byłem jeszcze mały, to było bardzo silne w moich rodzicach, i ja sam wiele z tego od nich przejąłem.

... To tylko refleksje, broń Boże nie konkluzje. To są refleksje tego, co mogło się dziać w mojej głowie w czasie pierwszych dwóch dziesiętników lat mego życia.

Jeśli tego chcieli moi rodzice przysyłając mnie tutaj, znalezienia mojej tożsamości, wdzięczny im jestem obojgu za ich szczerość i odwagę.

Cetniewo, 28 czerwca

Kochani Rodzice!

Piszę do Was już nie wiem sam po raz który, bo tyle razy w myślach swoich, albo w listach nie wysłanych piszę do Was. Przyszedłem, tak jak się już stało moim zwyczajem, do kawiarni *Alga* która jest poza bramą Ósrodka, ale bardzo bliźiutko, ażeby pisać. Ta kawiarnia stała się już moim *haunt*. Co dzień rano wstaję około 7-mej, jem śniadanie i czytam gazety: *Trybunę Ludu* bo to głos KC PZPR (Partii) i jeżeli mogę dostać *Życie Warszawy*... Wczoraj otrzymałem list od Bolka. W tym liście Bolek zarzucił mi „że nie można uciec od samego siebie” i tym się tłumaczy „twoją ciągłą ochotę, ażeby znaleźć miejsce”. Bolcio nie wie o tym, ale przez swoją amatorską bolciowską psychologię poruszył we mnie najbardziej czynną sprawę, moją *identity*... Bolek w całym liście tylko w jednym zdaniu tę sprawę poruszył i ja się najpierw zaśmiałem, a potem z wolna zbuntowałem i wściekłem się na niego, na wszystkich, na całą Polskę, bo przyszło mi do głowy — ja nie uciekam od siebie, tylko wyrwano mnie z sytuacji w której się najlepiej czułem, i nie wiedziałem czego się ode mnie tu spodziewają, ani dlaczego — i w ogóle byłem jakaś ofiara. A Bolek swoim listem rozbudził cały proces... aż zrozumiałem trochę więcej o sobie. Zrozumiałem bardziej mój stosunek do Polski, a także do Was jako moich rodziców, przyjaciół i Polaków. Zrozumiałem trochę warunki emigracyjne, patriotyczne, narodowe i wiele innych rzeczy których przedtem nie rozumiałem. To było zupełnie jak odkrywanie drugiej części klucza do jakiegoś egipskiego hieroglify, ostatni (nie właściwie) kawałek mozaiki. ... myślałem dużo o emigracji i co to znaczy — czy ja też jestem emigrantem, ale jakim? ... w tym zbuntowaniu uwolniłem się z tych kajdanek mojej nieznanej, odziedziczonej polszczyzny. Teraz widzę ten naród własnymi oczami i widzę, że wiszę temu narodowi koło d..., więc już nie muszę być zobowiązany, ani czuć się zobowiązany, bo w rzeczywistości nigdy nie byłem. Bardzo trudno to wytłumaczyć... Powiedzmy, że kocham dwie dziewczyny. Właściwie nie wiem czy jedną czy drugą, bo czuję się porywany od jednej do drugiej i nie mogę się zdecydować całkowicie. No i w pewnej chwili widzę, że tę kocham, a tej nie. No, kocham jedną bo ją kocham, a kocham drugą bo jej *nie* kocham. To powinno być trochę wyraźniejsze teraz.

Z chwilą więc, gdy zrzuciłem ten ciężar z ramion, od razu się dobrze poczułem i ODNALAZŁEM JEZYK. Prowadziłem dziś dyskusję bądź-co-bądź filozoficzną przez dwie-trzy godziny o czymś nie dotyczącym mojej osobowości. Dobrze się czuję i na-

reszcie czuję się samodzielny i gotowy do dalszej części pobytu w Polsce. Mogę na nią teraz patrzeć innymi oczyma, wyraźnie i przez MOJE oczy... Chciałem o wielu innych rzeczach napisać, ale to jakoś było najważniejsze... Przepraszam tylko, że ten list tak długi i język nie najpiękniejszy.

Jacek Lech MOSTWIN

(Listy oryginalne, fragmenty z dziennika tłumaczyła D.M.)

Śmierć górnika

W dniu 31 grudnia 1969 r. w miejscowości Clarksville w górniczym stanie Pensylwanii, do domu Józefa Yablonskiego, znanego działacza United Mine Workers, wtargnęli niezłani sprawcy i strzałami z rewolwerów zamordowali wszystkich domowników — Józefa Yablonskiego, jego żonę Margaret oraz córkę Charlotte. Morderstwo to wykryto dopiero po kilku dniach, kiedy syn Yablonskich przyjechał do Clarksville zaniepokojony niemożliwością telefonowania się z domem swoich rodziców.

Józef Yablonski, ubiegał się w 1969 r. o stanowisko prezesa United Mine Workers mając za rywala dotychczasowego prezesa tegoż Związku T. Boyle. W dniu 9 grudnia 1969 odbyły się wybory. Yablonski przegrał je na rzecz Boyle'go, którego z miejsca oskarżył o korupcję wyborczą. Walka o wpływy i stanowiska w amerykańskich związkach zawodowych jest bezwzględna a pozycja materialna i polityczna prezesa dużej Unii robotniczej da się przyrównać do stanowiska menadżera wielkiego banku lub przemysłu w USA. Kontrolują oni życie gospodarcze, a w znacznym stopniu i polityczne również. Ich zarobki dorównują zarobkom menadżerów wielkich przedsiębiorstw.

Prezes Unii Kierowców np. dostaje rocznie 92.432 dolary pensji, wraz dodatkami. Prezes Unii Maszynistów ma pensję roczną 88.220 dol., prezes Unii Marynarza zarabia 81.918 dol. rocznie, prezes Unii Pracowników Handlu — ma 76.427 dol. rocznie, prezes Unii Muzyków — 51.395 dol. rocznie, prezes Unii Drukarzy — otrzymuje rocznie 38.285 dol. itd. Do stanowiska prezesa Unii Górników, o które ubiegał się Yablonski przywiązane są dochody w wysokości 62.442 dol. rocznie. Dane te figurują w oficjalnych sprawozdaniach publikowanych w różnych pismach. Związki zawodowe posiadają duże majątki. W lutym zakończył się strajk robotników w zakładach General Electric, który trwał 3 miesią-

ce i przez czas trwania strajku Unia Elektryków wypłacała pensje z funduszków związkowych 20.000 strajkującym.

Związek Górników posiada wielomilionowy majątek pochodzący ze składek członkowskich i te miliony dolarów ulokowane są w jednym z banków w Washingtonie nad którym kontrolę sprawuje zarząd Zw. Górników z prezesem na czele. Decyzja wycofania funduszków związkowych z tego banku i przeniesienia ich do innego, oznaczałaby dla banku katastrofę, toteż dyrektorzy banku tak muszą działać jak tego będą wymagały interesy Unii, albo jej *bos'ów* co bynajmniej nie jest jednoznaczne.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że w Unii Górników panował terror. Szczególnie oddziały Unii Górników w stanie Tennessee oraz jeden powiat górniczy w Kentucky zyskały sobie już w latach 30-tych złą sławę „krwawych zabijaków” ze względu na często zdarzające się tam porachunki „unionistów”, zakańczane morderstwem. Yablonski podczas kampanii wyborczej do władz Zw. Górników często stawiał tym okręgom zarzut, że są one szczególnie skorumpowane, że tamtejsi przywódcy górniczy otrzymali od prezesa Unii Tony Boyle w ostatnich latach 3,7 miliona dolarów i że ta pomoc organizacyjna była niczym innym, jak tylko przekupstwem, kupowaniem głosów tamtejszych delegatów.

W tym klimacie specyficznym dla znacznego odłamu amerykańskich związków zawodowych, żył i działał Józef Yablonski z górą 30 lat. Jak twierdzi *Chicago Tribune* Yablonski „nie mógł nie wiedzieć jakie podejmuje ryzyko, stając do walki z maszyną wyborczą prezesa Zw. Górników Tony Boyle”. Zaledwie kilka miesięcy temu, gdy przemawiał na zebraniu w stanie Illinois jako kontrkandydat Boyle'go został pobity do utraty przytomności przez unijnych zabijaków.

Prasa amerykańska z dużym zainteresowaniem śledziła zmagania Yablonskiego o uzdrowienie stosunków w Unii Górniczej. Sympatie okazywała mu opinia publiczna kiedy — wskazując na częste w Ameryce katastrofy górnicze — domagał się od Kongresu uchwalenia prawa zapewnającego górnikom większe bezpieczeństwo pracy w kopalniach. Yablonski był nie tylko inicjatorem, lecz również prawo to przeforsował w Kongresie czym dowiódł swojej pozycji w ruchu zawodowym i stał się groźnym rywalem dla Boyle w walce o urząd prezesa Związku. Nowa ustawa o warunkach pracy w górnictwie weszła w życie w początkach stycznia 1970 r., w kilka dni po zamordowaniu Yablonskiego. *The New York Times* z 7 stycznia 1970 r. tak o tym pisze: „Yablonski pobity w wyborach w ubiegłym miesiącu już wystawił sobie pomnik w formie nowego federalnego prawa 'Mine Health and Safety Act'. Strajki, jakie na wiadomość o jego zamordowaniu rozpoczęły się w wielu kopalniach wskazują, że może on zdobyć obecnie drugi pomnik — męczennika za sprawę demokracji unijnej”.

Gdzie indziej znów piszą o nim jako o kontrowersyjnym działaczu związkowym. Washingtonski tygodnik *Time* twierdzi, że „Yablonski był popędliwy w słowach, opanowany przez jakieś demony, które nie pozwalały mu działać w klimacie spokoju

i umiaru” — dalej — że miał opinie „rozrabiacza (*troubleshooter*). Znany amerykański komentator Mark Sullivan twierdzi, że Yablonski „miał złe błyski w oczach”. Może i miał, ale to — chyba — nie usprawiedliwia zabójstwa. Prędzej można przyjąć to co napisał *New York Times*, że „przemoc i akty gwałtu stanowią część tradycji w górniczym ruchu związkowym” i co prasie powiedział kongresman Kenneth Hechler, że „walki wyborcze w związku górników były zawsze przesycone jadem”, w którego oparach Yablonski również się obracał.

Nikt do tej pory nie zaprzeczył zeznaniom syna Yablonskiego, jakie złożył on w podkomisji Senatu USA, która zajęła się zbadaniem okoliczności potrójnego morderstwa. Powiedział on — co powtórzyła cała prasa i TV w USA — że wszystko przemawia za tym, iż zabójstwa dokonali „zawodowi mordercy” (czytaj wynajęci mordercy) a także, że można było tego uniknąć gdyby Sekretarz Pracy i Prokurator Generalny St. Zjednoczonych nie zlekceważyli skarg J. Yablonskiego, który kilkakrotnie zwracał się do rządu USA żądając wszczęcia śledztwa w sprawie korupcji i nadużyć w Unii Górników a także apelował o zbadanie nadużyć w wyborach związkowych. Niestety, Prokurator Generalny zarządził śledztwo dopiero po dokonaniu morderstwa i energiczne dochodzenia wszczęte przez F.B.I. już doprowadziły do aresztowania 3 osobników podejrzanych o udział w mordzie rodziny Yablonskich.

W procesach o posmaku politycznym śledztwo trwa wyjątkowo długo. Trudno obecnie przepowiadać ostateczny wynik śledztwa i wynik przewodu sądowego. Ale wiemy już, że prócz aresztowania 3 podejrzanych o bezpośredni udział w mordzie, została również aresztowana Mrs Gilly, której Ława Przysięgłych zarzuciła przekazanie mordercom wynagrodzenia (po 1.700 dol. każdemu) i — co chyba jest najważniejsze — że Mrs Gilly jest córką Huddlestona, przewodniczącego oddziału United Mine Workers w La Follette w stanie Tennessee — okręgu najbardziej skorumpowanego, tego właśnie w którym Yablonski domagał się natarczywie dochodzenia prokuratorskiego. Jest ona jednocześnie żoną jednego z morderców. Na tym kończy się moja relacja.

Były ostatnio cztery morderstwa polityczne, których rezonans miał zasięg światowy: prezydenta J. F. Kennedy, Martin Luter Kinga, senatora R. Kennedy i J. Yablonskiego. Czy słuszne jest łączyć te nazwiska?

Wszyscy czterej reprezentowali w amerykańskim życiu publicznym to co nazywamy czynnikiem odnowy. Każdy z nich, na swoich pozycjach, w miarę swoich możliwości i dostępnymi sobie środkami, poszukiwał rozwiązań bardziej adekwantnych do warunków rozwojowych społeczeństwa amerykańskiego i świata w jakim żyjemy. Każdy z nich szedł na spotkanie nowych czasów, nowych ludzi i nowych koncepcji organizacji życia wolnych społeczeństw. Każdego z nich znamionowała dynamika czynów, któ-

re nie zawsze mieściły się w granicach bezpieczeństwa interesów amerykańskiego *Establishment*'u.

W tej historii zmagania się starego z nowym nie będzie pominięty i ten szczegół że — jak dotychczas — wykrywalność zbrodni politycznych kończy się na wskazaniu wykonawcy mordu (np. „wynajęci mordercy”), który jest starannie wyizolowany ze społecznej scenarii życia amerykańskiego, który odpowiedzialnością z nikim się nie dzieli, pojawia się jak *Deus ex-machina*, aby kulą rewolwerową likwidować człowieka i jego niebezpieczne, dla kogoś, idee.

Komisja Warrena orzekła, że sprawcą śmierci prez. J. F. Kennedy był Lee Oswald nie posiadający żadnych organizacyjnych zapleczy, nie mający powiązań ani zależności mafijno-politycznych. Po prostu to był strzelec amator, co — jak wiemy — nie wszystkim trafiło do przekonania. Mordercą Martin Luter Kinga był Earl Ray — wykolejeniec z marginesów życia społecznego, człowiek z zapleczem kryminalnym. Ten który zamordował sen. Roberta Kennedy — Sirhan Sirhan to emigrant który jeszcze nie zapuścił korzeni w życie amerykańskie. I wreszcie trzech podejrzanych o mord Yablonskiego — jak pospiesznie oświadczył prasie prezes Zw. Górników Boyle — to osobnicy nie mający nic wspólnego z jego związkami. Oczywiście znów jakieś kryminalne marginesy społeczne i nic więcej.

Jednakże, choćby najstaranniej izolować morderców od scenarii amerykańskiego życia publicznego, nagminność tego rodzaju zbrodni jest sama przez się objawem choroby społecznej, której nie da się uleczyć przez eliminację paru osobników, jako wykonawców zbrodni.

Karol Liebknecht twierdził 70 lat temu, że rewolucje społeczne będą omijały Wielką Brytanię, ponieważ w tym kraju dopuszcza się do rządu tylko tych, którzy potrafią interesy swego środowiska podporządkować interesom całego społeczeństwa. Być może w tym powiedzeniu zawarta jest recepta na dzisiejsze niedomaganie społeczeństwa amerykańskiego.



Protest Polonii Amerykańskiej w związku z potrójnym morderstwem w rodzinie Yablonskiego był spontaniczny i solidarny. Górnicy polscy w Pensylwanii zastrajkowali domagając się energicznego śledztwa. Związek Narodowy Polski natychmiast ogłosił nagrodę 10.000 dolarów za wykrycie sprawców zbrodni. Dziesiątki organizacji polonijnych przesłało do prasy i do rządu amerykańskiego rezolucje domagające się ukarania sprawców i zbadania słuszności zarzutów jakie Yablonski postawił władzom Unii Górników.

Polonia Amerykańska ma swój punkt widzenia na ten mord. W stanach południowych Unie górników znajdują się pod wpływami elementów skrajnych, ustosunkowanych wrogo do katolickich grup etnicznych i do emigrantów polskich. Tam było siedlis-

ko wrogów Yablonskiego. Uprzedzenia rasowe i religijne dzielą mieszkańców stanów południowych w stopniu przewyższającym to co znamy z terenu wielkich miast Północy USA. Śmierć Yablonskiego, który od 30 lat był członkiem organizacji polonijnych zmobilizowała całą Polonię do samoobrony przed supremacją ze strony innych grup etnicznych, przed próbami majoryzowania nas w życiu społecznym i politycznym.

Przywódcy polonijni stwierdzają, że nie pamiętają od lat takiego ożywienia aktywności mas polonijnych, takiego zainteresowania prasy amerykańskiej tym co robi Polonia.

Być może śmierć Yablonskiego stanie się dla świadomości i solidarności polonijnej tym czym dla Murzynów stała się śmierć Martin Luter Kinga.

Edward PUACZ

Możliwości emigracji do Afryki Poł.

WARUNKI I STOSUNEK WŁADZ

Republika jest krajem imigracyjnym i agendy rządowe załatwiają formalności, związane z przyjazdem i osiedleniem się. Należy się zwracać do lokalnego przedstawicielstwa RSA (ambasada, konsulat) lub, w braku takiego, należy pisać bezpośrednio do Pretorii. Adres: Department of Immigration, P.O. Box 2072, Pretoria, R.S.A.

Podejście władz jest rzeczowe i selekcja kandydatów (zawód, kwalifikacje, doświadczenie, wiek) jest ostra. Czas załatwiania formalności do 6-ciu miesięcy. Przy tym stwierdzenie pilnego zapotrzebowania na dany zawód, przez resort państwowy, czy firmę prywatną, może ten okres wydatnie skrócić.

Zapotrzebowanie ulega wahaniom. Ogólnie można jednak stwierdzić, że jest stałe zapotrzebowanie na personel techniczny (tak inżynierów, jak i techników), rzemieślników, lekarzy specjalistów i w trakcie specjalizacji, siostry i pomocniczy personel medyczny, handlowców (znajomość angielskiego konieczna). Bez szans są adwokaci i inni przedstawiciele kierunków humanistycznych, niewykwalifikowani robotnicy, szoferzy, a także naukowcy i nauczyciele. Inne zawody należałoby rozpatrzyć każdy z oddzielną.

- Władze imigracyjne cechuje duża wyrozumiałość w wielu sprawach. I tak:
- W przypadku braku dokumentów, upoważniających do przekraczania granic, każdy dokument tożsamości wystarczy do przyznania zezwolenia na osiedlenie i do przybicia wiza wjazdowej.
 - Bez trudności uznaje się i płaci za kwalifikacje, poparte dokumentem (świadectwa, matura, dyplom).
 - Uwzględnia się słabą lub żadną znajomość języków urzędowych (wyjątek dotyczący wyłącznie nowych przybyszów). W takim przypadku znajomość niemieckiego, francuskiego, holenderskiego, czy flamandzkiego jest pomocna w znalezieniu pracy. Znajomość bowiem wyłącznie języków słowiańskich nie wystarczy.

- d) Wymagania zdrowotne są ograniczone i różnią się w zależności od kraju, z którego się przyjeżdża.

Pomoc Urzędu Immigracyjnego sprowadza się do:

- a) Pokrycia całkowitego lub częściowego kosztu przyjazdu, w granicach do 120 randów (dol. USA 168) na dorosłą osobę. Przy czym pewne linie lotnicze i okrętowe stosują specjalną ulgową taryfę dla imigrantów.
- b) Zapewnienie imigrantowi i jego rodzinie pensjonatu, do czasu rozpoczęcia zarobkowania.
- c) Ułatwienia znalezienia pracy.
- d) Bezpłatnej opieki lekarskiej do chwili rozpoczęcia pracy.
- e) Udostępnienia bezpłatnej nauki angielskiego i afrikaans, na wieczorowych kursach.
- f) Wszelkiej innej formy drobnej pomocy, zależnie od indywidualnych potrzeb.

Stosunek władz do Polaków jest pozytywny, gdyż utrwaliła się opinia, że przyjeżdżają, aby osiąść (odsetek ptaków przelotnych jest minimalny), a także, że są dobrymi fachowcami i rzetelnymi pracownikami.

POMOC ZWIĄZKU OSADNIKÓW POLSKICH (SEKCJA IMIGRACYJNA)

Opiera się na pracy ludzi chętnych — nie mamy etatowych pracowników. Pomagamy w załatwianiu formalności, przez występowanie do władz w Preterii, szczególnie, gdy występują trudności, np. odmowa udzielenia wizy.

Pomagamy korespondując i informując, czego można tutaj oczekiwać. Odpowiadamy rzeczowo, nie koloryzując, na dziesiątki zapytań. Doradzamy rodakom osiadłym tutaj w sprawach sprowadzenia rodziny, czy przyjaciół. Mamy więcej doświadczenia w tych sprawach, więc dopomagamy w unikaniu błędów. Każdego petenta i każdą sprawę traktujemy indywidualnie.

Po przyjeździe nowego przybysza staramy się mu dopomóc w przetrwaniu pierwszego paromiesięcznego okresu, który jest zawsze najtrudniejszy. A więc wozimy, pożyczamy, tłumaczymy. Znając warunki w Polsce, staramy się wytłumaczyć inność naszego życia tutaj, aby zaoszczędzić przybyszowi uczenia się na własnej skórze. Dopomagamy w zawieraniu znajomości z osiadłymi rodakami, których włączamy do kręgu opiekujących się i pomagających.

Czego nie czynimy z zasady.

Nie zajmujemy się pośrednictwem matrymonialnym; nie prowadzimy korespondencji „ku pokrzepieniu serc”. Nie szukamy dla rodaka pracy, do której nie ma, w naszym pojęciu, odpowiednich kwalifikacji, nawet, gdy zainteresowany jest innego zdania. Nie szukamy dla wynalazców ludzi z kapitałem, ani „odpowiedniego” wprowadzenia dla geniuszów.

Doradzamy co zakupić przed przyjazdem — w zasadzie nic. Co przywieźć z dóbr materialnych — wszystko, co się już ma, łącznie z kozuszkami i nartami.

Zalecamy, aby oczekując na załatwienie formalności wjazdowych, petent, bez względu na miejsce pobytu — pracował zarobkowo, uczył się angielskiego i zdobył prawo prowadzenia samochodu.

Nasz adres:

Association of Polish Settlers in South Africa,
Immigration and Welfare Section,
P.O. Box 9484, Johannesburg, R.S.A.

Emigracja polska w Australii

W styczniu br. minęło dwadzieścia lat od powstania pierwszych form organizacyjnych Polonii Australijskiej. Dla zorientowania czytelników zamieszczamy fragmenty artykułu p. JDK, który się ukazał w *Wiadomościach Polskich* w Sydney, w nrze z 25 stycznia rb.

„Polonia Australijska jest bardzo młodą Polonią, mimo że jej początki sięgają początków historii Australii. Niestety pierwsze zwarte skupiska polskie, które powstały w ubiegłym stuleciu, rozplynęły się w morzu obcej narodowości i zaginały po nich prawie ślad. Do II wojny światowej Polonia Australijska liczyła zaledwie paręset osób, głównie osiadłych w Brisbane, Sydney i Melbourne.

Po II wojnie światowej, w przeciągu paru lat (1947-1950) przybyło około 80.000 Polaków. Po roku 1956 doszło jeszcze około 15.000 imigrantów z Polski. Dziś, razem z dziećmi urodzonymi już w Australii, ocenia się, że jest ponad 120.000 osób polskiego pochodzenia, co stanowi około 1 procent ludności Australii...

Powojenna emigracja polska, zastając jedynie znikome polskie życie organizacyjne w Australii, musiała rozpocząć pracę od samych podstaw... Dziś dorobek społeczny i prywatny Polonii Australijskiej jest poważny.

Z biegiem lat, powstały: 22 Domy Polskie, 333 Domy Dziecka Polskiego, będące dziś pod opieką Sióstr Nazaretanek i Zmartwychwstaneek, kościoł polski w Marayong (rozpoczęto akcję budowy drugiego w Essendon oraz budowę Domu Emeryta w Marayong).

Poza tym społeczeństwo polskie ufundowało 4 piękne ośrodki młodzieżowe, przeznaczone na kolonie letnie dla dzieci i młodzieży, obozy harcerskie i miejsca „majówek” starszego społeczeństwa.

Powstały dwie Polskie Spółdzielnie Kredytowe i szereg organizacyjnych kas samopomocy. W skupiskach polskich założono sieć 45 sobotnich szkół polskich, w których ok. 75 nauczycieli uczy około 2.000 dzieci przedmiotów ojczytstych. Do opieki nad szkolnictwem polskim powołana została Komisja Oświatowa Polonii Australijskiej a dla nauczycieli wydawany jest kwartalnik „Poradnik Nauczycielski”.

Australijska Chorągiew Związku Harcerstwa Polskiego, zorganizowana w 4 hufce, liczy razem ok. 800 harcerzy, harcerek i zuchów...

Powstały kluby sportowe — piłki nożnej, siatkówki i koszykówki, które obecnie wchodzą w skład Zrzeszenia Polskich Klubów Sportowych w Australii. Od paru lat urządzane są na terenie Melbourne Święta Sportowe, w których bierze udział ok. 500 polskich zawodników, przy obecności 4-5.000 publiczności polskiej.

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów skupia w 12 Kołach ok. 900 byłych żołnierzy wojsk polskich. Oprócz SPK pracują 2 Koła Lotników Polskich, 3 Koła Armii Krajowej i Koło Karpaczaków.

Zjednoczenie Polek w Australii, powstałe w 1966 r., rozwija się żywo łąco skupiając 14 Kół Polek. Celem ich jest roztoczenie opieki nad Domami Polskimi i młodzieżą.

W wielu ośrodkach istnieją biblioteki polskie, grupy teatralne, chóry i zespoły tańców narodowych. Archiwum działalności Polonii Australijskiej prowadzi z całą skrupulatnością Polskie Towarzystwo Historyczne w Australii (Adelajda).

Opiekę duszpasterską sprawuje Polska Misja Katolicka licząca dwudziestu paru kapłanów polskich.

Na terenie Australii wychodzą 2 tygodniki polskie, 1 dwutygodnik oraz dwa periodyki specjalne. Wiele organizacji wydaje swoje własne biuletyny informacyjne.

Całe zorganizowane społeczeństwo polskie wchodzi w skład Rady Naczelnej Organizacji Polskich w Australii, powstałej 20 lat temu. Zjazdy Delegatów odbywają się co 2-3 lata i stanowią najwyższy „parlament” polski w Australii.

Udział Polaków w życiu australijskim jest również poważny. Na wyższych uczelniach pracuje około 50 polskich naukowców. Rokrocznie zwiększa się ilość młodzieży polskiej kończącej wyższe uczelnie...

Polonia Australijska stworzyła solidne podstawy swej egzystencji. Stoją jednak przed nią jeszcze poważne problemy do rozwiązania. Brakuje jej wciąż odpowiedniej bazy finansowej — dopiero od paru lat trwa akcja tworzenia Funduszu Wieczystego Polonii Australijskiej”.

NA ANTENIE

PRZYNOŚI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDY-
CJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOSNIĘ POLSKĄ RWE ZE
SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRA-
JOWE.

**Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn.
MUNICH, GERMANY.**

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS
GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamó-
wienia. Prenumerata roczna z przesyłką £ 2.2.0 lub \$ 5,00, F. 25.00.

Straty kultury polskiej

Grydzewski

Gdy sparaliżowany i ociemniały dogorywał w londyńskim zakładzie Braci Aleksjanów dla nieuleczalnie chorych, brakowało tylko czterech lat do jubileuszowej apoteozy. Pomyślany, założony i prowadzony przez niego tygodnik *Wiadomości Literackie* — *Wiadomości Polskie* — *Wiadomości* osiągnie w roku 1974 pełne pół wieku życia w trzech stolicach Europy: w Warszawie, Paryżu i Londynie. Historia czasopiśmiennictwa polskiego zna przykłady jeszcze większej długowieczności. *Tygodnik Ilustrowany* żył okrążyło osiemdziesiąt lat, *Biblioteka Warszawska* (miesięcznik) tylko dziesięć lat krócej, niektóre periodyki doby pozytywizmu jak *Przegląd Tygodniowy* dociągnęły bodaj blisko wieku troisty *Wiadomości*. Ale żadne z tych pism nie było do tego stopnia utożsamione z jednym człowiekiem. Żadne z nich nie miało tak burzliwej historii. Nie potrafiłbym też wskazać żadnego czasopisma polskiego i obcego, które by się ukazywało kolejno w trzech różnych krajach pod tym samym kierownictwem. Grydzewski miał prawo mówić: *Wiadomości c'est moi*. To stwierdzenie można by również odwrócić: Grydzewski to były *Wiadomości* — żył tym pismem, w nim i dla niego. Ono zakreślało widnokrąg i wyczerpywało sens życia.

Miało to znamiona prawie monomanii, monoidei. Grydzewski odsuwał, ograniczał, tłumił wszystko co jej nie służyło, co by mogło z nią współzawodniczyć. Był prawie całkowitym zaprzeczeniem *zoon politikón*. Nie założył rodziny; sprawy prywatne załatwiał z rozbrajającą, nieraz roźmieszającą prostotliwością. Nie angażował się w żadne działania społeczne. Nigdy nie występował publicznie. Wielu ludzi, wielu długoletnich współpracowników nie znało go osobiście, nie widziało go nigdy na oczy. Obcował towarzysko z niewielu ludźmi i tylko z niewielu naraz na skąpo wy-

mierzonym marginesie; notoryczny odludek umiał być wtedy uroczym kompanem. Jedyne większe zebrania, w których uczestniczył z urzędu, obowiązku i przymusu były to doroczne zebrania jury nagród *Wiadomości*. Wstawił się tym, że świecił nieobecnością na trzydziestoletnim jubileuszu swego pisma. Nie miał domu, nie miał własności prywatnej. Niczego nie gromadził, nie kapitalizował. Jeśli miał instynkt posiadania, to w stanie zaniku. Ostatnim dobrem ruchomym, które posiadał, było urządzenie słynnego pokoju redakcyjnego na Złotej 8 m. 3 (II piętro) w Warszawie z pluszową sofą, na której za dnia siadali interesanci, a nocą sypiał redaktor.

Był narkomanem pracy, można by powiedzieć, hedonistą, nawet masochistycznym hedonistą pracy. Jego dzień zaczynał się wcześniej rano przed porą, w której budzą się zmiatacze i dostawcy butelek z mlekiem, kończył się późną nocą. Żeby było trudniej, w ostatnich kilkunastu latach mieszkał poza Londynem. Dzień w dzień w piątek i świątek przemierzał koleją podmiejską dystans Londyn-Penge, ale to może dawało mu ułudę domu, namiastkę rodziny. Jak często, u podstawy tego maniactwa, tej *l'art pour l'art*, pracy dla pracy leżała wola robienia wszystkiego własnymi rękami, przeświadczenie, że nikomu i niczemu nie można zaufać, zaborczość i wyłączność pasji, nienasycony perfekcjonizm. Grydzewski nie znał ekonomii wysiłku. Mnożył go zamiast redukować. Robił bezlik rzeczy niekoniecznych lub właściwie zbędnych. Ciągłe prowadził jakieś spory, pieniał się zażarcie. Kiedyś opowiadał mi jak w nieskończoność wymieniał listy z zarządem londyńskiej kolejki podziemnej o stłuczoną żarówkę nad bocznymi drzwiami wagonu, przez które zdarzyło mu się wysiąść. Ale tutaj biło także źródło jego rozrzutności i gotowości do usług. Odpowiadał na każde zapytanie, każdą prośbę, załatwiał niezliczone kwerendy w British Museum. Sam go nadużywałem, gdy było mi nieporęczniej dla jednego drobiazgu wędrować z Putney na Tottenham Court Road.

Grydzewski-korespondent to *un chapitre à part*. „Moim ideałem” — mawiał — „jest odpowiedzieć na list przed jego otrzymaniem”. Własne listy wystukiwał na maszynie robiąc w co drugim słowie dwa błędy, poprawiając je runicznym, najtrudniej czytelnym pismem i do końca adresując je na cały świat jak w Warszawie: W.P. (Wielmożny Pan) XY. Ale były one szczytem lakoniczności, zawierały w minimum słów maximum treści. Mieszkać przez kilka dziesiątków lat w jednym mieście, wymienialiśmy takie listy-szyfry, listy-sygnały czasem codziennie — Grydzewski tak wolał, mnie to nie przeszkadzało. (Tylko w najbardziej wyjątkowych przypadkach dzwoniłem do niego wczesnym ranem i niespodzianą tych telefonów wywierała pioru-

nujące wrażenie. Mogłem wtedy uzyskać wszystko o co mi chodziło, ale też chytrze nie nadużywałem tego komunikacyjnego terroru, by nie osłabić jego działania). Nawet siedząc pod kopułą British Museum, często korespondowaliśmy z rządu T do rządu G, w którym Grydzewski jako *un habitué*, zjawiający się regularnie z otwarciem drzwi przybytku, miał swoje stałe miejsce możliwie odosobnione dzięki wolnemu przejściu z prawej i podstępemu zaborowi sąsiedniego miejsca z lewej. To był *my home, my castle* Grydzewskiego, obwarowany wysokimi murami z książek, zaśmiecany maszynopisami w trakcie obróbki, korektami w trakcie robienia, listami współpracowników, olbrzymimi płachtami rewizji, pokreślonymi we wszystkich kierunkach, fotografiami a także celuloidowym pudełkiem do mydła. Gdy chciałem z Grydzewskim rozmawiać, prosiłem na piśmie o audiencję, gdy on chciał mi jej udzielić lub z własnego popędu miał ochotę rozmawiać, przechodził z prawego półkola sklepionej rotundy na lewe i wywoływał mnie do korytarza między westybulą muzeum a czytelnią biblioteki. Stoją tam dwie ciężkie, żółte ławy z drzewa, jest prostokątny otwór garderoby, zejście po schodach do ustępów w podziemiu. Z dwu końców bez przerwy chwieją się wielkie wahadłowe drzwi, jedno łączące z westybulem, drugie prowadzące do lektorium.

Posiedzenia na tym przesmyku to jest mój Grydzewski *intime*. Nienagabywany, nieprzymuszony otwierał się, często wybuchał, nieraz wydawał się jakby mimo woli. W ciągu lat londyńskich ta cała instytucja, wyjątkowo w swoim rodzaju pociągająca, była jego domem, gabinetem pracy, pokojem przyjęć i salonem. Na tej samej ławie posiadał z Kukielem, Strońskim, Stanisławem Mackiewiczem (póki mieszkał w Londynie), z Pietrkiewiczem. Za dnia unikał lokalu redakcyjnego, wprzód na 54 Bloomsbury Street (była to klitka tak zatłoczona papierami, że się w niej dostawało ostrego ataku klaustrofobii), później na 67 Great Russell Street, naprzeciw British Museum. Tak bronił się przed drobnicą powszedności, interesantami i telefonami. Praktykował eskapizm.

Był to eskapizm szczególnego składu. Uchylając się od bezpośrednich styków z rzeczywistością Grydzewski, tkwił w rzeczywistości głębiej niż ktoś mieszkający na rynku, prowadzący otwarty stragan lub biegający od kominka do kominka. Wiedział wszystko, wszystkim się interesował. Gdy go słuchałem na tym przesmyku uderzanym falami z dwóch stron, często zdumiewałem się intesywnością jego przeżywania, niesłabnącą, prawie naiwną pasjonalnością. Można by w odniesieniu do niego mówić o niwelacji w górę. Każdy drobiazg angażował go maksymalnie na równi ze sprawami ważnymi i najważniejszymi. Wśród uśmiechów, prześmiejchów, rechotów, nieraz gwałtownych wykrzyków, z błyskami w brązowych, wilgotnych oczach jamnika, poruszając pobielonymi

brwiami mówił z pasją o przeczytanej książce, oglądanej sztuce, o ludziach. „Jak ten Moskal” — powiedział kiedyś o Stanisławie Mackiewicz, swoim filarze i „najulubieńszym pisarzu” swoich czytelników — „przypadkiem coś dobrze napisze po polsku, przy robieniu korekty podnosi gwałt: znowu mi pan coś zmienił!” (to powiedzenie tak mnie ubawiło, że zapisałem je na gorąco).

W toku tych rozmówek, nieraz wcale rozrzutnych w czasie, dochodził u Grydzewskiego do głosu instynkt przekory, zmysł dla butady. „Ja mam czarniejsze podniebienie niż sam Franco” — brawurował były redaktor „żydokomunistycznych” *Wiadomości Literackich* albo przekonywał mnie, że w Polsce nigdy nie było żadnego antysemityzmu, albo nawet pozwalał sobie na wycieczki antysemickie. Historyk z wykształcenia, lubiący analogie historyczne twierdził, że on reprezentuje „Hôtel Lambert” a ja lewicę Wielkiej Emigracji, „Gromadę Grudziąz”. Przez pół wierzył w wymyślone przez siebie mity, w autostylizację i stylizowanie innych. Kiedyś przysłał do mnie Peter Brocka, doskonałego znawcę historii Polski i Europy Środkowo-Wschodniej, obecnie profesora uniwersytetu w Toronto; rozmawiając z nim odniosłem wrażenie, że gość patrzy na mnie jakbym był nową inkarnacją Zenona Świętosławskiego, o którym świeżo napisał odkrywczą pracę.

Wykładowania energii, namiętności intelektualnej obserwowane przygodnie zostawiły we mnie obraz człowieka wiecznie młodego i młodzieńczego. Człowieka, który nigdy nie zobojętniał, nie uległ rutynie w tym co robił. Płynęło to z żywotności biologicznej, z pobudliwości umysłowej, a także z ukrywanej głęboko pobudliwości uczuciowej. Kiedyś, także na tej osobliwej przełęczy naszych spotkań, niestety uszło mi z głowy w jakim związku, Grydzewski ściszył głos (zazwyczaj mówił donośnie) i opuściwszy oczy powiedział: „... to pewnie dlatego, że ja tak Polskę kocham”. Po tych słowach otwiera się w mojej pamięci ciemna luka: obu nas naszedł wstyd i udaliśmy, że on tego nie powiedział, a ja nie słyszałem. Osobiście wydaje mi się to ważniejsze od okrzyków, które zapalny młokos wznosił na otwarciu pierwszego Sejmu Ustawodawczego w roku 1919: „Niech żyje Piłsudski! Niech żyje Paderewski!”. Łączy się to zresztą z czymś co mnie wewnętrznie obrażało i upokarzało, choć się nigdy z tym nie zdradziłem. Grydzewski miał nabożny, prawie kultowy stosunek do endeków, jakby to oni byli wyłącznymi szafarzami polskość, dyspozytorami dyplomów na polskość. Przyhołubił Jana Bielatowicza jak syna, zapomniawszy mu wszystko. Bezwstydnie przyznawał się, że marzy o tym, by Władysław Folkierski zaszczylił *Wiadomości* współpracą. Nigdy się tego doskonale zbędnego potwierdzenia nie doczekał.

Jako redaktor jednego pisma o kilku wcieleniach, przedtem

i po drodze kilku innych wydawnictw, był Grydzewski paradoksalnym połączeniem liberała i despoty. Stanowiło to jego tytuł do sławy i tajemnicę popularności jego przedsięwzięć, że łączyły pod jednym dachem-nagłówkiem ludzi różnej proveniencji i obojętności. Często prowadził szarżę na dwu frontach. Niekiedy, jak bohater „Magii” Chestertona, wspierał jednocześnie ligę antyalkoholową i alkoholików. Ale liberalizm nie przeszkadzał Grydzewskiemu być samorządcą, który zawsze chciał postawić i z reguły stawiał na swoim. Każdy otrzymany maszynopis świerzbiał go, kusił do poprawienia i ulepszania. „W pańskich skryptach nie ma nic do zmiany” — mówił z mieszaniną uznania i jakby pretensji (po prostu z własnego, redaktorskiego nawyku sam „adiustowałem” swoje teksty). Grydzewski miał manie i fobie, fiksacje i upodobania, słowne, frazeologiczne, syntaktyczne, nawet interpunkcyjne. Dawał im upust na cudzych tekstach. Do nierzadkich przypadków należało, że autor otrzymywał tekst powtórnie przepisany na maszynie i zawierający „propozycje” zmian redaktorskich czyli dyktat samowładcy.

Ale i sprawa nie była zupełnie prosta. Wobec pewnych pisarzy Grydzewski pełnił rolę niańki, cierpliwie oczyszczał ich teksty z balastu, wilczych pędów, z przerostu nieopanowanej jeszcze żywiołowości i paranoioidalnej gadatliwości. Dla innych był dopustem Bożym. Doskwierała zwłaszcza jego puryzm językowy, tępienie „obcych słów”, internacjonalizmów leksykalnych, ale i w tej manii nie był całkiem konsekwentny. Raz zmienił mi słowo „delikatny” na „subtelny” lub odwrotnie; nie podobna tego zapamiętać, bo te słowa są wyrazami bliskoznacznymi obcego pochodzenia. Podobna była sprawa z „alergią” i „idiosynkrazją”; Grydzewski wszczął o nią publiczną polemikę z Juliuszem Sakowskim, choć mieszkał w jego domu i spotykał go niemal co wieczór. Ale nawet czyściec „propozycji” redaktorskich i korekt autorskich nie zawsze chronił przed niespodziankami. Zmiany autorskie często nie trafiały do ostatniej rewizji, a przenikały do niej i objawiały się w tekście drukowanym chimeryczne poprawki nie uzgodnione z nikim. W jakimś moim przemówieniu o Wierzyńskim jest poprawka bez sensu, której sam autor-redaktor nie umiał wytłumaczyć. Niektóre teksty nie autoryzowane w późniejszych przedrukach będą kiedyś gratką dla filologów, niemal jak teksty antyczne.

Jedną z ulubionych butad Grydzewskiego, jedną z legend, które stwarzał wokół siebie, było twierdzenie, że nie zamawia artykułów, że „nie redaguje pisma”, że „robi się ono samo”. W istocie obmyślał je bardzo skrupulatnie i często posuwał to do granic humorystycznych. Raz pochwalił się przede mną swoim „szczęściem”: w ostatniej chwili jeszcze nie całkiem pełną kolumnę

z artykułami trzech hrabiów, niespodzianie uzupełnił — czwartym. Właściwie nie wiadomo dlaczego (może podświadomie chciałem doróść do wyznaczonej mi roli) podrażniło to moje poczucie demokracji i o tę hrabiowską kolumnę poszła kłótnia, oczywiście pisana, na odległość między dwiema dzielnicami Londynu. W ogóle byłem współpracownikiem krnąbrnym, nie przyjmowałem werdyktów bez apelowania do zdrowego rozsądku i racji logicznej: „proszę niech mnie pan przekona — zgodzę się na wszystko”. Takie buntownicze wyzwania nie były dobrze widziane. Grydzewski-liberał nie znosił sprzeciwu i krytyki. Burmuszył się, stosował represje. Jak mówiliśmy między przyjaciółmi, „karnie” aplikował w podwójnej dozie to, co się nam nie podobało.

Ale byłoby grubym błędem i czarną niesprawiedliwością wyobrazić sobie, że tylko do takich odruchów przekory i takich śmieszności sprowadzała się inicjatywa redaktorska Grydzewskiego. Była ona nieznużona, nieznużenie czujna. Śledził wszystko, czytał w kilku językach, choć mówił nimi słabo. Teksty przekładane w jego piśmie, nieraz bardzo ciekawe, były wyszperane z dużym nakładem wysiłku, wyłącznie przez niego. W okresie warszawskim miał pasję wydawania numerów specjalnych i opracował ich bez mała czterdzieści. Na pierwsze lata przypadło ich po cztery, czyli jeden co kwartał. Były to wielkie monografie zbiorowe, poświęcone pisarzom (np. Mickiewicz, Goethe, Chesterton), krajom (np. Rosja Sowiecka, Japonia, Litwa), miastom (np. Warszawa, Gdańsk, Kazimierz nad Wisłą), zagadnieniom (np. twórczość kobieca, malarze jako pisarze). Były to dokonania często rewelacyjne, nieraz znaczyły one przełom w stosunku do pewnych zjawisk, np. Prusa, niemożliwy do pominięcia w dziejach ich „repcji”, ich społecznego i estetycznego odbioru.

Jakby podparadoksem w paradoksie liberała-tyrana była eklektyczność i klanowość. Grydzewski uznawał wszystkie wartości od równi, ale niektóre z nich — żeby użyć Orwellowskiego określenia — jeszcze równiej. Skamandryci cieszyli się w *Wiadomościach Literackich* klauzulą szczególnego uprzywilejowania (Tuwim był podobno „redaktorem poetyckim”, kwalifikował wiersze do druku na ich łamach). Awangardziści byli *bêtes noires*. Za niedawną wzmiankę o Przybosiu Grydzewski naskoczył na mnie jak rozjuszony byk, choć już powaliła go była straszliwa choroba. Zdarzały mu się jaskrawe, wzywające niesprawiedliwości, jak ten sąd o jednym z najbardziej czarownych aktorów jakiego oglądały sceny polskie i może wszystkie sceny świata: „Pan Osterwa nie ziębi nas ani nie grzeje — nie mamy zamiaru zajmowania się tą przeciętnością”. Józef Szczublewski obrócił to w świetny chwyt literacki, zamknął tymi słowami swoją książkę *Pierwsza Reduta Osterwy*. Ale ma Grydzewski w swoim zapisie także wiekopom-

ne intuicje artystyczne. Otworzył *Wiadomości Literackie* Leonowi Schillerowi, spopularyzował jego widowiska monumentalne w całej Polsce, stał się współbudowniczym jego pozycji, dziś nie ulegającej już żadnej wątpliwości. Osobiście zawdzięczam mu młodzięcze olśnienie i późniejsze zainteresowanie poznawcze tym zjawiskiem. Ktoś kto zna trochę kulisy, czy podszewkę teatru polskiego między wojnami, łatwo złączy w jednym emocjonalnym odruchu Grydzewskiego i ową gilotynę, pod którą padła piękna głowa Osterwy i granitowy cokół, na który wyniósł wielkość Schillera.

Wśród wielu innych kokieterii Grydzewski często powtarzał, że nie umie pisać. W rzeczywistości pisał sporo, zwłaszcza w pierwszym okresie (pod kryptonimami *mg* i *jam*) i w ostatnim (pod pseudonimem *Silva Rerum*, wywodzącym się od starożytnego, XVII-wiecznego określenia, które mu posłużyło za tytuł stałej rubryki). Bywał porywczym, groźnym polemistą w stylu Paula Léautaud czy Léona Daudet. Pisał namiętne komentarze polityczne. Ale przede wszystkim wyżywał się w szperactwie, w kosztownej, drobinowej erudycji: w łowieniu kuriozów i anegdot historycznych, ustalaniu arystokratycznych konieksji rodzinnych, systematycznej rejestracji „spraw polskich w książkach angielskich”, w bardziej śmieszających niż gorszących *obscoenach*.

Tym łóżykiem płynęła również pasja antologiczna Grydzewskiego. Ogłosił dwie antologie warszawskie (*Wiersze o Warszawie*, *Warszawa w pieśni*) i pękaty tom, ponad trzysta stron w dwu szpaltach *Wiersze polskie wybrane. Antologia poezji od „Bogurodzicy” do chwili obecnej* (Londyn, 1946); całkowicie gotowa bliźniacza antologia noweli polskiej z niewiadomych przyczyn nie ukazała się w druku. Podczas wojny zamieszczał w swoim piśmie znakomitą „Skarbnicę Polską”, cotygodniowy dodatek gromadzący inteligentnie dobrane i celowo zestawiane, często rewelacyjne wyjątki poezji i prozy wszystkich okresów. W kilku numerach *Polski Walczącej* ogłosił miniaturową antologię pt. „Polska poezja wojenna”. Na początku 1942 roku wydał książkę zbiorową *Kraj lat dziecinnych*, złożoną z prac pisarzy przebywających na emigracji wojennej. Pomysł był, zdaje się, Ksawerego Pruszyńskiego, ale wykonanie — anonimowe — Grydzewskiego. Książka zrobiła niezwykłą karierę: została zaczytana i stała się prototypem gatunku, później szeroko rozplenionego w kraju i poza krajem. Wieść gminna niesie, że *Kwiaty polskie* Tuwima powstały z potrącenia wspomnień, otwarcia śluzu lirycznej przez tę książkę.

Całą aktywność Grydzewskiego żywiła przez pięćdziesiąt lat z górą potężna biologia. Była ona czymś tak oczywistym, że w końcu okazała się czymś zdradliwym. Z medycznego amatorstwa,

sam organiczny niskociśnieniowiec, zapytałem kiedyś Grydzewskiego czy wie jakie ma ciśnienie krwi. „Nie wiem i nie chcę wiedzieć!” — odwrnął w moją stronę. Nigdy nie chorował, unikał lekarzy jak choroby. Gdy i na niego przychodziło zaziębienie, zamykał się w redakcji z kawałkiem płótna jako jedynym lekarstwem i prawie o głodzie wysiakiwał w ten płat swój katar. Właściwie nie znał odpoczynku i odprężenia. Jego doroczne lub organizowane dwa razy do roku wyprężenia z jarzma były szaleńcymi wyczynami sportowymi, ustalaniem i pobijaniem własnych rekordów. Jeśli coś zwiedzał to w obłędnym tempie, nie przepuszczając żadnemu muzeum, żadnemu zabytkowi, żadnej wieży, by się później przechwalać ile schodów w sumie przemierzył. Jeśli siedział na miejscu, z reguły w Paryżu, oglądał dwa widowiska teatralne i jeden film dziennie; gdyby to było możliwe, upchnąłby w czasie dwa razy tyle. Te ostatnie wyczyny były planowane przed Bożym Narodzeniem, na tygodnie i miesiące naprzód. Grydzewski jechał z pełnym kompletem biletów w portfelu, znał teksty wszystkich sztuk przed ich obejrzeniem, szedł do teatru zawsze z odpowiednim tekstem w rękę. Tak przygotowane doświadczenia, sumowały się po wielu tygodniach i miesiącach, w czas Wielkanocy w monumentalnych przeglądach pt. „Teatry paryskie”.

Były to twory najdziwniejsze w swoim rodzaju. Często nie ocalał się w nich nawet ślad osobistego przeżycia, było ono przywalone i zgłuszone lawiną erudycji, szczegółów anegdotycznych, biograficznych, bibliograficznych, zgromadzonych w zdumiewającym mozole. Któregoś roku Grydzewski przysłał mi gruby plik rewersów bibliotecznycy na książki, które przeczytał lub przejrzał do jednego przeglądu; było ich kilkadziesiąt. Zachowałem je na pamiątkę, ale prowokacyjnie zaoferowałem, że napiszę podobny przegląd bez jazdy do Paryża a zaoszczędzone pieniądze wspólnie przepijemy. Ostrze propozycji kryło się w tym, że Grydzewski tylko okazjonalnie, jako rozrzutny Amfitrion, używał alkoholu, a ja nie używam prawie wcale.

Ale znowu byłoby pomyłką sądzić, że nie czuł teatru. Przeciwnie, wchłaniał go całą swoją namiętną naturą. Na przekór twierdzeniom, że ma złą pamięć, przechowywał w niej w stanie świeżości niezliczone wrażenia. Pamiętał w szczególności słynnego *Irydiona*, wystawionego na otwarcie Teatru Polskiego w Warszawie, w 1913 roku. Był jedynym znanym mi człowiekiem, który widział jedną z najwspanialszych kłap świata, *Hamleta* w inscenizacji Edwarda Gordona Craiga na scenie Moskiewskiego Teatru Artystycznego. Nie było w Londynie ważnej sztuki, tuzińskiej lub obcej, której by nie oglądał. Co roku pielgrzymował do Szekspirowskiego Stratfordu nad Avonem. Także w orbicie teatralnej

miał swoje awersje (nie znosił Edvige Feuillère) i swoich faworytów, np. Dorothy Tutin. Utrzymywał, że ją ja „odkryłem”, co kurtuazyjnie odwzajemniałem powiedzeniem, że jest to „jedyna nasza wspólna kobieta”. Posyłał jej kwiaty i listy pełne zasłużonego uwielbienia, nigdy nie poznał jej osobiście. Nie dał się namówić na spotkanie, wymawiając się swoją kaleką angielszczyzną.

Gdy go ugodził pierwszy, jeszcze łudząco lekki udar mózgu, Grydzewski był na to nieprzygotowany. Nie chciał tego przyjąć do wiadomości. Po sygnale ostrzegawczym ani na jotę nie zmienił stylu bycia, bez litości „dusił” swoją maszynę jak dawniej. Jak dawniej, od dziesiątków lat, przygotował numer gwiazdkowy (przez pewien czas powiększał jego objętość z roku na rok) i na dokładkę kilka zapasowych numerów, które miały wypełniać przerwę wakacyjną zaplanowaną w zwykłym trybie. Drugi udar dopadł go w drodze do Paryża i zawrócił do Londynu. Nie był to odwrót strategiczny ale totalna klęska: zamknięcie w nieznanym dotąd świecie choroby, szpitala i lekarzy, skazanie na nienawistną śmierć. Kiedyś, także w British Museum, z ciemną furią powiedział do mnie, że gdy umrze, chciałby, aby go „spalić i popiół spuścić z wodą” (powiedział „popiół”, a nie jak się eufemistycznie i solennie mawia „popioły”). Czekanie na koniec przeciągnęło się w trzy lata. Gdy go ostatni raz widziałem wczesną jesienią 1968 roku, mówił piejącem głosem i co pewien czas wybuchał spazmatycznym płaczem. Ten niepohamowany męski płacz i oczy zwierzęcia ogarniętego paniką były trudne do zniesienia. Dla niego może najtrudniejsze do zniesienia, najboleśniejsze było uczucie, że pismo, dzieło życia, całe życie już się oddzieliło od niego, przekroczyło go, przeżyło.

Po wierzchu, po tytułach sądząc, pismo stworzone przez Grydzewskiego miało trzy wcielenia: przedwojenne *Wiadomości Literackie*, wojenne *Wiadomości Polskie* i powojenne *Wiadomości*. W rzeczy samej było jeszcze czwarte, utajone, zakonspirowane jego wcielenie na przejściu od wojny do powojnia. Ale i to jeszcze nie wszystko. Chcąc uzyskać pełny obraz tego niezwykłego zjawiska czasopiśmienniczego, należałoby uwzględnić także jego prehistorię czy fazę przygotowawczą. Razem pięć rozdziałów, pięć aktów.

Na początku było pismo studentów uniwersytetu warszawskiego *Pro Arte et Studio*, od 1919 roku *Pro Arte*. Grydzewski, ówczesnie student historii przygotowujący doktorat pod kierunkiem Marcelego Handelsmana, maczał w tym piśmie palce, ale go nie prowadził; był obecny w kulisach, związał się przyjaźnią z jego wydawcami i współpracownikami. Można przypuścić, że uczył się na błędach, na nieudolności innych. Nie był urodzonym redaktorem ani Edward Boyé, przyszły tłumacz *Don Quijote'a*, ani Jan

Lechoń, choć wiele dziesiątków lat później włożył wiele energii i trudu w nowojorski *Tygodnik Polski*. Nawet przedłużenie tamtego, niezbyt regularnie ukazującego się pisma, miesięcznik poetycki *Skamander*, organ grupy pokoleniowej i trybunę kilku poetów, zrazu, przez pierwsze dwa lata redagował Władysław Zawistowski, krytyk teatralny niezbyt wielkiej miary, później bardzo sprawny urzędnik ministerstwa oświaty.

Grydzewski terminował wtedy jako tzw. redaktor nocny w *Kurjerze Porannym*. W roku 1922 przejął *Skamandra* z rąk Zawistowskiego i od razu przyspieszył jego tętno. W dwa lata później stworzył obok niego pismo, jakiego w Polsce dotąd nie było: „sensacyjny brukowiec literacki” według określenia Strońskiego, „gazetę literacką” jak to łagodniej i trafniej określił Wierzyński. Ten gazetowy charakter podkreślał format dużego *quarto* i taka informacja: „cena egzemplarza pojedynczego równa się podwójnej cenie dziennika warszawskiego”. Miesięcznik poetycki wychodził dwoma nawrotami około dwanaście, tygodnik informacyjny z górą piętnaście lat bez przerwy, aż do tragicznego Września.

Rok narodzin *Wiadomości Literackich* zbiegł się z początkiem moich studiów na uniwersytecie lwowskim. Pamiętam, że zaprenumerowaliśmy je na spółkę z moim kolegą i przyjacielem Janem Hulewiczem, choć obydwaj nie śmierdzieliśmy groszem: jego wspierała ciężko pracująca matka, ja studiując byłem jedyny raz w życiu urzędnikiem, tzw. kontystą, niewolnikiem przywiązany do metrowej książki kontowej w Zakładzie Ubezpieczenia od Wypadków. *Wiadomości* były naszym pierwszym wtajemniczeniem w literaturę współczesną. Jeśli dobrze pamiętam, spółka rozwiązała się szybko, bo egoistycznie przetrzymywałem pojedyncze numery, usiłowałem przebuszować wielkie płachciska na wskroś, wysączyć ich zawartość do samego dna. Pozostałem ich czytelnikiem do końca, wcześniej stałem się ich, na razie sporadycznym, współpracownikiem.

Z górą osiemset numerów *Wiadomości* warszawskich stanowi bardzo rozległe zagadnienie, może być tematem monografii. Doczekało się już szkicowej diagnozy socjologicznej w esejach Jerzego Stempowskiego „*Wiadomości Literackie*” jak je pamiętam (w książce zbiorowej wydanej pod moją redakcją na ich trzydziestolecie); nie mają jeszcze takiego rysopisu ani ich dwa dalsze wcielenia, ani bodaj żadne inne współczesne czasopismo polskie. Warto z tego rozpoznania przytoczyć kilka spostrzeżeń. Stempowski podkreśla rewolucyjną niezwykłość zjawiska na gruncie polskim. *Wiadomości Literackie* nie były pismem adresowanym do zamkniętego kręgu czytelników, ale periodykiem „popularnym, eklektycznym, informującym wszystkich o wszystkim co należało do ostatnich mód i nowości”. Znamiennie rozszerzył on podstawę

czytelniczą na inteligencję zawodową i Polaków żydowskiego pochodzenia, coraz głębiej wrastających w kulturę polską. Wykazywał zdolność ciągłego odradzania się przede wszystkim przez szeroką rekrutację współpracowników (do roku 1939 ich lista przekroczyła tysiąc nazwisk). „W miarę rozszerzenia się liczby czytelników i współpracowników *Wiadomości Literackie* wyrastały kolejno poza ramy wszystkich grup wyłącznych, zachowując z nich tylko to co było niezbędne, by dać czytelnikom złudzenie wtajemniczenia w arkaną warsztatów literackich”. „Były one jedynym polskim czasopismem, które opierając się tylko na czytelnikach wytrzymało próbę czasu”. (Jeśli moja orientacja jest ścisła, jego nakład wahał się między dwunastu a piętnastu tysiącami egzemplarzy).

Oglądane z perspektywy półwiecza opalizuje ono pomysłowością redaktorską, wibruje nerwowym niepokojem, uczuleniem na otaczającą rzeczywistość. Pewne pomysły okazały się prekursorские — dodatek „*Życie Świadome*” poruszał kilka dziesiątków lat temu sprawy, o których dziś dyskutują nawet teologowie. Niektóre wynalazki przeminęły szybko np. dodatek „*Przyjaciel Psa*”, choć była to jedna z definicji redaktora, zawołanego psiarza, właściciela słynnej pary rasowych airedalów, w szczególności suki imieniem Fuga, która dała początek całej psiej dynastii.

Najpoważniejszym i najbardziej trwałym osiągnięciem była przybudówka, miesięcznik w języku francuskim *La Pologne Littéraire*, ukazujący się od 1926 r. Inna próba rozbudowania koncertu, magazyn *To-To* przeznaczony dla szerokich mas, „lekkie i zabawne” (były to wtedy magiczne słowa), pomysły jako przedsięwzięcie dochodowe, jako finansowe wsparcie głównego tygodnika, chybił z kretesem. Przestał wychodzić po kilku numerach. Nie zachowałem po nich nawet bladego wspomnienia.

Wiadomości Literackie były pismem, które drażniło korę mózgową, atakowało zakończenia nerwów, poruszało głębokie złoże przyzwyczajęń. Szalały wokół niego burze polemiczne. Ciągłe czegoś od niego żądano, chciano je reformować na rozmaite sposoby, usiłowano też przeciwstawiać się jego wpływowi. Ale krakowska *Gazeta Literacka* istniała niewiele dłużej niż rok a *Pion* powołany do życia jako przeciwwaga *Wiadomości* nie osiągnął w ciągu sześciu lat ich poziomu, nie dorównał im dynamiką a splamił się drukiem rozważań o „faszyszmie polskim”.

Również sumienie organu Grydzewskiego obciążają wysoki, jednostronności, nawet błędy — największym wydaje mi się pogłębienie na płaszczyźnie literackiej tego co dzisiaj nazywamy *generation gap*. Ale jedno powinno mu być pamiętane. *Wiadomości Literackie* były do końca ostoją polskiego liberalizmu, postępowości, myśli krytycznej. Okupują wszystko akcją protestacyj-

ną przeciwko Brześciowi, postawą w sprawie reformy uniwersyteckiej, odporem na antysemityzm dwójstempla Oenerowskiego i Ozonowego.

Wybuch drugiej wojny światowej spowodował półroczną przerwę w wydawaniu pisma. Nowe jego wcielenie nosiło odmienioną nazwę *Wiadomości Polskie*. Jej skojarzenie z tytułem krótkotrwałej imprezy Juliana Klaczki z środka ubiegłego stulecia wydaje się przypadkowe. Wymiana przydawki dopełniona przez podtytuł: *Tygodnik polityczny i literacki* — odsłoniła pod liberalizmem, kosmopolityzmem, sensacyjnością warszawskiego prototypu jego twarz ukrytą i prawdziwą. Pozostawało to w zgodzie z rodzinnym miastem: ono także dopiero wobec ostateczności dobytego z siebie ton patetyczny. Poddał go, czy uprzedził wiersz Wierzyńskiego, wydrukowany na dodanej kartce w ostatnim 829-ym, postdatowanym numerze *Wiadomości Literackich* z 3 września 1939:

*Powstaje dramat — żywy. Okopcie kurhany
I żywi na kurbanach, na okopach stańcie.
Naprawdę dokonywa się świat rymowany,
Biją polskie zegary kurant po kurancie.*

Gdy 17 marca 1940 roku ukazał się w Paryżu pierwszy numer *Wiadomości Polskich*, byłem od przeszło trzech miesięcy redaktorem tygodnika żołnierskiego *Polska Walcząca*, założonego w obozie Coëtquidan. Życie wypełniała mi *la navette* między Paryżem a Lens na dalekiej północy, między odrodzoną w Hotelu Regina biurokracją wojskową a drukarnią *Narodowca*, w której składało się i odbijało moje pismo. Nigdy nie byłem w lokalu redakcyjnym *Wiadomości Polskich* pod świetnym adresem 52 Champs Élysées, ale utrzymywałem z nimi łączność przez ich wojenną sekretarkę Halinę Wierzyńską, która podpisywała listy czarującym rysunczkiem anioła w proszalnej postawie. Nie zdążyłem wydrukować w paryskich *Wiadomościach* ani słowa. Nie było to niezbędnie potrzebne, bo dwa pisma jakby się wzajem uzupełniały. *Polska Walcząca* dzięki fuzji z *Żołnierzem Polskim we Francji* doszła do piętnastu tysięcy nakładu, docierała nie tylko do mnożących się obozów, ale i na „kolonie”, do domków górniczych, które dostarczyły żołnierza armii. *Wiadomości Polskie*, zespoliwszy w jeden amalgamat europejskość i polskość, stały się organem „literatury Polski walczącej”, jak brzmiał nagłówek artykułu Pruszyńskiego w pierwszym numerze.

Ale prawdziwa próba przyszła po klęsce Francji i exodusie niedobitków na Wyspy Brytyjskie. Nawet nie to było próbą, że na pierwszym stajaniu londyńskim, w okolicach Bedford Place, Grydzewski dostał się w rozrzut odłamków bomby i chodził z kil-

kunastu szwami na podłysiałej, ale twardej czaszce. Ani jeszcze to nie było próbą, że dobrawszy się w korcu maku czy w korcu czcionek z metrapażem Mr. Norrisem, wymyślnie łamał, wysmaczał swoje pismo w drukarni Williams and Lee, na najwyższym piętrze wyszklonym na wszystkie strony świata jak latarnia morska i wystawionym na lada podmuch; gdyby się był zwrócił w tę stronę, z Grydza, z nobliwego pana Norrisa, zostałyby tylko dymiący kurhan śmieci. Wojenne *Wiadomości* weszły w punkt krytyczny swojej historii, gdy zaznaczył się podział opinii w sprawie stosunków polsko-sowieckich. Zająę one nieprzejezdne stanowisko i zdobyły szeroki odzew. Stanowisko wobec Katynia nie mogło być inne niż było, ale trudno jeszcze osądzić czy Zygmunt Nowakowski, główny wtedy publicysta *Wiadomości Polskich* i ich nominalny redaktor, zdawał sobie w pełni sprawę z infernalnej komplikacji, w jaką wplątała nas wojna między sojusznikami z 1939 roku i autorami czwartego rozbioru Polski.

Heroiczna walka przeciw potężnemu sprzymierzeńcowi naszych sprzymierzeńców, prowadzona z europejskiej stolicy wojennej, skończyła się represją polityczną: Rząd Jego Królewskiej Mości cofnął niewygodnemu czasopismu przydział papieru. W okresie jego urzędowej reglamentacji oznaczało to śmierć. W wiele lat później znakomity publicysta i szlachetny człowiek F. A. Voigt tak opisywał swoją reakcję: „*One of the most distinguished of Polish periodicals edited by a man of a rare enlightenment, and as good a friend of England as she ever had, „Wiadomości Polskie”, forbidden to appear in London, of all places! How was it possible?*”.

Grydzewski nie ugiął się nawet pod tym ciosem. Zaczął wydawać periodyk, a nawet dwa, których periodyczność była zamaskowana odmiennymi tytułami, ale ciągłość wewnętrzna i łączność z zamkniętym czasopismem niewątpliwa, oczywista dla każdego kto się jako tako orientował w ówczesnym dramatycznym krajobrazie polskim. Wyszło takich almanachów dwanaście: siedem w małej, pięć w większej ósemce. Stanowią one dziś rzadkość bibliograficzną i szczególnie trudno uchwytny zespół biblioteczny. Nie figurują, rzecz jasna, pod nazwiskiem redaktora, a zmienna w drugim przypadku podwójnie zmienna tytułatura utrudnia ich odnalezienie. Do tych dwu serii można by jeszcze dodać trzecią, już wyraźnie książkową (*Biblioteka Ziemi Naszej, otwarta Kalendarz Kosmopolitem Warszawskim*, wydawnictwo Orbisu, zaczęte w roku 1945), choć to przedsięwzięcie należy bardziej do działalności antologicznej, a nie ściśle redaktorskiej Grydzewskiego. Historycznie biorąc, owe dwa czy trzy wydawnictwa nieźle wypełniły dwuletnią wyrwę między *Wiadomościami Polskimi* a *Wiadomościami*.

Był to okres pokłękowy, czas rozprzegania się wszystkich

więzi, zagubienia w ciemności, hektycznej migracji. W tym okresie, mogłoby się zdawać, niesprzyjającym usiłowaniom wydawniczym Grydzewski zaczął — 7 kwietnia 1946 roku — dzieło swego życia po raz trzeci, a właściwie czwarty (jeśli się pamięta, że *Wiadomości Polskie* miały dwa starty w jednym roku: paryski i londyński). „Dzieło” wyglądało wtedy żałośnie. Była to jedna karta ciągle tej samej wielkiej czwórki, bardziej przypominająca *broadside* czy *broadsheet*, gazetę ścienną, coś co się bardziej nadaje do naklejenia na murze niż do trzymania w ręku. Nazywało się skromnie, bez dodatku, bez bliższego określenia — *Wiadomości*. Przy okazji trzydziestolecia nazwałem je „Wiadomościami bezprzymiotnikowymi” i ta nazwa się przyjęła ilekroć ktoś chce odróżnić ostatnią inkarnację od dwu poprzednich.

Wstępny nakład połówkowych *Wiadomości* był ograniczony przez tylko częściowo zluźnioną reglamentację papieru do tysiąca siedmuset egzemplarzy. By go powiększyć Grydzewski wysyłał matryce każdego numeru z Anglii do Belgii i stamtąd sprowadzał dodatkowe egzemplarze. Nie było teraz wydawców I. Lindenfelda i M. Kohna, twórców firmy wydawniczej M. I. Kolin, którzy zaryzykowali finansowanie *Wiadomości Polskich*. Ich nowe wcielenie było osobistym ryzykiem redaktora. Wiele razy wyglądało na to, że ryzyko skończy się bankructwem. Kilkakroć bez uprzedzenia i podziękowania Grydzewski skreślił mi z rachunku zaległe symboliczne należności autorskie (przypuszczam, że nie byłam specjalnie wyróżnioną ofiarą tej praktyki). Ale jego samozaparcie się i uporem pismo przetrwało prawie ćwierć wieku, już dwa razy tak długo jak oba wcześniejsze wcielenia. I przeżyło swego założyciela.

Należy ono do składu diaspory polskiej, stanowi element jej duchowego pejzażu. Prosi się o podobną diagnozę socjologiczną, jaką *Wiadomościom Literackim* postawił Stempowski. Ale to wymaga jego olimpijskiego spokoju i dystansu czasowego.

Jedno już dziś jest niewątpliwe. Śmierć Grydzewskiego zamknęła nie tylko jego wyjątkowo nateżone życie, ale i świat, który go wydał. Żal po nim miesza się z żalem po zjawisku, które w naszych oczach przestaje, już przestało istnieć, choć przez setki, a zwłaszcza przez ostatnie dziesiątki lat wystawiało kulturze polskiej tryumfalne świadectwo mocy przyciągającej i przyswajającej. Mieczysław Jerzy Grydzewski (wcześniej Grycendler, jeszcze dawniej, w poprzedzających go pokoleniach, Grützhändler) — był pewnie ostatnim Polakiem i ostatnim polskim twórcą kulturalnym tego stempla, tej miary i tej zasługi.

Tymon TERLECKI

Kronika kulturalna

Historyczna panorama muzyki Europy Wschodniej

Na początku września ub. roku odbył się w Bydgoszczy drugi z kolei festiwal „*Musica Antiqua Europae Orientalis*”, poświęcony muzycznej przeszłości krajów tworzących dziś Wschodnią Europę (z Jugosławią i ZSSR). Poprzedni, zorganizowany przed trzema laty, był pierwszą tego rodzaju inicjatywą i stanowił początek stałego festiwalu — rodzaju biennale.

Ostatecznie pierwotny projekt uległ modyfikacji i festiwal, choć utrzymany przy życiu, odbywać się będzie rzadziej, prawdopodobnie co trzy lata.

Jak wynika zresztą z programu zeszłorocznej imprezy, początkowe bardzo ambitne założenia uległy znacznemu ograniczeniu. Tym razem skoncentrowano się na stronie wykonawczej — program naukowy ograniczając do sesji historycznej, poprzedzonej odbytym w końcu maja w Mediolanie polsko-włoskim symposium muzykologicznym, poświęconym zagadnieniom renesansu.

Tym bardziej warto więc wrócić do publikacji, która zamknęła całokształt prac naukowych przygotowanych z okazji poprzedniego festiwalu¹, i jest pierwszym wydawnictwem obejmującym przegląd zasadniczych problemów historii muzyki wschodnioeuropejskiej, od średniowiecza aż po koniec XVIII stulecia.

Warto też podkreślić, że publikacja ta zawiera materiały zredagowane wyłącznie w językach o dużym zasięgu (angielski, francuski, rosyjski, niemiecki) dzięki czemu zyskała w krajach Zachodu znaczne zainteresowanie, czego najlepszym dowodem jest fakt, że znaleźć ją dziś możemy we wszystkich niemal ważniejszych bibliotekach muzycznych czy humanistycznych, nie mówiąc już o księgozbiorach instytucji nastawionych na badanie problemów „Wschodu”. Mimo wielu istotnych mankamentów (o czym będzie dalej mowa) zasługuje ona na uwagę polskich czytelników na emigracji, interesujących się żywiej problematyką kulturalną.

1. „*Musica Antiqua Europae Orientalis*” — Acta scientifica congressus, Warszawa, PWN, 1966.

Zacznijmy jednak od festiwalu. Jego inicjatorem był dyrektor bydgoskiej filharmonii, Andrzej Szwalbe, mający już poprzednio na swym koncie szereg udanych imprez tego rodzaju, choć o znacznie skromniejszym wymiarze. Dzięki nim bydgoska filharmonia, posiadająca zresztą dwie znakomite pod względem akustycznym sale koncertowe, stała się już poprzednio centrum życia muzycznego o pewnej randze ogólnokrajowej, dość przy tym często odwiedzanym przez wybitnych wykonawców polskich i zagranicznych. Dzięki wyjazdowym koncertom jej orkiestry, pobliski ośrodek uniwersytecki w Toruniu ma zapewniony bezpośredni kontakt z życiem muzycznym, co jest szczególnie ważne ze względu na „wychowawczą” rolę tego uniwersytetu, którego bardzo znaczny odsetek słuchaczy stanowią przybysze z typowych obszarów „Polski B”.

Na początku lat sześćdziesiątych powstał też w Bydgoszczy filharmoniczny zespół muzyki dawnej, jedyny zespół muzyczny tego rodzaju w Polsce, którego działalność artystyczna finansowana jest przez państwową instytucję (pozostałe, znacznie zresztą lepsze, działają jako zaledwie tolerowane „prywatne” stowarzyszenia muzyków).

Tak więc wspomniane czynniki, doświadczenie organizacyjne oraz znaczny sukces muzykologicznego kongresu, poświęconego twórczości Chopina i historii muzyki polskiej (Warszawa, marzec 1960) pozwalały żywić nadzieję, że i bydgoski festiwal, oraz związany z nim kongres naukowy, będą imprezą w pełni udaną.

Były to już jednak nie te czasy. Sześćdziesiąte, które zdołało upłynąć od warszawskiego kongresu zmieniło znacznie atmosferę stosunków między Wschodem a Zachodem o przede wszystkim sytuację ideologiczną wewnątrz „obozu”. Stąd też niekończące się konsultacje i „uzgadnienia” najpierw w Moskwie i Leningradzie (Rosjanie jak wiadomo nie lubią imprez „wielostronnych”, w których nie mieliby z urzędu przyznanej „roli wiodącej”), a następnie wewnątrz „Akademii Nauk” poszczególnych krajów (jedynie uczeni jugosłowiańscy uczestniczyli bez oficjalnej delegacji). W efekcie nie zawsze ostatecznie zabrali głos najbardziej kompetentni specjaliści i nie zawsze w sprawach, o których mieli najwięcej do powiedzenia. Ostatecznie omawianą obecnie „księgę kongresu” można uważać za zasadniczo dość wierne odbicie stanu badań muzykologicznych Wschodniej Europy. Wartość, a szczególnie wyrównany poziom cechuje przede wszystkim prace muzykologów tych krajów gdzie ich dyscyplina nadal stanowi gałąź uniwersyteckiej humanistyki (Jugosławia, Czechosłowacja, Polska) lub też posiada mocne oparcie pracy badawczej w instytucjach historycznych Akademii Nauk (Węgry).

Trudno jednak powiedzieć, że szanse jakie dawał festiwal muzyczny i kongres zostały przez wszystkich maksymalnie wykorzystane. Dość liczni zachodni muzycy i muzykologowie, przybyli na pierwszy bydgoski festiwal, byli zawiedzeni stosunkowo małą ilością wykonawców reprezentujących autentycznością stylu „poziom światowy”. Tu jednak zawiniły nie tyle istotne braki ile „lokalny

patriotyzm” organizatorów, którzy postanowili własnymi siłami wykonać większą część festiwalowych koncertów, ograniczając udział zaproszonych zespołów do bardzo specyficznych rodzajów muzyki, jak monumentalna cerkiewna polifonia, przedstawiona przez „Kapelę Chóralną” z Moskwy, czy też jak bułgarska monodia liturgiczna, śpiewana przez autentycznych kantorów cerkiewnych.

W ten sposób przybyli ze wszystkich krajów uczestniczących muzycy, soliści i członkowie zespołów, mieli w sumie ograniczoną możliwość przedstawienia pełnej skali swych możliwości, a znakomite zespoły warszawskie („Musicae Antiquae Collegium Varsoviense” oraz „Fistulatores et Tubicinostores Varsovienses”) zostały ostatecznie całkowicie pominięte.

Przypominanie tych spraw, odległych już i mało chyba znanych większości czytelników *Kultury*, byłoby z pewnością mało celowe, gdyby te same postawy nie znajdowały odbicia w omawianej książce, która jest, i zapewne długo jeszcze będzie, dla zachodniego czytelnika podstawowym kompendium wiedzy o przeszłości muzycznej Europy Wschodniej. Oceniając więc jej treść warto mówić nie tylko o tym co w niej zostało zawarte, ale także o tym co zostało niesłusznie pominięte.

Tradycyjnie kongresy historyczne składają się z „referatów plenarnych”, w trakcie których najwybitniejsi przedstawiciele danej dyscypliny przedstawiają syntezę wyników dotychczasowych badań, oraz z „referatów sekcyjnych”, dyskutujących wyniki prac nad szczegółowymi zagadnieniami.

Otóż na pierwszym bydgoskim kongresie, a w konsekwencji i w jego „księdze” zabrakło choćby jednego godnego tej nazwy „referatu plenarnego”, dającego odpowiedź na zasadnicze pytania: czym jest dawna kultura muzyczna Wschodniej Europy, jak dokonywała się w niej synteza elementów „łacińskich” i „bizantyjskich” oraz jakie wniosła ona wartości do rozwoju całokształtu muzyki europejskiej i jakie jest dziś w niej jej miejsce.

Muzykologia wschodnioeuropejska posiada specjalistów, będących w stanie podjąć tego rodzaju syntezę, niestety jednak nikt z nich do takiej roli nie zaprosił. Jeżeli nawet względy partyjno-polityczne sprawiły że przewodnictwo kongresu musiało znaleźć się w „wyprobowanych” rękach Z. Lissy (której pozycja pozostaje niezachwiana mimo wielokrotnych zmian kursu „linii partyjnej”) mogło się ono ograniczyć jedynie do strony „honorowej”. Niestety jednak stało się inaczej i jej zasadniczy referat, poświęcony stosunkom między Wschodem i Zachodem Europy w literaturze muzykologicznej ograniczył się do stwierdzenia truizmu, że literatura ta posiada wciąż poważne luki do wypełnienia.

Niezbyt imponująco wypadły też zawarte w księdze studia pozostałych przedstawicieli polskiej muzykologii starszego pokolenia. Szczególnie referat prof. Hieronima Feichta, poświęcony źródłom i zabytkom polskiej muzyki średniowiecza, ograniczony został do encyklopedyczno-informacyjnego opisu nie wnosząc ani

szczegółowszej charakterystyki, ani też ich historycznej analizy w odniesieniu do źródeł zachodnich tego okresu. Była to jedna z ostatnich prac tego wybitnego skądinąd badacza (zmarł w marcu 1967), niedociągnięcia jej były więc prawdopodobnie wynikiem podeszłego wieku autora i złego stanu zdrowia.

Za najciekawsze z polskich prac zawartych w księdze uznać należy referaty Zygmunta Szwejkowskiego, na temat problemów stylistycznych polskiego baroku, oraz Jana Węcowskiego o polskiej symfonice XVIII stulecia. W obu wypadkach mamy do czynienia zarówno z bogatym zasobem po raz pierwszy opracowanych informacji, jak i z umiejętnym wyciągnięciem wniosków historycznych z ich analizy.

Zawarte w księdze kongresu prace muzykologów krajów tradycyjnie przynależących do kręgu kultury zachodniej (Węgry, Czechy i Słowacja, Chorwacja i Słowenia) objęły przede wszystkim tematy mające dać możliwie kompletny zbiór wiadomości historycznych, w stopniu odpowiadającym aktualnemu stanowi badań nad zachowanymi źródłami. W wymienionych krajach muzykologia ma kilkudziesięcioletnią już tradycję, od dawna uczestnicząc w międzynarodowym dorobku tej dyscypliny. Stąd też można powiedzieć, że prace te nie przynoszą niespodzianek. Znaczenie ich jest w pierwszym rzędzie informacyjne, ważne zwłaszcza dla zachodniego czytelnika — otrzymującego po raz pierwszy tak obszerny i kompletny zespół materiałów, bez potrzeby uciekania się do tłumaczeń. Jakkolwiek bowiem wśród języków kongresu (i tym samym jego księgi) figurował także rosyjski, poza autorami sowieckimi jedynie reprezentant Bułgarii nim się posłużył.

W sumie najbardziej kompletne opracowanie historii muzyki ich krajów przedstawili badacze węgierscy (B. Rajeczky, Z. Falvy, F. Bónis) oraz czescy (J. Vanický oraz T. Volek) podczas gdy muzykolodzy reprezentujący Słowację, Słowenię i Chorwację (R. Ribicic, D. Cvetko, K. Kovecević) ograniczyli się do charakterystyki wybranych epok, przede wszystkim renesansu i baroku.

Elementem, który uznać należy za novum o zasadniczym znaczeniu są przede wszystkim opracowania dotyczące wcześniejszych okresów kultury muzycznej krajów należących do kręgu kultury „greckiej” (Bułgaria, Serbia, Rumunia, Ukraina i Rosja). Studia te oczekiwane były z wielkim zainteresowaniem z dwu powodów — jako przynoszące kompletniejsze wyniki przeważnie pionierskich prac oraz ze względu na szczególną obecnie aktualność studiów, *sensu largo*, bizantynologicznych.

W dziedzinie kultury muzyczno-liturgicznej badania te mają niedawną tradycję i w ciągu niewielu lat zdołały przynieść wyniki naświetlające wiele ważnych zagadnień historycznych. Warto dodać że wyniki tych badań posiadają znaczenie nie tylko dla muzykologii, w istocie bowiem kultura muzyczno-liturgiczna nie jest dziedziną zamkniętą, ale z reguły odzwierciedla procesy historyczne o szerszym zasięgu.

Taką właśnie „całościową” analizę ewolucji liturgii serbskiego kościoła prawosławnego (pełną autonomię w postaci statutu

autokefalicznego uzyskał on na początku XIII stulecia, pod rządami pierwszego serbskiego patriarchy św. Sawy) znajdujemy w znakomicie udokumentowanym studium D. Stefanowicia, poświęconym zabytkom serbskiej monodii liturgicznej, powstałym między XV a XVIII stuleciem.

Niemniej cenną jest praca rumuńskiego historyka G. Ciobanu, przedstawiająca ewolucję kultury liturgicznej rumuńskiego prawosławia od dominacji elementów słowiańskich w średniowieczu, po zakończony w wieku XVIII proces „rebizantynizacji”, znajdujący wyraz w dwujęzycznej liturgii grecko-rumuńskiej. Uwypuklona tu została małożnana polityka Turcji, która sprawując lenne zwierzchnictwo nad Mołdawią i Wołoszczyzną sprzyjała wyodrębnianiu ich kościoła ze wspólnoty słowiańskiego prawosławia i wiązaniu go bezpośrednio z tolerowanym w pewnej mierze greckim kościołem Konstantynopola.

Ostatnim wreszcie studium o szczególnym znaczeniu dla bizantynologów jest syntetyczne opracowanie leningradzkiego historyka M. Braźnikowa historii ruskiej muzyki liturgicznej (aż po dokonaną w wieku XVII jej gruntowną reformę). Praca ta chociaż nie posiada, w tym stopniu co poprzednio wymienione, cech pionierskich jest pierwszym syntetyzującym opracowaniem problemów staroruskiej muzyki liturgicznej, która, aczkolwiek zachowana w imponującej liczbie rękopisów — pozostaje wciąż zjawiskiem w dużej mierze nieznanym, gdyż notacja muzyczna jej średniowiecznych źródeł, odmienna od spotykanej w rękopisach bizantyjskich oraz w liturgii słowiańskiej, nie została dotąd odczytana. Prace Braźnikowa i bizantynistów zachodnich² pozwoliły jedynie na stworzenie wstępnych hipotez. Zresztą prace Braźnikowa napotykały nadal w ZSSR na przeszkody natury ideologicznej: nie pozwolono mu na stworzenie ośrodka badań i kształcenie przyszłych specjalistów w tej dziedzinie. Problem zaś jest zbyt wielki, aby mógł zostać rozwiązany siłami jednostki.

Autorzy pozostałych prac, poświęconych nowszym okresom historii muzyki ukraińskiej i rosyjskiej (A. Szerer-Tkaczenko, S. S. Kriepkow, J. Kiełdysz); muzyce bułgarskiej (W. Kristow) oraz ogólnym zagadnieniom muzycznej kultury Rumunii (V. Cosma, R. Ghircioiasiu) i Serbii (S. Djurić-Klein) nie wnieśli nowych interpretacji. Wartość ich prac polega na bogatym zestawie informacji o charakterze encyklopedycznym, ale — trzeba podkreślić — oznaczają one pierwsze wypełnienie białych pól na mapie wiedzy o przeszłości kultury tych obszarów Europy, których znaczenie nie zawsze było w przeszłości marginesowe.

„Musica Antiqua Europae Orientalis” jest więc publikacją niezbędną nie tylko dla muzykologów, ale także dla przedstawicieli innych dziedzin humanistyki, interesujących się zagadnieniami sławistyki lub w ogóle historią kultury Wschodniej Europy.

W perspektywie nauki wschodnioeuropejskiej jest to jedna

2. Zob. „Kantacarium paleoslavicum moscense”, „Monumenta Musicae Byzantinae”, Kopenhaga, 1962.

z nielicznych prób podjęcia bezpośredniej wymiany informacji, paradoksalnie bowiem, humaniści tego regionu, pragnący badać problematykę swych sąsiadów, często łatwiej znajdują potrzebne dane w naukowych ośrodkach Zachodu niż na własnym terenie.

Adam SUTKOWSKI

Komunikaty

STYPENDIA „POLONICA TECHNICA”

Stowarzyszenie Polsko-Amerykańskich Inżynierów w Stanach Zjednoczonych, POLONIA TECHNICA, INC., uchwaliło przyznać na rok akademicki 1970/1971 stypendia studentom Polakom, matrykulowanym na wyższych uczelniach zagranicznych i studiującym nauki techniczne lub im pokrewne, jak matematyka, fizyka, chemia, ekonomia przemysłowa. Wysokość stypendiów zostanie uchwalona przez Komisję Stypendialną Stowarzyszenia.

Zainteresowani studenci winni nadesłać w terminie do dnia 20 czerwca 1970 roku podania pod adresem:

Polonia Technica, Inc.
Komisja Stypendialna
36 West 56 St., Apt. 1 C
New York, N.Y. 10019, U.S.A.

Do podania należy załączyć życiorys, zaświadczenie uczelni o przyjęciu na rok akademicki 1970/1971 (wydział i rok studiów), oraz referencje dwóch osób, znających osobiście kandydata.

Zaświadczenia uczelni dla kandydatów, ubiegających się o stypendia nie po raz pierwszy, winny zawierać wykaz egzaminów, złożonych w 1969/1970 roku. Podania winny być indywidualne; podania grupowe nie będą rozpatrywane.

Zawiadomienia o wynikach podań wysłane zostaną w drugiej połowie lipca br.

ZARZĄD „POLONIA TECHNICA, INC.”
Jan G. Holm
Przewodniczący Komisji Stypendialnej

DZIAŁALNOŚĆ BIBLIOTEKI POLSKIEJ W LONDYNIE w roku 1969

STAN I OPRACOWANIE ZBIORÓW

a) Stan zbiorów:

Uporządkowane i udostępnione czytelnikom *zbiory własne* Biblioteki odejmowały w dniu 31 grudnia 1969 r.:

72.152 dzieł (tytułów) druków polskich i Polski dotyczących;
2.379 skryptów/wydawnictw powielanych;
389 rękopisów;
194 mapy;
753 nuty;
107 płyt gramofonowych;

oraz kolekcję czasopism, obejmującą ponad 2.000 tytułów (w tym około 300 otrzymywanych bieżąco).

Poza księgozbiorem uporządkowanym Biblioteka posiada kilka tysięcy książek otrzymanych z darów i wymiany. Opisy ich włączane są do inwentarzy i katalogów w miarę opracowywania.

W skład zbiorów udostępnionych pracownikom naukowym wchodzi ponadto *depozyty*, z których najważniejszy, przekazany w r.ub. przez Fundację z Brzezia Lanckorońskich, obejmuje ponad 2.000 tomów.

b) Wpływy w roku 1969

Do *zbiorów własnych* zakupiono 372 tomy (dalsze ciągi wydawnictw encyklopedycznych, bibliograficznych itp., polonica w językach obcych, najniezbędniejsze książki w języku polskim których nie można było uzyskać w formie darów lub w ramach wymiany).

Podobnie jak w roku ubiegłym wpłynęła do Biblioteki imponująca ilość darów, wzbogacających zbiory ilościowo i jakościowo. W cyfrach wyraża się to jak następuje:

i) od ofiarodawców emigracyjnych	3.607 tomów
ii) z Kraju	1.659 "
	5.266 tomów.

UDOSTĘPNIENIE ZBIORÓW

a) Czytelnia Naukowa

Czytelnia Naukowa, w której udostępniane są na miejscu dzieła z księgozbioru podstawowego i czasopisma, czynna była bez przerwy wakacyjnej i cieszyła się dużą frekwencją, czego świadectwem jest 2.157 podpisów w tzw. „Księdze odwiedzin”.

Z Czytelni korzystało, poza czytelnikami polskimi, wielu Anglików, doktoranci z kilku uniwersytetów piszący tezy na tematy polskie lub dotyczące Polski. Kilkakrotnie korzystali ze zbiorów Biblioteki pracownicy BBC i Telewizji. Zbiór Conradianów, obejmujący około 400 pozycji i w tym roku przyciągał czytelników ze Stanów Zjednoczonych, Francji i Niemiec. Najczęściej użytkownikami Czytelni są jednak naukowcy, pisarze, dziennikarze i studenci emigracyjni.

b) Wypożyczalnia

Czytelnicy londyńscy wypożyczyli w ciągu roku sprawozdawczego 27.544 tomy. Do czytelników zamiejscowych wysłano 3.946 tomów w małych paczkach zawierających książki wysyłane na żądanie adresatów, którzy pokrywali kosztą przesyłki w obie strony.

Cyfry wypożyczeń są od 15-20 % niższe niż w roku ubiegłym, co tłumaczy się nie tyle spadkiem ilości czytelników ile wymieraniem najstarszych. Jakość wypożyczeń ulega natomiast widocznej poprawie.

PRACE BIBLIOGRAFICZNE

Kwartalnik pt. „Books in Polish”, wydawany w formie powielanej i wyciągający nowe nabytki Biblioteki, ukazywał się regularnie i był rozsyłany 91 prenumeratom.

Kartoteka materiałów do IV-go tomu „Bibliografii emigracyjnej” wynosi obecnie 2.803 tytuły. W roku 1970 należałoby rozpocząć prace nad wydaniem tego tomu. W toku prac przygotowawczych zebrano poważne materiały do tomu II-go bibliografii prac naukowych Polaków ogłoszonych w językach obcych.

Przygotowano do druku katalog „Conradianów” będący rozszerzoną znacznie wersją katalogu wystawy Conradowskiej z roku 1956.

Podjęto prace nad przygotowaniem do druku II-go wydania katalogu czasopism emigracyjnych znajdujących się w zbiorach Biblioteki. Wydanie pierwsze zostało wyczerpane, a ilość czasopism znacznie się zwiększyła.

FUNDUSZ BIBLIOTECZNY

W ciągu roku 1969 wpłynęło z wpłat bieżących £ 3.797.19.6d, oraz £ 1.773.10.10d (zwroty z tytułu *covenantów* za dwa lata).

INNE WPŁYWY BIBLIOTEKI

£ 835.6.9d uzyskano ze sprzedaży dubletów. Biblioteka uzyskała ponadto za świadczenia w stosunku do korzystających z jej zbiorów i pomocy £ 1.358.2.5d. W jesieni 1969 Uniwersytet Londyński wpłacił £ 2.500. POSK udzielił Bibliotece £ 2.500 w formie subwencji na lokal.

Po zgonie śp. Kazimierza Wierzyńskiego utworzono Fundusz Biblioteczny Jego Imienia, zarządzany przez Wdowę, dra L. Kielanowskiego i dr M. Daniłowiczową. Do 31. XII. 1969 na Fundusz ten wpłacono £ 566.7.9d. Dwieście funtów zużyte będzie w najbliższej przyszłości na zakup poloniców ze zbiorów śp. Konstantego Górskiego w Genewie.

TWO PRZYJACIÓŁ PARYSKIEJ KULTURY W TORONTO

28 lutego Towarzystwo Przyjaciół Paryskiej Kultury w Toronto zorganizowało wieczór jubileuszowy pracy scenicznej Wandy Mirskiej-Olbryskiej, artystki scen dramatycznych. Wieczór zgromadził ponad 200 osób. Konferansjerkę prowadził inż. Z. Czerniakowski, wstawkę wokalną wykonała p. M. Borowicz. P. Mirska z pomocą p. Ireny Chabrowskiej-Jellaczyc zagrała wyjątek z „Moralności pani Dulskiej” oraz wyjątek z „Meża i żony” Al. Fredry wraz z pp. A. Szeliłą, M. Olbryski i Jellaczycem.

TWO PRZYJACIÓŁ PARYSKIEJ „KULTURY” W MELBOURNE

Alfred Swoboda przyjechał do Australii z rodzicami z Niemiec w 1951 r. jako mały chłopak.

Po roku pobytu w Melbourne wstąpił do polskiego harcerstwa, prowadzonego w tym czasie przez dha Stanisława Kowalskiego, który jako pierwszy założył tu harcerską grupę taneczną dla pielęgnowania polskich tańców ludowych.

Alfred tańce te bardzo polubił, podobnie jak i jego koleżanka z harcerstwa Ola Szadurska, także zaczęli się dalej kształcić w tym kierunku, poznając też tańce ludowe innych krajów szczególnie rosyjskie, węgierskie, hiszpańskie jak też tańce charakterystyczne i akrobatykę.

Wkrótce zaczęli występować zawodowo jako para tancerzy, a w 1959 pojechali na występy do Hong Kongu, Malezji i Japonii. Odniesiony tam sukces skłonił ich w 1961 do ponownego wyjazdu, który z planowanych kilku miesięcy przeciągnął się do... 8 lat!

Wrażeniami z tej 8-letniej wyprawy Alfred Swoboda podzielił się z grupem rodaków na wieczorze urządzonym (11. XII. 69) przez Towarzystwo Przyjaciół Paryskiej Kultury w Domu Polskim w Melbourne, ilustrując swą pogadankę kilkoma kolorowymi filmami.

Mimo zapoznania się z wieloma przejawami kulturalno-artystycznymi polskiej emigracji na świecie, Swoboda nisko ocenia nasze osiągnięcia na skalę światową. Dlaczego?

— Indywidualnie lub w swych małych kółkach Polacy na emigracji robią bardzo dużo — mówi Alfred. Ale brakuje jakoś połączenia tych wszystkich wysiłków w jedną całość, która wypadłaby wtedy naprawdę imponująco, ściślej by nas złączyła i zachęciła do bliższej współpracy a przez to i do większych osiągnięć. Stanowiłaby też najlepszą, bo realną, propagandę polskości i to zarówno wśród obcych jak i dla naszego młodego pokolenia emigracyjnego.

— Przez zorganizowanie między polskimi ośrodkami wymiany filmów czy choćby przezroczy z życia emigracji — konkretyzuje Alfred — wzbudzimy tym większe zainteresowanie wśród naszej młodzieży i rozpowszechnimy w całym świecie polskie osiągnięcia. Uważam, że jest to projekt godny zastanowienia i szybkiej realizacji.

• Tomasz OSTROWSKI

PS. Jeśli któryś z polskich ośrodków chciałby zobaczyć kolorowy film z dorocznych polskich igrzysk sportowych w Melbourne — niech skontaktuje się z Komitetem Organizacyjnym, c/- Zrzeszenie Polskich Klubów Sportowych w Australii, Box 1549-P, GP.O., Melbourne, Vic., 3001, Australia.

APEL DO „WETZIKOŃCZYKÓW”

W jesieni 1970 roku minie 30 lat od czasu powstania na terenie Szwajcarii „Obozu Licealnego Internowanych Polaków w Wetzikonie”.

W związku z tym powstał w Szwajcarii komitet, który ma zamiar zorganizować w bieżącym roku Zjazd Koleżeńcki w Wetzikonie. Termin zjazdu nie został jeszcze definitywnie zdecydowany, zależy on bowiem od wyniku ankiety przeprowadzonej wśród byłych „Wetzińców”. Stosownie do wyniku ankiety zostanie ustalony program i data zjazdu. Przewiduje się czas trwania uroczystości na 3 dni.

Komitet zwraca się z gorącą prośbą do wszystkich Kolegów, którzy uczyli się w Wetzikonie, by gdziekolwiek się znajdują, podali swe adresy, jak również adresy tych kolegów które im są znane celem poinformowania ich o planowanym spotkaniu.

Wszelką korespondencję dotyczącą Zjazdu, prosimy kierować na adres sekretarza: Bernard Handke, Mürtchenstrasse 11, 8640 Rapperswil, Suisse.

Za Komitet:
Dr Konstanty BIŻNIA

Książki

Conrad ma własną bazę

Przed wieloma już laty, bodaj około 1960 r. otrzymałem list z Południowej Afryki wraz z załączonym do niego artykułem „O polskiej duszy Conrada” i prośbą o ocenę. List był pisany po angielsku, nieśmiały i bezpretensjonalny, artykuł pełen nabożnego entuzjazmu dla twórcy „Lorda Jima”. Autor artykułu, Edmund A. Bojarski, sekretarz tamtejszej ambasady amerykańskiej, usprawiedliwiał się, że pisze po angielsku, bo polskim nie włada dość wprawnie. Po liście tym długo panowała cisza. Dochodziły mnie od czasu do czasu słuchy o jakichś drukowanych tu i ówdzie artykułach o Conradzie, a także o Sienkiewiczu, lecz od samego autora żadnych wieści. Naraz przed półtora rokiem Bojarski odezwał się znowu, zawiadamiając mnie, że zamierza wydać międzynarodowe pismo, poświęcone Conradowi. To było równie niespodziewane, jak obiecujące. Od dawna odczuwało się potrzebę takiego pisma. Zainteresowałem się osobą projektodawcy.

Urodził się, jak mi później napisał, w 1924 r. w Milwaukee w stanie Wisconsin. Ojciec, którego rodzina wywodziła się z okolic Warszawy, przybył do Ameryki przed pierwszą wojną światową. Tu ożenił się z Polką. Tradycje polskie zachowywał wiernie. Czytywał dużo, nieraz późno w noc — przeważnie Sienkiewicza. Syna zapisał do „Sokoła”, śpiewał mu polskie piosenki. Lecz umarł młodo. Drugim, który wywarł później głęboki wpływ na przyłgnięcie młodego Bojarskiego do polskości, był prof. Szymon Deptuła z uniwersytetu Wisconsin, osobistość dużej miary, gorący Polak i znany działacz młodzieżowy. Bojarski wspomina go do dzisiaj z serdeczną wdzięcznością i szacunkiem.

Po śmierci ojca syn poszedł drogą typowego amerykańskiego *self made man'a*. Próbował wszystkiego. Sprzedawał gazety, pracował w fabrykach i na farmie, służył w wojsku i przeszedł długi, bo aż dwunastoletni okres służby rządowej. Zwędrował w tym czasie obie Ameryki, Europę, Bliski Wschód i Południe Afryki. Równocześnie jednak przygotowywał się wytrwale do kariery

naukowej, zdobył szereg dyplomów uniwersyteckich i wreszcie poświęcił się wyłącznie nauczaniu. Po kilku pomniejszych posadach uzyskał stanowisko profesora literatury angielskiej w uniwersytecie stanu Maryland i tu dojrzał w nim zamiar wydawania conradowskiego czasopisma ze szczególnym uwzględnieniem Conradologii polskiej. Wreszcie w bieżącym roku przeniósł się do nowego ośrodka uniwersyteckiego Mac-Murry College w Abilene, w stanie Texas, a wraz z nim powędrowało tam jego umiłowane pismo „Conradiana”.

Bojarski zawsze czuł się Polakiem, choć rodzimy język jego dzieciństwa ochromiał podczas wędrówek po świecie w obcych środowiskach i teraz na codzień pisze i mówi przede wszystkim po angielsku. Obcość jednak nie tylko nie przytłumiła w nim przywiązania i zapału do spraw polskich — wręcz przeciwnie. Wszystkie jego wypowiedzi i poczynania w tej dziedzinie cechuje żarliwość, jaką często odznaczają się ludzie, którzy wyrosli z dala od kraju i którzy jak gdyby chcieli to swoje odejście i nieobecność nadrobić oddaniem dalekiej ojczyźnie.

I tu chyba należy szukać przyczyny, która tak mocno związała Bojarskiego z Conradem. W Conradzie odnalazł jakby światło przewodnie, dostojnego towarzysza drogi, który podobnie jak on, mimo długiego oderwania od macierzystego kraju pozostał mu na swój sposób do końca wierny. Dla Bojarskiego było to równocześnie odkryciem życiowego celu. Odtąd, choć pisze również na inne polskie tematy, oddaje się przede wszystkim służeniu sprawie Conrada.

Poświęciłem więcej uwagi samej postaci Bojarskiego, bo w tym wypadku można istotnie powiedzieć, że dzieło to człowiek. Na jego barkach spoczywa nie tylko redagowanie „Conradiana” lecz nieraz cały szereg zadań czysto administracyjnych. On sam koresponduje z autorami, wyszukuje protektorów i fundusze (na razie bardzo szczupłe), organizuje sieć współredaktorów i korespondentów w wszystkich częściach świata.

Ten ostatni aspekt jest szczególnie ciekawy. Bojarski zdołał już w 26 krajach zdobyć takich, jak ich nazywa „regionalnych” lub „narodowych” redaktorów. Zadaniem ich jest dostarczanie materiałów i zdawanie sprawy z postępów conradystyki w każdym z tych krajów z osobna. Znalazły się wśród nich tak znane w conradystyce nazwiska jak Norman Sherry, Thomas Moser, René Rapin, Gustaw Resink, Adam Gillon, Zdzisław Najder, Ivo Vidan. Są nawet redaktorzy z nowopowstałych państw afrykańskich jak np. z Malawi.

Trudno pojąć, jak jeden człowiek, na domiar normalnie pracujący w swoim zawodzie, potrafił to wszystko zorganizować. Wprawdzie na czołowej stronie „Conradiana” figuruje imponująca lista członków redakcji i administracji tego pisma, ale podejrzewam, że sam Bojarski wciąż robi lwią część całej roboty. Współpracownicy są dobrowolni i niepłatni, a wiadomo, że taka

dobrowolna pomoc bywa nieobliczalna i zawodna, jeżeli nawet wydatna. W każdym razie tylko ofiarnej pracy zarówno samego redaktora jak jego pomocników można przypisać niskości prenumeraty: 4 dol. rocznie za trzy grube zeszyty pisma, każdy po sto kilkadziesiąt stron. Nic dziwnego, że Bojarski pisząc mi niedawno o otrzymaniu nowej i lepiej płatnej posady w McMurry College, dodaje: „Teraz przynajmniej ja i moja żona będziemy mieli co jeść”.

Przedemną leżą trzy numery pierwszego rocznika „Conradiana”¹, które się dotychczas ukazały. Są to zeszyty dużego formatu, na dobrym papierze i o wyraźnym druku. Niestety niesposób zmieścić tutaj omówienia ciekawej treści tych numerów, mogą więc tylko po krótko wymienić działy i zadania, jakie pismo sobie stawia. Składa się ono z trzech zasadniczych działów: artykułów oryginalnych, recenzji i rozległego działu przeróżnych praktycznych wiadomości z dziedziny conradystyki, a zatem bieżącej bibliografii, notatek o conradianach w prasie z całego świata, wykazu prac o Conradzie będących w przygotowaniu i nawet z „Kącika zbieracza”, podającego gdzie i jakie książki o tym pisarzu są do wglądu lub nabycia. Pismo, jak to sam Bojarski określił, ma być rodzajem literackiego komputera, który gromadzi, zestawia, analizuje, ocenia i odnotowuje wszystko, co na temat Conrada wydaje się, pisze i nawet zamierza pisać.

W ten sposób każdy, kto interesuje się Conradem, znajdzie w kwartalniku Bojarskiego niezastąpione źródło potrzebnych mu informacji, które przedtem musiał mozolnie zbierać po bibliotekach i czasopismach, zresztą bez pewności, że zdoła je skompletować. A i dla niefachowców pismo będzie na pewno lekturą ciekawą i żywą, wprowadzając ich w całą współczesną wiedzę o Conradzie.

Czytelników polskich zainteresuje jednak może najbardziej polski aspekt zamiarów Bojarskiego. Na kilkadziesiąt pozycji, zawartych w dotychczasowych numerach, spora część wiąże się z conradystyką polską bądź tematem, bądź przez osoby autorów. Poza recenzjami, omawiającymi szeroko najnowsze wydawnictwa krajowe („Polskość Conrada” B. Kocówny, „Zbiór listów Conrada” w opracowaniu Z. Najdera) oraz angielską pracę A. Buszy „Conrad's Polish Background”, znajdujemy w piśmie szereg artykułów oryginalnych Z. Najdera, G. Pileckiego, D. Welsha, K. Mętraka, W. Tarnawskiego i najdłuższe, ciągnące się przez trzy numery studium A. Gillona „Conrad i Szekspir”. Każdy numer przynosi prócz tego w dziale notatek prasowych szczególnie dokładne i liczne sprawozdania o tym, co pisze się o Conradzie w polskiej prasie, zarówno krajowej jak emigracyjnej.

Wszystko to jest oczywiście wynikiem świadomego planu redaktora. Pragnie on, by „Conradiana” stały się pomostem mię-

dzy polską a zagraniczną wiedzą o Conradzie. Drogą tą świat zachodni zostanie po raz pierwszy poinformowany szybko i bezpośrednio, co ważniejszego dzieje się w polskiej conradystyce i nie tylko będzie mógł korzystać z jej osiągnięć, lecz zorientuje się, jak są bogate a często odkrywcze. „Moim celem jest — pisze Bojarski — udostępnić conradystom mówiącym po angielsku zdobycze conradystyki polskiej. W Polsce dokonano dużej części tego, co jest naprawdę wartościowe w badaniach nad Conradem, ale świat o tym jeszcze nie wie”.

Niestety Bojarski napotyka w tej swojej pożytecznej robocie na niemałe trudności w samej Polsce. Wielu conradystów w kraju — na szczęście nie wszyscy — obawia się współpracować z pismem, wychodzącym w Stanach Zjednoczonych. „Mam trudności — skarży się Bojarski w jednym z listów do mnie — z przekonaniem ich, że nasze pismo nie ma żadnej innej „linii” poza studiami nad Conradem. Osobiście po prostu nie potrafię zrozumieć jak tego rodzaju przedmiot może posiadać wydźwięk polityczny — ale widocznie mają oni jakieś swoje racje, z którymi muszę się liczyć. A przecież żadne czasopismo, poświęcone Conradowi nie może się obyć bez współpracy naukowców polskich”. Miejmy jednak nadzieję, że „Conradiana”, pismo bez żadnego oblicza politycznego i pragnące tylko służyć wiedzy o pisarzu Polaku, przewycięży z czasem te opory.

Trudno mi w tym krótkim sprawozdaniu, którego celem było przede wszystkim zaawizowanie czytelnikom cennej imprezy prof. Bojarskiego, opowiedzieć o niej więcej. Dodam tylko, że stanowi ona zaledwie jedno oblicze zdumiewająco bogatej działalności Bojarskiego. Zdawałoby się, że to, co tu przedstawiłem powinno wystarczyć na dzieło jednego człowieka. Tymczasem Bojarski kipi już od dalszych projektów. Międzynarodowe towarzystwo conradowskie, pod którego egidę znalazłby się jego kwartalnik, fundacja conradowska, wspierająca studia nad tym pisarzem, firma wydawnicza, której dochody dzielono by między utrzymanie pisma i fundacji, wielka kolekcja wszystkich polskich conradianów (książek, artykułów, listów i fotografii w oryginałach lub odbitkach) i jeszcze szereg innych, które za długo przyszyłoby wyliczać.

Gdy zaczynałem korespondencję z Bojarskim, rojącą się od tego rodzaju planów, miałem tylko jedną obawę: za wiele ich i za śmiałe, by były realne. Lecz gdy zorientowałem się w istic amerykańskiej obrotowości tego polskiego entuzjasty i marzyciela, który potrafił zjednać conradystów z całego świata dla współpracy z swoim pismem, a zwłaszcza kiedy później zobaczyłem konkretny wynik jego wysiłków, trzy doskonałe numery „Conradiana” — obawy pierzchły. Dziś wierzę, że pismo to ma dużą międzynarodową przyszłość. Conrad wreszcie uzyskał w nim stałą przystań i bazę.

Wit TARNAWSKI

1. „Conradiana”, Editor prof. E. A. Bojarski. McMurry College, Abilene, Texas 79605, U.S.A.

„Mała Encyklopedia Powszechna”

„Encyklopedia (gr.) systematyczny zbiór wiadomości ze wszystkich nauk lub z jednej gałęzi wiedzy: termin stosowany w odniesieniu do dzieł obejmujących taki zbiór wiadomości, ułożony alfabetycznie lub systematycznie wg. zagadnień”.

Mała Encyklopedia Powszechna, wydana przez PWN w 1969 roku, w nakładzie „199.720 + 280 egz.”, cena zł. 250, to rzeczwiście „zbiór wiadomości ze wszystkich nauk” ułożony alfabetycznie. Pierwszy nakład rozszedł się błyskawicznie, ci co nie zdołali nabyć publikacji, czekają wydania drugiego nakładu. Rzesze czytelników, nabywające drogie — bądź co bądź — wydawnictwo, wystawiają znakomite świadectwo swoim zainteresowaniom, jest natomiast rzeczą wątpliwą czy MEP zainteresowania te zaspokoi. Jej braki, „przeoczenia” i przeinaczenia nie wynikają z nieuctwa. Po to, aby spreparować taką encyklopedię trzeba umieć i wiedzieć bardzo dużo. Ignorancja wydawców jest tylko pozorna i wynika z pragnienia naginania działalności wydawniczej do uchwał i zaleceń, do postanowień i decyzji gremium partyjnego, które wie najlepiej i rozumie najwięcej, więc rozstrzyga ile oraz jakiego rzędu wiedza ma być dostarczona setkom tysięcy czytelników. To gremium ustaliło, jak ma wyglądać miniona i obecna historia Polski, ono już zadecydowało o tym, kto ma pozostać w dziejach literatury i sztuki polskiej: ono dokonało wyboru faktów i wydarzeń, ono wreszcie zadecydowało w jakim świetle fakty te mają być ukazane. Rzecz jasna, wina za taki kształt encyklopedii spada na aranżerów i inspiratorów, ale nie są wolni od winy autorzy haseł, godzący się na akceptację instrukcji. Autorzy, przyjmując jako dogmat, jako prawdę, zalecenie dysponenta są świadomi, iż MEP spełnia doraźne zadania polityki partii. Jest zastanawiające, jak ta encyklopedia, będąca dziełem kilkuletniej pracy, zdołała dostosować się — w niektórych działach — do wymogów ocen partyjnych aktualnych w ostatniej dobie! Oddana do produkcji w marcu 1967, podpisana do druku w maju 1969, już zdążyła uwzględnić okres praskiej wiosny, inwazję na Czechosłowację wraz ze swoistą interpretacją tej agresji: ani razu nie wspomniano nazwiska Dubczeka, jakby takiego człowieka w ogóle nie było. Od chwili podpisania dzieła do druku, aż do czasu ukończenia druku, to znaczy, od maja do czerwca 1969 w dziejach „bratniego, socjalistycznego narodu” istniał obok Novotnego, pozostawionego w MEP w całej glorii — jedynie G. Husak „od 1943 czł. KC KP Słowacji, a od 1945 KPCz.: 1960-69 I sekretarz KC KPS, od 1969 I sekr. KC KPCz.”. „Operatywność” godna podziwu! Wydawca zdążył czytelników MEP powiadomić drukiem ukończonym w czerwcu 1969 o zmianie, jaka zaszła w

kwietniu 1969 na plenum KC w Pradze, kiedy miejsce Dubczeka zajął G. Husak! O inwazji na Czechosłowację autorzy zdążyli jeszcze napisać co następuje (str. 191): „W styczniu 1968 KC KPCz podjął uchwały mające na celu likwidację błędów i wypaczeń powstałych w poprzednim okresie: w trakcie realizowania tych uchwał w wyniku działalności elementów pravicowych i reakcyjnych, wspieranych przez siły z zewnątrz, powstała sytuacja grożąca wyprowadzeniem Czechosłowacji z Układu Warszawskiego i obozu państw socjalistycznych: w związku z tym w sierpniu 1968 państwa soc. ZSRR, Polska, Węgry, Bułgaria i NRD podjęły decyzję udzielenia wojsk. pomocy socjalistycznej Cz. — koniecznej dla zabezpieczenia żywotnych interesów państw i narodów socjalist., jedności obozu socjalist. i pokoju w Europie. 16. X. 1968 podpisano w Pradze układ o czasowym stacjonowaniu jednostek wojsk radz. na terenie Czechosłowacji”. Natomiast fakty wcześniejsze i bliższe, wydarzenia marcowe 1968 w Polsce, nie zyskały w MEP ani jednego wiersza. Na próżno szukałem informacji o wydarzeniach studenckich pod takimi hasłami, jak rewizjonizm, piąta kolumna, syjonizm, kosmopolityzm, obca agentura, trockizm, dywersja, rozmiękanie.



Jeśli porównamy obecnie wydaną MEP z tą z 1959 roku, łatwo da się stwierdzić regres w odniesieniu do poprzedniej, mimo powiększonej ilości haseł i zdjęć. Regres da się odnotować w stosunku do sformułowań oraz treści, które 10 lat temu — bezpośrednio po październiku — jeszcze dokumentowały istnienie nadziei i perspektyw na jakąś zmianę.

W tomie wydanym w 1959 r. spośród pisarzy emigracyjnych wymieniono Cz. Miłosza (z uzupełnieniem: „przeciwnik Polski Ludowej”), w obecnie wydanym tomie Miłosza nie ma; w poprzednim widniał W. Gombrowicz, w obecnie wydanym nie ma tego pisarza; Józef Wittlin był — teraz go nie ma; był w poprzednim Al. Wat — teraz zniknął; Andrzej Panufnik był w poprzednim, teraz nazwisko to znajdujemy jedynie w artykule ogólnym o muzyce polskiej. Czytelnik hasła „Polska” oraz „Skamander” natknie się na nazwisko K. Wierzyńskiego, w tymże dziale spotka nazwisko Miłosza i Gombrowicza, jeśli jednak zechce sprawdzić bliżej, co te nazwiska znaczą, wyjaśnienia nie znajdzie. Marek Hłasko nie istnieje dla autorów tej encyklopedii. W obecnie wydanym tomie widnieje J. Lechoń, jednak poprzednia informacja była obszerniejsza. Dane o Marii Dąbrowskiej w tomie z 1959 roku, były obszerniejsze. Ford i Polański wymienieni są jedynie w artykule zbiorczym o filmie. W poprzednim tomie widniał Artur Rubinstein, w obecnie wydanym nie ma tego nazwiska. W poprzednim tomie widniała aktorka, Ida Kamińska, obecnie „wypadła”, tym samym zniknęła dawna informacja o istnieniu w Polsce Ludowej „Państwowego Teatru Żydowskiego”. Tak więc, za jednym pociągnięciem pozbawiono się zarówno Idy Kamiń-

skiej, jak i wstydlivego elementu, jakim było tolerowanie przez jakiś czas teatru w języku żydowskim. Skrócono również linię „syjonistyczną”, jaka istniała w poprzednim tomie: widniało tam nazwisko wybitnego poety hebrajskiego, Ch. N. Bialika, obecnie nazwiska tego nie ma. W poprzednim tomie widniał jeszcze Artur Koestler, z dodatkiem: „w 1937 wystąpił przeciwko ruchowi komunistycznemu”, obecnie Koestlera w ogóle nie ma. W 1959 roku B. Pasternak był jeszcze m.in. autorem powieści „Dr Żiwago” — „ocenionej jako utwór antyradziecki, wydanej jedynie w krajach kapitalistycznych” — w tomie wydanym obecnie B. Pasternak już nie jest autorem powieści o takim tytule. Jednakże w jednym i drugim wypadku czytelnik został poinformowany o nagrodzie Nobla dla tego pisarza — „nie przyjęta”.

Dzielnie spisano się z pisarzami w kraju: niektórzy po prostu przestali istnieć. Do marca 1968 byli, żyli, drukowali i nagle ich nie ma! Zniknęli, mimo iż w poprzedniej encyklopedii jeszcze istnieli: niektórzy z przymiotnikami, które miały im przynieść ujmę, ale byli. Teraz okazuje się, że nigdy nie istnieli. I wcale nie o Żydów chodzi, ani o krypto-Żydów, syjonistów czy pół-Żydów, chodzi o autentycznych „aryjczyków”, Polaków „czystej krwi”, sprawdzonych dokładnie we właściwych instancjach partii, policji oraz urzędach wszelkiego stanu. Przestali istnieć pisarze, którzy wyjechali z Polski, nie ma jednak w encyklopedii tych co Polski nie opuścili. Niektórych, stanowią oni grupę dość liczną, objęto profilaktycznie, zapobiegawczo strefą milczenia, najpewniej dlatego, że ośmielili się myśleć inaczej aniżeli zalecili Kraśko, Olszowski oraz redaktorzy radia, telewizji, tygodników, wydawnictw. Inni, pozostawieni w MEP, kończą swój literacki żywot w latach 50-tych, nie wspomina się tytułów książek wydanych w latach 60-tych. Oceny obecnie są mniej precyzyjne, są po prostu bałamutne, mylące, niezgodne z tym co dzieła zawierają. Pominięcie tytułów dzieł wydanych niedawno ma zapobiec poszukiwaniu tych książek w księgarniach lub bibliotekach skąd mnóstwo tytułów usunięto.

Czasopiśmiennictwo literackie w Polsce to oddzielny rozdziałik tej radosnej twórczości. I tak czytelnik dowiaduje się, że istnieje *Kultura*, ale tylko jedna, mianowicie „tyg. społ. lit. wydawany w Warszawie od 1963: powstała z połączenia *Nowej Kultury* i *Przeglądu Kulturalnego*, red. nac. J. Wilhelmi”. Z informacji o *Nowej Kulturze* i *Przeglądzie Kulturalnym* dowiadujemy się, że tygodniki te posiadały redaktorów, ale pozbawionych nazwisk. Nie było w Polsce powojennej tygodnika pod nazwą *Nowiny Literackie*, natomiast czytelnik dowiaduje się, że istniały *Nowe Widnokregi*, „pol. czasopismo społ. lit. wydawane 1941-46 w ZSRR (początkowo jako organ Zw. Pis. Radz.) najpierw we Lwowie,

1942-43 w Kujbyszewie. 1943-46 w Moskwie (jako organ ZPP, red. W. Wasilewska)”. Natomiast *Współczesność*, założona „jako organ tzw. „pokolenia 56” — posiadała i posiada redaktorów: nie zapomniano wydrukować nazwisk 3 kolejnych redaktorów. *Politykę* spotkał los zagadkowy: wydrukowano jedynie nazwisko aktualnie urzędującego redaktora. Nazwiska poprzednika — pominięto. Tygodnik *Po prostu* w encyklopedii z 1959 r. to „tygodnik studentów i młodej inteligencji”; w 1969 roku „studenci i młoda inteligencja” brzmi podejrzanie, więc *Po prostu* to „tygodnik społ. lit. wydawany 1947-57 w Warszawie (1948-56 pismo ZMP)”.

Katyń... W tomie z 1959 r. „Katyń, miejscowość w okręgu smoleńskim RFSRR, miejsce masowych grobów kilku tysięcy oficerów pol. internowanych od 1939 w ZSRR, a wymordowanych przez hitlerowców po zajęciu tych terenów”. W tomie wydanym obecnie nie ma w ogóle hasła „Katyń” (nie ma go również w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej), w ten sposób wydawcy zrehabilitowali hitlerowców, ale właściwych sprawców zbrodni nie ujawnili. Hasło Ribbentrop — w I i II MEP jest jednym ze skazanych zbrodniarzy wojennych, w obecnie wydanym tomie występuje dodatkowo, jako „jeden z głównych wykonawców hitlerowskiej polityki podbojów”. A teraz szukamy pod hasłem „Mołotow”. Co ten polityk miał wspólnego z „jednym z głównych wykonawców hitlerowskiej polityki podbojów”? A no, nic nie miał wspólnego. O Trockim autorzy piszą, jak za najlepszych stalinowskich czasów, jest jednak mała różnica w informacji o śmierci Trockiego. W pierwszej MEP Trocki „zginął od kuli zamachowca w Meksyku”, w obecnie wydanym tomie, wydawcy usuwają agenta stalinowskiego, który zamordował Trockiego. Trocki „zmarł w Meksyku”. W pierwszym wydaniu MEP Stalin naruszał normy życia partyjnego i praworządność, błędy te „rzucają poważny cień na postać Stalina”. W tomie wydanym obecnie te same grzechy nie rzucają już żadnego cienia. Oberwało się potężnie Mao Tse-tungowi. To „rzecznik nacjonalizmu i polityki wielkomocarstwowej”; prowadząc politykę skierowaną przeciwko ZSRR i innym państwom socjalistycznym, spowodował częściowy rozłam w międzynarod. ruchu komunist. Hasło „Chiny” zawiera m.in. następujące uzupełnienie: „Stopniowe narastanie w pocz. lat 1960 tendencji nacjonalistycznych w polityce grupy Mao Tse-tunga, doprowadza do wzrostu napięcia i nasilenia ataków na ZSRR i państwa socjalistyczne co — mimo podejmowanych wysiłków ze strony ZSRR — powoduje naruszenie jedności obozu socjalist. i umożliwia USA agresję przeciw Demokr. Rep. Wietnamu”.

Nowsze dzieje Polski potraktowane zostały z całą pogardą dla prawdy, dla faktów powszechnie znanych i obecnych już w świadomości Polaków — zarówno w Polsce, jak i poza Polską. Naj-

jaskrawiej „braki” te ujawniają się w traktowaniu zagadnień II wojny światowej, roli Niemiec hitlerowskich oraz Związku Sowieckiego: i tak, nie było daty 17 września 1939 roku. W tomie z 1959 znajdujemy jeszcze zdanie informujące o przekroczeniu tego dnia granicy przez wojska sowieckie, w tomie wydanym obecnie wojska sowieckie nie przekraczały żadnej granicy polskiej. W wydaniu z 1959 o Wł. Sikorskim napisano — „inicjator uregulowania stosunków z ZSRR (układ z 30. VII. 1941)”, w tomie wydanym obecnie ani słowa o istnieniu takiego układu. Z tomu z 1959 czytelnik dowiedział się, że prymas Polski, Stefan Wyszyński „od 1953 przebywał w klasztorze pod nadzorem, w październiku 1956 zwolniony”, w obecnie wydanym tomie szczegółu tego już nie ma. O Stow. Pax w wydaniu pierwszym napisano m.in. „Pax rozwija akcję polit., ekonom. (tworzenie spółek akcyjnych i tzw. spółkę pracowniczych) i wydawniczą”, w obecnym wydaniu szczegółów tych już nie ma. Obecnie Pax — wg. wydawców — to jedynie „organizacja świeckich działaczy kat., którzy deklarują czynne zaangażowanie w budowie socjalizmu w Polsce; przew. B. Piasecki”, natomiast „Koło Posłów Kat. „Znak”, utworzone w 1957 „współdziała z Klubami Inteligencji Kat. (KIK zał. 1956), pracującymi w porozumieniu z episkopatem polskim”.

W tomie z 1959 pod hasłem „cenzor” znajdujemy m.in. nast. określenie: „urzędnik wydający zezwolenie na druk książki lub czasopisma, na wyświetlenie filmu itp.”, w tomie z 1969 mamy następujące krótkie wyjaśnienie: „cenzor, urzędnik cenzury”. Pod hasłem „cenzura” w 1959 wyjaśniano, że to kontrola druków, widowisk, filmów, że istnieje cenzura prewencyjna, represyjna; w tomie wydanym obecnie mamy następujące wyjaśnienie: „oficjalna kontrola pod względem polit. obyczajowym, moralnym nad wszelkimi drukami (prasą, dziełami lit.) widowiskami, audycjami radiowymi itp., dokonywana przez specjalny urząd”. Różnica wyraźna.

W tomie z 1959 nie ma hasła „konfiskata”, natomiast występuje ono w tomie z 1969: w tomie z 1959 znajdujemy hasło „konfident”, w tomie wydanym obecnie hasła tego brak — czyżby słowo to zniknęło z codziennej, obiegowej polszczyzny? Natomiast „oprycznina” występuje zarówno w jednym, jak i w drugim tomie z niewielką mutacją: w tomie z 1969 autor twierdzi, że oprycznina, jako instytucja, zniesiona została w 1572 roku, tom wydany w 1959 roku takiej informacji nie zawierał.

Stanisław WYGODZKI

MAŁA ENCYKLOPEDIA Powszechna

(Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1959)

str. 35, kolumna prawa:

ANTYSEMITYZM, wrogość i nienawiść do Żydów, prześladowanie ich, odmawianie im pełnego równouprawnienia; a. jakkolwiek o rozmaitym zabarwieniu, występuje w różnych epokach, poczynając od starożytnego Rzymu; prześladowania Żydów wiążą się z reguły z dyskryminacją religijną, rasową, narodową, polityczną i społeczną, wymierzoną przeciw różnym klasom wyzyskiwanym i narodom uciskanim; dlatego a. jest nie tylko ruchem antyżydowskim, lecz w niemiejszym stopniu — antywolnościowym, antypostępowym, antydemokratycznym i antysocjalistycznym i w tym wyraża się jego specyficzna istota. A. szerzył się najbardziej tam, gdzie panował despotyzm i ucisk narodowy (carat, hitleryzm itp.). W Polsce programowymi rzecznikami antysemityzmu była endecja oraz ugrupowania z niej wyrosłe (ONR).

Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewiczowa na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie

Socjologia. Zagadnienia polityczne

153. LITERATURA W SŁUŻBIE OJCZYZNY. Materiały z sesji zorganizowanej przez Związek Literatów Polskich i Główny Zarząd Polityczny WP z okazji XXV-lecia Odrodzonego Wojska Polskiego, poświęconej tematyce patriotyczno-obywatelskiej w naszej literaturze. (Wojciech Żukrowski: Wstęp; gen. dyw. Józef Urbanowicz: Posłowie). Warszawa, 1969, Ministerstwo Obrony Narodowej, s. 235 (3).

Najgorsza książka roku 1969 nie należąca, niestety, do „okresu minionego” a nasuwająca daleko idące analogie z zaleceniami słynnego Zjazdu Szeceńskiego, na którym uchwalono wytyczne socrealizmu w literaturze. Sesja zwołana została prawdopodobnie z intencją przeciwstawienia się wpływom wydarzeń marcowych i Czechosłowacji; stąd stałe podkreślanie stanu zagrożenia, potrzeby czujności — zwłaszcza na odcinku młodzieżowym i wojskowym.

Na sesji wygłosili referaty pisarze, których dawniejsze wypowiedzi kwalifikowały już dawniej jako gorliwych „politruków” i — niestety — tacy, których nazwiska i dotychczasowa twórczość wskazywały na twardsze karki i odważniejszą postawę wobec oficjalnych nacisków. Referaty wygłosili: Wojciech Żukrowski, prof. J. Z. Jakubowski, Stan. Ryszard Dobrowolski, Stan. Zieliński, Olgierd Terlecki, Lesław Bartelski, Alojzy Sroga, Jan Szczawiej — w dyskusji zabierali głos Wacław Biliński (obrzydlawy napad na Belinę-Prażmowskiego), Ernest Bryll, Przemysław Bystrzycki, Jan Dobraczyński, Stan. Kania (neutralne uwagi o polskiej gwarze żołnierskiej), Zygm. Lichniak i Marek Sadzewicz.

Dzieje muzyki w Polsce

154. KAMIŃSKI, Włodzimierz: *Skrzypce polskie*. Kraków, 1969, Polskie Wyd. Muzyczne, s. 96, ilustr.

Popularny zarys historii lutnictwa polskiego od pierwszych wzmianek o skrzypcach z końca XV w. i obrazu działalności krakowskich lutników (Mat. Dobruckiego, Marcina Groblicza — pierwszego z „dynastii” Grobliczów) poczynając. Autor omawia dalej skrzypce roboty Baltazara Dankwarta

z Wilna i Jana Dankwarta z Warszawy. Zarys uwzględnia lutników krzemieniackich, lwowskich i wileńskich. Omawia poza skrzypcami instrumenty pokrewne np. teorbany.

Literatura piękna (poezja, powieść, dramat, eseje)

155. EHRENBURG, Gustaw: *Wiersze*. Zebrał i opracował Alfred Zejman. Kraków (1969), Wydawnictwo Literackie, s. 106.

Gustaw Ehrenberg (1818-1895) był synem cara Aleksandra I i generałowej Heleny z Dzierżanowskich Rautenstrauchowej. Od wczesnej młodości brał czynny udział w pracach polskich organizacji patriotycznych, m.in. tzw. „Świętokrzyców” (Stowarzyszenia Ludu Polskiego). W r. 1838 zesłany został do Nercyżńska. Po zwolnieniu z katorgi (w r. 1858) rozwijał działalność pisarską w Warszawie a następnie Krakowie. Synem jego był znany publicysta, Kazimierz. W historii literatury pozostał jako autor pieśni „Gdy naród na pole wystąpił z orężem, Panowie na sejmie radzili, Gdy lud polski krzychał: Umrzem lub zwyciężem! Panowie o czynszach prawili” — znanej w lekko zniekształconej wersji do dziś. Wydawca tomiku oparł się na tomiku wierszy pt. „Dźwięki minionych lat” (1835-6), wydanym za życia autora i materiałach rozproszonych po czasopiśmie a w większości zebranych przez śp. dr. Zofię Niesiołowską-Rothertową, która przygotowywała dla „Biblioteki Narodowej” tomik pism Ehrenberga. Wkład jej pracy został sumiennie pokwitowany przez Zejmana.

156. KARPOWICZ, Tymoteusz: *Wiersze wybrane*. (Wrocław), 1969, Ossolineum, s. 214 (2).

Tom wierszy wyjętych ze zbiorów: „Kamienna muzyka”, „Znaki równania”, „W imię znaczenia”, „Trudny las”, „Na odwrót”, znaczących etapy widocznego doskonalenia warsztatu poetyckiego i pogłębiania podkładu filozoficznego utworów. Bardzo ciekawe i udane eksperymenty z prozą poetycką w „Na odwrót”.

157. RÓŻEWICZ, Tadeusz: *Regio*. (Warszawa, 1969), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 84 (4).

Tom obejmuje 28 wierszy z ostatniego dziesięciolecia, głośny poemat „Regio” i utwór prozą o motywach autobiograficznych pt. „Złowiony”. Jak wskazują podtytuły: „Vestibulum vaginis”, „Mons pubis” etc. poemat „Regio” jest ekspedycją na tereny anatomiczne rzadko eksponowane publicznie. W otwierających tomik krótkich utworach poetyckich uderza imponująca zwięzłość i dosadność obrazów (sen o Lwie Tołstoj, „Twarz ta sama”, wiersz o Tetmajerze).

Historia literatury

158. LIBERA, Zdzisław: *Problemy polskiego Oświecenia*. Kultura i styl. Warszawa, 1969, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, s. 304 (2), ilustr., bibliografia.

Autor uważa Oświecenie polskie za okres, w którym występowały równoległe tradycje baroku, rosnący w siłę klasycyzm, wpływy rokoka i załazki preromantyzmu. „Wszystkie te style wzajemnie oddziaływały na siebie, krzyżują się i zachodzą na siebie, występują w różnorodnych zespoleniach, wysuwają na plan pierwszy te czy tamte cechy — i to zarówno w literaturze jak w sztuce Oświecenia. Tezę swą ilustruje prof. Libera przekonująco dobranymi ilustracjami (J. P. Norblin, Smuglewicz i in.).

159. PISZCZKOWSKI, Mieczysław: *Ignacy Krasicki*. Monografia literacka. Kraków (1969), Wydawnictwo Literackie, s. 544 (4), ilustr., faks., bilbl.

Monografia w udany sposób scalająca wyniki badań Ludwika Bernackiego, Paul Cazin'a, J. Kleiner'a, Wacława Borowego, Tad. Mikulskiego i S. Graciotiego, wsparta wynikami własnych prac badawczych autora.

160. JASTRZĘBSKI, Zdzisław: *Literatura pokolenia wojennego wobec dwudziestolecia*. (Warszawa, 1969), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 265. Instytut Badań Literackich PAN, Historia i Teoria Literatury, Studia, 24.

Autor stwierdza, iż — pomimo upływu lat — nie ujawniono dotąd w pełni produkcji literackiej z okresu wojny i stanowiącej jej zaplecze dokumentacji. W literaturze wojennej wyróżnia dwa nurty: „literaturę w ścisłym sensie” i „twórczość tzw. amatorską”. Przypomina, iż w czasie okupacji obawiano się „pustki, przerwy”, zerwania ciągłości tradycji literackiej. W konkluzji dochodzi do wniosku, że „okres lat 1939-1944 nie stanowi białej plamy na kartach literatury”. Młodzi pisarze byli świadomi potrzeby nawiązywania do przeszłości. Andrzej Trzebiński pisał: „Teoria zaczyniania wszystkiego od początku musi zostać raz wreszcie zdyskwalifikowana”, — Baczyński nawiązywał otwarcie do dziedzictwa romantycznego. Sądzi, iż z powodzeniem operowali aluzją i metaforą, iż mieli ambicje nowatorskie — „ale nie za wszelką cenę”. Nawiązywali do przedwojennego nurtu katastroficznego, strzegąc się jednak patosu i postawy sentymentalnej — przekładali nad nią groteskę. U młodych wchodzących w życie (a równocześnie żegnających się z życiem) pisarzy uderza poczucie odpowiedzialności i pełne zaangażowanie w konspiracji.

Życiorysy, pamiętniki, listy

161. BOREJSZA, Jerzy W.: *Sekretarz Adama Mickiewicza* (Armand Lévy i jego czasy — 1827-1891). (Warszawa, 1969), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 458, ilustr., bibliog.

Obszerna i odkrywczą monografią, rzucającą nowe światło na osobę Armanda Lévy'ego, przyjaciela i bliskiego współpracownika Mickiewicza — aż po Konstantynopol, gdzie zamknął oczy Poece. Niewątpliwym novum jest wydobycie na jaw rozległej działalności politycznej Lévy'ego i jego powiązań z masonerią i różnymi wariantami radykalnych organizacji lewicowych. Jules Michelet nazwał Lévy'ego „najwierniejszym z wiernych waszej sławnej ojczyzny”, policja francuska w końcu XIX w., w wiele lat po śmierci Mickiewicza, określała go jako „niebezpiecznego agitatora, Polaka”. Borejsza ustala na podstawie dokumentów, iż ów rzekomy Polak był synem wychrzonego Żyda Georges François Lévy'ego i Francuzki Joséphine Millie (z dept. Côte d'Or) — że zainteresowanie sprawą polską obudził w nim nauczyciel gimnazjalny w Semur, Jakub Malinowski, emigrant z 1831 r. — że wierny był Mickiewiczowi do ostatniej chwili i ojcowską opiekę otoczył dzieci poety, a zwłaszcza Władysława, z którym blisko współpracował.

162. SYSKA, Henryk: *Adam Chętnik, działacz, pisarz, badacz Kurpiowszczyzny*. Warszawa (1969), Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, s. 138 (2).

Adam Chętnik (1835-1967) położył olbrzymie zasługi jako badacz Kurpiowszczyzny i twórca Muzeum Kurpiowskiego w Nowogrodzie nad Narwią. Był autorem podstawowych opracowań naukowych: „Kurpie”, „Chata kurpiowska”, „Spław na Narwi”, „Pożywienie Kurpiów” oraz zbiorów „obrazków, opowieści i gadek” spisanych na Kurpiach i na pograniczu Prus Wschodnich, wydanych w książce pt. „Mazurskim szlakiem” tuż przed wybuchem wojny. Autor opracowania, Henryk Syska, sądzi, iż „siły polityczne, do których Adam Chętnik odnosił się raczej nieufnie, podejrzliwie” poparły i doceniły „osobisty jego wkład zmierzający ku wzbogaceniu i pomnożeniu dorobku naszej kultury ludowej”.

Geografia. Opisy podróży. Reportaże krajoznawcze

163. MAKOWSKI, Stanisław: *Świat „Sonetów krymskich” Adama Mickiewicza*. (Warszawa), 1969, Czytelnik, s. 209 (1), mapa trasy podróży Mickiewicza po Krymie, interesujące ilustracje oparte na fotografiach autora z roku 1966-7 i drzeworytach F. D. Konstantinowa.

Książka jest rezultatem trzykrotnych odwiedzin Krymu i rozległych poszukiwań archiwalnych i bibliotecznych. W oparciu o tekst „Sonetów” i wyniki badań autor zrekonstruował szlak podróży Mickiewicza i zanalizował „kierunki literackiej transformacji krymskiej rzeczywistości”. Książeczka wydana b. starannie i estetycznie.

Dzieje Polski przedrozbiorowej

164. MACISZEWSKI, Jarema: *Szlachta polska i jej państwo*. Warszawa, 1969, Wiedza Powszechna, s. 235 (1), bibliog. (Biblioteka Wiedzy Współczesnej Omega, 148 (9)).

Autor, docent Instytutu Hist. Uniwersytetu Warszawskiego, specjalizujący się w historii Polski XVII w. jest także posłem na Sejm PRL i I sekretarzem KU PZPR U.W. Autor analizuje nurty: „wsteczny” i „postępowy” w warstwie magnackiej i szlacheckiej; tę ostatnią osądza łagodnie, gdyż — jak pisze — reprezentowała „istotne wartości”, a więc: „patriotyzm, gotowość do poświęceń, ofiarność, umiłowanie kultury ojczystej”. Za cechy negatywne uważa: „anarchizowanie, konserwatyzm społeczny, „od ludu rów i przedział” (Słowacki), zapatrzenie w siebie, skłonność do rozrzutności i życia nad stan, brak zmysłu gospodarczego”.

Dzieje Polski (w. XIX)

165. SZENIC, Stanisław: *Ani triumf, ani zgon*. (Warszawa, 1969), Min. Obrony Narodowej, s. 424 (4).

Rzecz o Warszawie w okresie powstania listopadowego, ukazująca w cyklu felietonów życie stolicy, działania i intrygi polityczne, „dramat pól bitewnych” i narastanie klęski. Autor wykazuje ogromne znanstwo epoki i swobodnie, z niewątpliwym talentem literackim, włącza do poszczególnych obrazków fragmenty autentycznych relacji z listów, pamiętników, prasy itp. Ilustracje dobrane starannie, ale fatalnie reprodukowane.

166. KRÓL, Stefan: *Cytadela Warszawska. X Pawilon — carskie więzienie polityczne (1833-1856)*. Warszawa, 1969, Książka i Wiedza, s. 310, ilustr., bibliografia.

Autor omawia dzieje Cytadeli, jako zespołu fortyfikacji, których zadaniem było „utrzymanie w szachu buntowniczej Warszawy”. Głównym politycznym więzieniem śledczym był w obrębie Cytadeli X Pawilon. W latach 1833-1856 objętych opracowaniem więźniowie rekrutowali się spośród uczestników powstania listopadowego, partyzantki z r. 1833, spisków związanych z Konarskim a następnie ruchami rewolucyjnymi „Wiosny Ludów”. Z tablic i zestawień statystycznych wynika, iż liczna więźniów wahała się w granicach 262 do 449 (w r. 1846). Ogółem przeszło przez X Pawilon 3.505 więźniów, w tym 171 kobiet. Dla wielu była to „poczekalnia” przed zsyłką. Autor omawia szczegółowo rodzaj i technikę „kar głównych i poprawczych”. Z 19 skazanych na śmierć przez powieszenie szesnastu należało do partyzantki z r. 1833. Na str. 71-3 omawiana jest sprawa „druków zakazanych” i przerwania ich z zagranicy. Rejestrowano je w specjalnych wykazach i okólnikach. Powracają w nich najczęściej utwory Mickiewicza (zwłaszcza „Księgi pielgrzymstwa” i „Pan Tadeusz”) oraz „Pieśni Janusza” Pola.

Historia najnowsza

167. KALINICZENKO, Paweł M.: *Polacy w rewolucji październikowej i wojnie domowej na Ukrainie, 1917-1920*. (Z maszynopisu przełożył Igor Szczyrba). (Warszawa), 1969, Książka i Wiedza, s. 295 ilustr., bibl.

Autor, historyk sowiecki, analizuje stanowisko dwu i pół milionowej rzeszy Polaków wobec rewolucji październikowej. W skład owej polskiej mniejszości wchodziło półtora miliona uchodźców, około pół miliona Polaków w armii carskiej, 300.000 przedwojennej emigracji zarobkowej i około 100.000 jeńców wojennych. Zgodnie z zapowiedzią tytułu autor koncentruje się na omawianiu działalności „polskich towarzyszy broni” na obszarze Ukrainy.

Druga Wojna Światowa

168. DATNER, Szymon: *Las sprawiedliwych*. Karta z dziejów ratownictwa Żydów w okupowanej Polsce. Warszawa, 1968, Książka i Wiedza, s. 115 (3).

Wydana przed dwoma laty książka doszła do Londynu dopiero w lutym 1970. Mówi o „setkach tysięcy Polaków, którzy wbrew niemieckiemu „prawu”, ryzykując życiem swoim i swoich najbliższych, wyciągnęli w najcięższych chwilach pomocną dłoń prześladowanym i skazanym na zagładę”. Datner przytacza teksty rozporządzeń władz okupacyjnych, ostrzegających przed udzielaniem pomocy i wyliczającym kary, formy ratownictwa indywidualnego i zbiorowego dorosłych i dzieci; pisze „o tych, co ratując zginęli” (np. Ojciec Anicet, Kapucyn z konwentu warszawskiego, zamordowany za ukrywanie Żydów). Książkę zamyka lista imienna Polaków zamordowanych za ratowanie Żydów (wg. stanu badań z kwietnia 1968 r.).

Nadeślane nowości wydawnicze

KOŚCIAŁKOWSKI (Stanisław). *Antoni Tyzenhauz*. Podskarbi Nadworny Litewski. T. I.: Str. 686 z Przypisami, Indeksami i fotografiami. (Wyd. Społeczność Akademicka Uniwersytetu Stefana Batorego w Londynie, Londyn, 1970).

KUKIEL (Marian). *Generał Sikorski*. Żołnierz i mąż stanu Polski walczącej. Str. 280 z Indeksami i Bibliografią. (Wyd. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Londyn 1970).

SUBERLAK (Jan). *Rozstajne czuwanie*. Wiersze. Str. 54 (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1970).

ZAHORSKA (Stefania). *Szczęśliwe oczy*. Wybór studiów i esejów z dziedziny filozofii, historii i krytyki sztuk plastycznych z lat 1921-1960. Opracował Stanisław Frenkiel. Str. 160. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1970).

DANKOWICZ (Henryk). *Nieprze-zroczyta klepsydra*. Str. 112. (Wydawnictwo „Nowiny i Kurier”, Tel Aviv, 1970).

ROSTWOROWSKI (Jan). *Poemat dla Joanny*. Wiersze. Str. 56. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1970).

SZCZEPANOWSKI (Marian). *Pamiętkowe koperty millenijne wydane w Australii*. Str. 28. (Wyd. Polish Philatelic Society of Australia and Polish Historical Society in Australia, Melbourne 1969).

LACHOCKI (Franciszek). *Gniazda jaskółcze*. Wiersze. Str. 160. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1970).

TOŁKAN (Mikołaj). *O program i plan skutecznej walki z alkoholizmem*. Str. 88. (Wyd. Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Prezydium Rady Narodowej miasta Krakowa, Kraków 1969).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

17-2-70

Zmarł w Kijowie znany poeta ukraiński Andrij Małyszko. ■ Prezydium Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich skreśliło z listy członków „w związku z ich wyjazdem na stały pobyt zagranicę i zrzeczeniem się obywatelstwa polskiego” następujące osoby: Juliana Barszczewskiego, Józefa Goldkorna, Felicję Słuszny, Józefa Sobelmana, Judę Rolla, Dinę Szuchman, Marka Weba, Władysława Balzama, Barbarę Szuleczyńską. ■ W Brennej (Śląsk Cieszyński) zmarł ceniony ludowy rzeźbiarz Paweł Jaworski. ■ Są wojewódzki w Ostrawie skazał redaktora Oto Filipa na półtora roku więzienia za tzw. działalność wywrotową, skierowaną przeciw republice. Jediną winą Filipa było rzetelne informowanie czytelników o różnych problemach czechosłowackich na łamach czechosłowackiej prasy w okresie — styczeń 1968 - czerwiec 1969. ■ Przedstawiciele związków dziennikarzy sowieckich i czechosłowackich podpisali w Moskwie umowę o wzajemnej współpracy.

23-2-70

W Bukareszcie rozpoczęła się narada przedstawicieli kierownictw związków pisarzy krajów socjalistycznych. Na czele delegacji literatów PRL stoi Józef Lenart. Nie było delegacji czeskiej a jedynie słowacka. Nie wzięli również udziału literaci Chin, Jugosławii, Albanii, Korei Płn. i Płn. Wietnamu. ■ Jak obliczyli socjologowie, z powodu alkoholizmu gospodarka narodowa PRL traci 10,5 mld zł rocznie. Pije stale około 1,5 mln osób, z tego milion zatrudnionych w gospodarce narodowej. Opuszczają oni rocznie od 35 do 75 dni pracy (przeciętna w kraju nie przekracza 15 dni). W ten sposób przez wódkę traci się 20 mln roboczodniówek. ■ Pomiedzy ZSSR i USA podpisano siódme już z kolei porozumienie w sprawie wymiany w dziedzinie nauki, techniki, oświaty i kultury. Do USA przybędzie m.in. zespół opery moskiewskiej, rewia na lodzie i syberyjski zespół ludowy. Dokona się wymiany 40 doktorantów i 10 profesorów wyższych uczelni. W ubiegłym roku odwiedziło ZSSR 32 tys. turystów amerykańskich. ■ Tonaż floty sowieckiej dochodzi obecnie do 13,7 mln ton, a dokonywane za jej pośrednictwem obroty towarowe sięgają 685 mld tono-kilometrów. Rozkład rejsów marynarki handlowej ZSSR obejmuje aż 800 portów w 92 krajach. Transport morski odgrywa zasadniczą rolę w sowieckich przewozach. Statki dostarczają ponad 80 proc. towarów, sprzedanych lub zakupionych na warunkach dostawy przez stronę sowiecką, oraz połowę wszystkich ładunków zagranicznych ZSSR.

24-2-70

Międzynarodowa Konferencja Ideologiczna w Moskwie, w której wzięli udział przedstawiciele 27 partii komunistycznych, zakończyła się uchwałami zapowiadającymi wzmożoną walkę z rewizjonizmem we wszystkich jego formach. ■ Gen. P. Grigorenko został skazany przez sąd w Taszkencie, na internowanie w Zakładzie Psychiatrycznym w Kazaniu. Rozprawa toczyła się w sądzie bez udziału oskarżonego. ■ W Sofii odbyło się spotkanie przedstawicieli partii komunistycznych. Uczestnicy wymienili doświadczenia w dziedzinie pracy ideologicznej i propagandowej oraz na temat aktualnych problemów budownictwa socjalistycznego. W skład delegacji PRL wchodził sekretarz KC J. Szydłak, kierownik wydziału agitacji W. Krasko i „dr kulturologii” Janusz Koleczyński. ■ Ambasador ZSSR w Pradze — Czerwonienko — przyjął sygnatariuszy osławionego „Listu 99”, który posłużył Sowietom, jako jeden z dowodów „konieczności” interwencji w sierpniu 1968 r.

27-2-70

W Moskwie uroczystie przekazano odbiorcom sowieckim 2-tysięczną koparkę, wyprodukowaną w PRL. Zawarto kontrakty na dostawy dla ZSSR koparek i dźwigów samochodowych na 49 mln. zł. dewizowych.

4-3-70

Pisarz jugosłowiański Mihailo Mihailov został zwolniony z więzienia. Był on skazany na 3 lata za propagowanie nowego ruchu socjalistycznego i za krytykę Związku Sowieckiego. Jego książka była wydana w języku polskim przez Instytut Literacki w ramach „Biblioteki Kultury” pod tytułem „Tematy rosyjskie”. ■ M. Dżilasowi, który miał udać się do USA na krótki pobyt, władze jugosłowiańskie odebrały paszport zagraniczny. ■ Na miejsce Al. Twardowskiego redaktorem *Nowawo Mira* został Wasilij Kosołapow, b. red. *Litieraturnoj Gaziety*. ■ W latach 1968-1969 pozostało poza granicami Czechosłowacji — bez zezwolenia właściwych organów — 50 tys. obywateli. 22 tys. spośród nich złożyło podania o przedłużenie pobytu w ustawowym terminie. ■ Pół miliona Jugosłowian, w tym 140 tys. Serbów, pracuje poza granicami kraju. Związek Komunistów Serbii zaapelował do wykwalifikowanych robotników, by powrócili do kraju. ■ Jak wynika z ankiety GUS-u, przeciętny mieszkaniec miast polskich poświęca półtorej godziny dziennie na zakup artykułów spożywczych.

5-3-70

Czeski Urząd Prasy i Informacji ogłosił, że czasopismo *Divadelni Noviny* (*Gazeta Teatralna*) przestanie się ukazywać. Powodem zakazania dalszego wydawania tego pisma była jego zbyt postępowo linia.

6-3-70

Na łamach *Czerwonego Sztandaru* w Wilnie toczyła się dyskusja na temat szkół polskich i nauki języka litewskiego. W podsumowaniu tej dyskusji zauważono, że wielu obywateli narodowości polskiej, zamieszkałych na Litwie, wyrzeka się nauki języka polskiego i posyła dzieci do szkół rosyjskich, rzadziej do litewskich. ■ O 27 proc. obniżono w Rumunii ceny tkanin oraz wyrobów konfekcyjnych z dzianin, a o 17 proc. — ceny damskich pończoch nylonowych. Jest to wynik rozwoju rumuńskiego przemysłu tkanin i włókien sztucznych. ■ Jak stwierdza *Rude Pravo*, czechosłowackie władze oświatowe otrzymały polecenie, w myśl którego kandydaci do szkół średnich muszą być oceniani na podstawie ich pochodzenia społecznego, postawy politycznej i rodziny, a nie tylko według oceny ich poziomu wiedzy. ■ Prof. dr Kazimierz Kumaniecki został wybrany członkiem Zarządu Międzynarodowego Ośrodka studiów horacjańskich. ■ W Szklarskiej Porębie zmarł w wieku 89 lat artysta malarz Vlastimil Hofman.

10-3-70

Dwóch obywateli Niemiec Wsch. usiłowało zmusić załogę samolotu linii lotniczych NRD na trasie Berlin-Lipsk do zmiany kierunku lotu. Załoga udaremniła porwanie. Przy lądowaniu samolotu obaj młodzi Niemcy popełnili samobójstwo.

14-3-70

Bułgaria odwołała zebranie Komitetu Wykonawczego Pen Clubów oraz *Table Ronde*, organizowany przez Pen Club, które miały się odbyć w Sofii. Powodem tej decyzji jest stanowisko PEN Clubu w sprawie wykluczenia Sołżenicyna ze Związku Pisarzy Sowieckich co Bułgaria uważa za „mieszanie się do spraw wewnętrznych obcego kraju, antysowiectwizm i wrogą postawę wobec innych krajów socjalistycznych”.

ZACHÓD — EMIGRACJA

16-2-70

Związek Pisarzy w Londynie przyznał swoje doroczne nagrody: Nagrodę AK ufundowaną przez Koło AK Detroit w wysokości 150 dolarów otrzymał Wacław Zagórski za całokształt twórczości związanej z walką podziemną w czasie wojny. Nagrodę Związku Pisarzy ufundowaną przez „Dom Pisarza” w wysokości £ 50 otrzymał Wit Tarnawski za całokształt twórczości ze szczególnym uwzględnieniem jego prac nad Józefem Conradem Korzeniowskim. Nagrodę im. Herminii Naglerowej ufundowaną przez mec. Mieczysława Chmielewskiego w wysokości £ 50 otrzymała Janina Surynowa-Wyczółkowska, zamieszkała w Argentynie za całokształt twórczości. ■ Z opóźnieniem dowiedzieliśmy się o śmierci 3 stycznia br., w Szkocji, ppłk. Jerzego Krzeczковского. Był on adiutantem marsz. Rydza-Smigłego; towarzyszył mu w internowaniu na terenie Rumunii i odegrał dużą rolę w ucieczce Marszałka w grudniu 1940 r. Przeżył 72 lata. ■ W ub. roku uruchomiono w USA 3 nowe elektrownie nuklearne, zaś 11 zostanie oddanych do użytku w rb. Do 1980 ma być wybudowanych dalszych 82. Będą one pokrywać 25 proc. energii elektrycznej w USA.

17-2-70

Zmarł w Izraelu Samuel Józef Agnon, laureat nagrody Nobla w 1966 r. Urodzony w Małopolsce, od prawie 50 lat mieszkał w Palestynie. Zmarł w wieku 81 lat.

18-2-70

W sali Toronto Workshop Production odbyła się prapremiera nowego utworu muzycznego Władysława Buczyńskiego, znanego kompozytora kanadyjskiego pochodzenia polskiego. ■ Kongres Polonii Kanadyjskiej organizuje uroczyste obchody 30-lecia mordu katyńskiego.

20-2-70

W Białym Domu w Waszyngtonie odbyło się zebranie stu działaczy amerykańskich, których prez. Nixon zaprosił do współpracy w nowoutworzonym Komitecie społecznym dla grup etnicznych, żyjących w USA. Celem tej inicjatywy jest zorganizowanie poparcia społecznego dla procesów integracyjnych. Z grupy polskiej został zaproszony mec. Mazewski. ■ W sprawie znanych demonstracji przeciwko prez. Pompidou w Chicago opinie polonii chicagowskiej były podzielone. Demonstracje popierał *Dziennik Związkowy* zaś kongresman Pucinski był jednym z przywódców manifestantów przed hotelem Palmer. — Oryginalne poglądy na obowiązującą kurtuazję wobec głów państw obcych. Nie przypominamy sobie podobnego zapału przy wizytach w USA *leader'ów* Związku Sowieckiego i Polski Ludowej.

21-2-70

Do lokalu Sokoła w New Britain, Conn. (USA), z okazji przyjęcia zorganizowanego dla zespołu „Kierdziołka”, zaproszono konsula PRL. Jednocześnie otwarto wystawę ilustrującą dorobek Polski Ludowej. Kryzys w sokolstwie jest więc nie tylko we Francji.

24-2-70

Z okazji 50-letniej rocznicy powrotu Polski nad morze w Bibliotece Polskiej w Paryżu wygłoszony został odczyt płk. M. Jurkiewicza. ■ W Drian Gallery w Londynie została otwarta wystawa Halimy Nałęcz pt. „The four seasons”.

25-2-70

Zmarł w Londynie Feliks Napoleon Sadek, pisarz i dziennikarz, kpt. wojsk polskich, karpaczyk. Zył 64 lata. ■ Zmarł w Londynie gen. Karol Masny.

27-2-70

Zmarł w Londynie ks. Jan Brandys, dziekan polskiego dekanatu Londyn.

28-2-70

W Londynie rozpoczął się XXIV Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii.

6-3-70

W Paryżu odbył się odczyt p. B. T. Lesieckiego, dyr. Polskiej YMCA na zachodzie pt. „Aktualne problemy młodzieży polskiej na tle ogólnych ruchów młodzieżowych”, zorganizowany staraniem Stow. Studentów i Absolwentów we Francji, Polskiego Zw. Deportowanych oraz Stow. Inżynierów i Techników Polskich we Francji. ■ Nowy Zarząd Zw. Pisarzy: Na pierwszym posiedzeniu nowego zarządu Zw. Pisarzy na Uchodźstwie rozdzielono funkcje. Prezes: Teodozja Lisiewicz — po raz trzeci, wiceprezesi Władysław Günther i Zygmunt Szyszko-Bohusz; skarbnik Piotr Borkowski; sekretariat — vacat, funkcje sekretariatu rozłożono na członków zarządu. Członkowie: W. Budzyński, K. Iranek-Osmecki, W. A. Lasocki, S. Legeżyński, K. Ostrowski, K. Rowiński i I. Wieniewski. K. Iranek-Osmecki i Z. Szyszko-Bohusz są delegatami Związku do trustu „Domu Pisarza”.

7-3-70

W Zurychu odbył się wieczór poświęcony Markowi Hłasko, zorganizowany przez Kiermasz Książki Polskiej. ■ Nagroda im. Anny Godlewskiej, ufundowana przez jej syna J. Godlewskiego, została w br. przyznana Polskiej Misji Katolickiej w Szwajcarii.

10-3-70

W Centre d'Etudes Slaves odbył się odczyt Zygmunta Markiewicza, profesora na uniwersytecie w Nancy, pt. „Deux pionniers des études slaves en Pologne”.

11-3-70

Picasso ofiarował 900 swoich obrazów muzeum swego imienia w Barcelonie. ■ W Niemczech Zachodnich 117 Starfighter uległ wypadkowi. Zginął w nim por. Joachim von Hassel, jedyny syn Kai Uwe Hassel'a przewodniczącego parlamentu w Bonn, b. ministra Obrony, który w czasie piastowania tego stanowiska wprowadził ten samolot do lotnictwa niemieckiego. Jest to 55-y wypadek śmiertelny. ■ W Wiedniu odbył się proces dwóch młodych Polaków, którzy w listopadzie ubiegłego roku porwali samolot LOTu i zmusili pilota do lądowania w Wiedniu. Na procesie obaj podsądni podkreślali, że do tego rodzaju ucieczki na Zachód skłonili ich wyłącznie względy natury politycznej. Obaj otrzymali surowe wyroki — dwa lata i trzy miesiące ciężkiego więzienia i dwa lata więzienia zwykłego. Nazwiska skazanych: Wiesław Szymankiewicz, lat 20 i osiemnastoletni Romuald Zolutocho. Prasa austriacka zapewnia, że nie będą wydani. ■ *Poezje Czesława Miłosza* — oto tytuł audycji radiowej, zorganizowanej w Cleveland przez amerykańską radiostację.

Listy do Redakcji

Kanada, 10 lutego 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

W nadesłanych nowościach wydawniczych *Kultury* (Nr 12/267) ukazała się książka pt. „W 50-lecie Powstania Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie”. Ponieważ w przedmowie gen. Klemens Rudnicki sugeruje umieszczenie książki na półkach bibliotek wojskowych i naukowych kraju i zagranicę pragnę przestrzec przyszłego historyka przed niespodziankami na jakie w książce natknąć się może.

Bezsprzecznie dwie pierwsze części książki stanowią bardzo cenny przyczynek historyczny. Zebrał również autor bardzo wiele cennego materiału w części trzeciej i czwartej. Gorzej wypadły personalia. Poszczególne roczniki, z wyjątkiem kilku, zostały odtworzone z pamięci przez osoby rozrzucone w diasporze: — powstały niedopowiedzenia, błędy i retusze.

Należę do IX promocji. I chociaż zdaję sobie sprawę, że będę w kontrakcji z kolegami odtwórcami personaliów naszego rocznika, czuję się w obowiązku, jako ten, którego imię umieszczono pośród odtwórców, znane mi fakty sprostować.

Nasza IX promocja była pechowa. Za dobrych czasów pułkownika Faury ilość powołanych do Szkoły normalnie równała się ilości otrzymujących dyplomy. Naturalnie były i wyjątki. Utańczyło się nawet powiedzenie — rzekomo wypowiedziane przez gen. Serda-Teodorskiego: „Kto do Szkoły się dostał, a nie ukradł srebrnej łyżeczki to Szkołę powinien skończyć”.

Na naszym, pierwszym czysto polskim, roczniku czar srebrnej łyżeczki przysł. Po pierwszym roku czterech kolegów odesłano do oddziałów (w książce podano trzech), a po drugim roku — o ile mnie pamięć nie myli — aż ośmiu dyplomów nie otrzymało (książka nie o tym nie wspomina). Byli to jednak oficerowie wyselekcjonowani z opiniami co najmniej bardzo dobrymi nikogo więc nie skrzywdzono, a tylko przytrzymano. Z pierwszej czwórki trzech powołano ponownie do Szkoły w 1930 r. (XI promocja), a czwartego w roku 1932 (XIII promocja). W podobny sposób postąpiła Szkoła i z „ósemką” drugiego rocznika przyznając dyplomy stopniowo po odbyciu, z wynikiem pomyślnym, dodatkowych podróży operacyjnych w latach następnych.

A teraz trochę szczegółów. Zacznę od sprawy bardzo przykryj. Agent i prowokator czy też tylko polski Dreyfus?

W czasie okupacji absolwent naszej IX promocji major dypl. Kurpisz Jerzy miał podobno jakieś powiązania z Niemcami. Wyrokiem sądu A.K. został zlikwidowany. Nie znam szczegółów. Dręczy mnie wątpliwość czy wyrok był nie za surowy? Czy były dowody, czy tylko poszlaki? — W 1966 r. byłem w Polsce na Powązkach. Na jednym z grobów wyczytałem: „Rozstrzelany, po śmierci zrehabilitowany”. Może i nekrolog majora Kurpisza będzie kiedyś brzmiał podobnie, ale dziś, po 25 latach, gdy procesu rehabilitacyjnego jeszcze nie było, w imię prawdy, przy nazwisku należało umieścić: „zlikwidowany wyrokiem sądu A.K. w 1944 r.”, a nie jak w książce: „nie żyje”.

Przy nazwisku majora lekarza Wachnowskiego Włodzimierza podano: „Zm. przed 1939 r.” — Major Wachnowski przed 1939 r. został tylko

spensjonowany. We wrześniu zgłosił się na ochotnika i brał czynny udział w obronie Warszawy jako lekarz.

W spisach imiennych roczników przy nazwiskach słuchaczy figurują dwa stopnie: posiadany w chwili wstąpienia do Szkoły i obecny (1969 r.).

Z fotografii łatwo można odczytać, że do Szkoły zostali przyjęci:

- kpt. artyl. Andrzejowski Zygmunt, a nie mjr.
- por. piech. Brzozowski Michał, a nie kpt.
- por. piech. Domoń Ludwik, a nie mjr.
- por. piech. Morbitzer Adam, a nie kpt.
- kpt. piech. Sabatowski Kazimierz, a nie mjr.
- kpt. piech. Sobociński Wincenty, a nie mjr.

Również i drugi stopień, obecnie posiadany, wzbudza wątpliwość. W kilku wypadkach stopnie na listach wpłał na fundusz wydawniczy (listy nr. 1, 3, 6) nie pokrywają się ze stopniami podanymi w spisie imiennym rocznika. Nadano także, jednej i tej samej osobie, aż dwa stopnie: w części drugiej — obecnie posiadany, a w części trzeciej — skurtyzowany.

Wkradły się i chochliki. Wymienię dwa:

— na stronie 369 figuruje: „por. artyl. Cypryk Stanisław — mjr. zginął w Katyniu”, a na stronie 380: „por. artyl. Cypryk Stanisław — kpt., zginął w Rosji”.

— na stronie 236 podano: „rtm. kawal. Strugała L. — mjr. zmarł w 1934 r.”, a na stronie 370: „mjr. piech. Strugała Ludwik — ppłk., zmarł w 1934 r.”.

I jeszcze jedna Ciekawostka: poprawka do poprawki. W spisie rocznika na stronie 369 pojawił się błąd drukarski, zamiast: „Grodzki” umieszczono „Grodzicki”. Błąd został poprawiony w „Błędy zauważone” ale, przy okazji, zmieniono i dopisek przy nazwisku, zamiast: „gen. bryg. PRL, zm. w Polsce” umieszczono: „płk P.R.L. zm. w 1946 r. w Polsce”.

Przed laty widziałem nekrolog generała Grodzkiego, obecnie — przed paru dniami — otrzymałem potwierdzenie z Polski: „zmarł w 1948 r. jako generał”.

Książka bardzo wartościowa. Szkoda, że narzucono autorowi galop kawaleryjski. Szkoda, że zamiast zgadywać nie zweryfikowano stopni, obecnie posiadanych, u źródeł ewidencję oficerów przechowywujących. Szkoda, że nie stało czasu na usunięcie błędów popełnionych przez odtwórców i to nie tylko naszej IX promocji ale i innych. Przykład: Na stronie 317 w I promocji (1919-1921) pod L. p. 10 figuruje: „kpt. piech. Ćwiertniak Józef — płk, zmarł przed 1939 r.”. A jak było w rzeczywistości? — Pułkownik dypl. Ćwiertniak Józef jako Dowódca 13 Dywizji Piechoty w drugiej połowie sierpnia 1939 r., przez pewien czas, przebywał w Korpucie Interwencyjnym na Pomorzu, a więc żył.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

Józef KLEPACZKO (płk dypl.)

Londyn, 10 marca 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

Do uwag Herlinga-Grudzińskiego o Wł. Bieńkowskim (*Kultura* nr 270) chciałbym dorzucić co wiem o nim z okresu naszej zażyłości przedwojennej i z tego co mi teraz mówią dawni towarzysze — oraz co o nim i o jego ostatniej książce „Motory i hamulce socjalizmu” myślę.

Bieńkowski był moim starszym kolegą uniwersyteckim na polonistyce w Uniwersytecie Warszawskim. Formalnie do studenckiej konspiracji komu-

nistycznej wciągnąłem go (duża ironia losu, nie?) ja — w r. 1933. Bieńkowski miał sławę świetnego mówcy i dużego intelektualisty, ale że jego wystąpienia miały często charakter błazeński, nie był poważnie traktowany. Znany był — mimo fizycznej brzydoty (mały-ospowaty, przygarbiony) — z licznych amorów. Miał nawet o to sąd partyjny (za „niemoralny, drobno-mieszczkański tryb życia”). Byłem w komplecie sądzącym, razem z Lucjanem Szenwaldem, Mieczysławem Bibrowskim, Wandą Markowską i łącznikiem z KC KPP o nieznanym mi nazwisku, a pseudonimie Czarny Józiek. Wydał mi wyrok skazujący — ostra nagana; Bieńkowski złożył samokrytykę i przyrzeczenie więcej niegrzeszenia. I rzeczywiście — odtąd amory jego miały charakter bardzo zakonspirowany.

Piszą mi dawni towarzysze i nasi wspólni znajomi z kraju, że Bieńkowski wbrew pozorom nie poszedł całkowicie w „odstawkę”, ale że towarzysze — jak drużyna piłkarska zapasowego gracza — posadzili go na ławeczce — *na wsiakiej pożarnej słuczaj*. Niektórzy przypuszczają, że w razie draki w rodzaju jakiegoś nowego „polskiego października”, Bieńkowski może nawet zagrać na środku ataku czyli zająć miejsce Gomułki. I że jakoby po to robi mu się tę całą sławę „rebelaanta”. Osobiście trudno mi w to uwierzyć: temperamentem, talentem i zdolnościami nadaje się wyłącznie na publicystę, pisarza.

Jego ostatnią książkę uważam jednak za ofertę polityczną pod adresem... Moskwy. Bieńkowski przecież stoi na gruncie monopartii i supremacji sowieckiej. Uważa tylko że obecny aparat monopartii polskiej jest zły, nie nadaje się na wypadek ew. wstrząsów. On, Bieńkowski, doprowadziłby partię do właściwego stanu, gdyby mu Moskwa pozwoliła ją wyremontować. Bo przecież taki chyba a nie inny jest sens zakończenia książki:

„Dyktatura proletariatu stwarzając wiele preferencji jest zarazem niezwykle trudną formą władzy. W ustrojach burżuazyjno-demokratycznych główne regulatory społecznego życia działają poza mechanizmem władzy. W dyktaturze proletariatu regulatory te muszą działać wewnątrz samego mechanizmu, w nim musi istnieć homeostat, utrzymujący równowagę... zapobiegający zjawiskom żywiołowym i niekontrolowanym („październikom” — przyp. J.K.). Zagadnienie to — jak wykazuje doświadczenie — dotychczas nie rozwiązane, nawet w skali laboratoryjnej”.

On je rozwiąże, niech tylko Moskwa dopuści go do władzy. Bo Bieńkowski sam o tym nie wie, że ma talent literacki i wciąż myśli że nadaje się do polityki, co jest dużym nieporozumieniem.

Janusz KOWALEWSKI

Kalifornia, luty 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

Może to spóźniona reakcja i krytyka, ale dopiero niedawno miałem sposobność przeczytania „The Painted Bird” Jerzego Kosińskiego, oraz recenzji prasy amerykańskiej w Stanach Zjednoczonych o książce i autorze.

Między innymi superlatywami jest w tych recenzjach, że J. Kosiński jest najlepszym pisarzem polskim po Józefie Conradzie piszącym po angielsku, że „The Painted Bird” jest najlepszym dokumentem naszych czasów, na równi z pamiętnikami Anny Frank.

Polskie imię i nazwisko autora, uwagi prasy amerykańskiej, oraz podanie przez autora we wstępie, że rzecz się dzieje we Wschodniej Europie, nie nasuwa żadnej wątpliwości, że Kosiński pisze o polskiej wsi. Znający Polskę orientuje się że to opis Polesia.

Strona za stroną, rozdział za rozdziałem przedstawia ta „dokumentalna” książka szaloną ciemnotę, zabobony i okrucieństwo ludności polskiej (czy też poleskiej) wsi, z upiększeniem szczegółowymi opisami gwałtów, kazirodztwa i sodomii.

Są tam wprawdzie i okrucieństwa hitlerowskie, ale raczej na marginesie. Pierwsze dodatnie postacie można dopiero znaleźć wśród rosyjskich żołnierzy.

Jeśli to ma być *dokumentary* pisane przez Polaka, to to jest najbardziej szkalująca książka, jaką dotychczas czytałem. Podobno są jeszcze gorsze.

Z poważaniem,

Jerzy MACIEJOWSKI

Chicago, marzec 1970.

Szanowny Pane Redaktorze,

W artykule p. Al. Hertzta „O buncie młodych” autor nie wspomina o jednej z głównych przyczyn buntu pewnej części studentów w Stanach Zjednoczonych. Jest nią zastraszająco niski poziom nauczania w szkole średniej, tak zwanej tu *High School*. Te szkoły wydają dyplomy maturalne zastępcom zupełnych ignorantów, którzy często nie potrafią poprawnie czytać i pisać (*why Johnny can not read?*). Jeżeli trafiają ze swoimi bezwartościowymi dyplomami do wyższej szkoły, to jest im dużo łatwiej maszerować z plakaczkami lub wybijając szczyby w okolicznych gmachach, niż studiować nauki, do których nie są wcale przygotowani. Zatrzuca młodzież tutejszą straszna plaga narkotyków, których głównym szerzycielem i propagatorem jest profesor Harvardu — Timothy Leary. Wpadają w obłąd i umierają w Nowym Jorku od zażywania narkotyków nie tylko studenci, ale nawet dzieci ze szkoły powszechnej od 12 lat życia począwszy. Najbardziej wyuzdane zbrodnie *hippisów* jak np. makabryczny mord żony Romana Polańskiego i wielu innych ofiar odbywały się też nie bez wpływu narkotyków. Pisze p. Hertz: „Ta młodzież jest myśląca. Aby stworzyć komputera, trzeba było myśleć”. Z tego wynikać by mogło, że to właśnie uczestnicy buntu studentów stworzyli komputer, na wynalazek którego złożyły się wysiłki uczonych i techników od 18 wieku (Jacquard i jego *punch cards*) do naszych czasów. Powszechnie przecież wiadomo, że to właśnie buntująca się ciemna masa młodocianych opryszków (studentów!) zniszczyła komputer wartości miliona dolarów na uniwersytecie w Montrealu. Krzywdzi p. Hertz studentów polskich i rosyjskich porównyując ich do buntowników w Stanach Zjednoczonych. Jest nie do pomyślenia, żeby studenci rosyjscy za czasów Mikołaja II-go czy też Lenina i Stalina włamali się przemocą do budynków uczelni wyższej i zaczęli demolować biblioteki i laboratoria, kraść co tylko się da i paskudzić swoim kałem sale uniwersyteckie, jak to było dosłownie w Columbia University w 1968 roku.

Z poważaniem,

Jerzy STOSIUS

Polska Partia Socjalistyczna
Centralny Komitet P.P.S.
9 Balmuir Gardens,

London, dnia 9 marca 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

Zawiadamiamy, że na posiedzeniu w dniu 7 bm. powzięliśmy następującą uchwałę:

Centralny Komitet PPS zakłada uroczysty protest przeciw haniebnemu wyrokowi, którym młodzi intelektualni polscy skazani zostali przez Sąd Wojewódzki w Warszawie na kary więzienia za walkę o wolność słowa — i zaszyła skazanym słowa serdecznych pozdrowień w imieniu robotników polskich na obczyźnie.

Łączymy wyrazy poważania,

Janusz ZAWADZKI Adam CIOŁKOSZ
sekretarz przewodniczący

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz siódmy	F.110,00
Czytelnik z Polski, po raz jedenasty	F. 13,50
G. J. Dobrzański, Toronto, Ont., po raz siódmy (Kanada)	F. 36,00
A. G., Goleta, Cal. (USA), po raz drugi	F. 35,00
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz czwarty	F.100,00
Maria i Władysław Łuszczakowie, Feliks Jabłoński i Jan Strycharz, Thunder Bay, Ont. (Kanada), po raz drugi	F.113,00
Jerzy Nakaszycze, Washington	F.165,00
Leon Naleway, Winnipeg, Man. (Kanada)	F. 36,00
M. S. Ochalski, Chicago, Ill. (USA), po raz drugi	F. 22,00
E. Polakowska, Wilmette, Ill. (USA)	F.110,00
„Polonia Technica Inc.”, New York, po raz trzeci	F. 82,50
Czesław Seyfert, San Francisco, Cal. (USA), po raz drugi	F. 16,50
Stow. Polskich Kupców i Profesjonalistów w Toronto, Ont. (Kanada)	F. 76,50
Władysław Sudyło, Irvington, N.J. (USA)	F. 38,50
Janina Surynt-Waroczewska, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 7-ny	F. 88,00
Bezimiennie, Westfield, Mass. (USA)	F. 11,00
W styczniowej <i>Kulturze</i> przy wpłacie F. Hasinskiego podano omyłkowo „sp. Janina Domaniewicz”, winno by, <i>Damasiewicz</i> .	

DZIĘKUJEMY!

Londoni korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Waclaw IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 2^e Trimestre 1970.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076. Buenos Aires, Suc. 25.	6,00 F	35,00 F	66,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odianicki-Poczobut, Wien 1, Schönlaternergasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	145 szyl. a.	280 szyl. a.	
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Czaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	350,00 F. b.	600,00 F. b.
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guirara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	6,00 F	32,00 F	60,00 F
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingeniaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel.: 482-4673; B. Krasuski, 857 King St W., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel.: 586-3825; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel.: 233-7212; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikieluk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ..	6,50 F	35,00 F	66,00 F
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 12.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N ^e Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Chermoye Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, tel. MU 8-0346; Polish Amer. Book Co, 1521 W. Haddon Ave., Chicago 111. 60622; E. Poyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave, Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 04053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel.: 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol	12 00 dol
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.		£ 2.07.00	£ 4.10.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél.: 75-67-241	750 L	3.800 L.	7.500 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 3 F półrocznie i 6 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,50 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Masnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 182 — FRANCISZEK KALINOWSKI

LOTNICTWO POLSKIE W W. BRYTANII (1940-1945)

Obszerny zarys historii Lotnictwa Polskiego z lat 1940-1945, opracowany na podstawie źródłowych materiałów polskich i angielskich. „Battle of Britain” — Pomoc lotnicza dla Kraju, ze szczególnym uwzględnieniem Powstania Warszawskiego. Zestawienia statystyczne wysiłku bojowego każdego rodzaju lotnictwa, zwycięstw dywizjonów i indywidualnych, straty w poszczególnych rodzajach lotnictwa. Indeks zawierający ponad 1.000 nazwisk. Przypisy.

Str. 372

Cena egz. F. 36 (dol. 7,50; 60 sh.)

♦
TOM 183 — SERIA „DOKUMENTY”

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

MOTORY I HAMULCE SOCJALIZMU

Analiza „błędów i wypaczeń” systemu rządów Polski Ludowej, przeprowadzona przez jedną z czołowych postaci polskiego komunizmu.

Str. 128

Cena egz. F. 12 (dol. 2,50; 20 sh.)

♦
TOM 184 — SERIA „DOKUMENTY”

ZNASZ-LI TEN KRAJ ?

Rzeczywistość polska w oczach prasy krajowej
(Antologia)

Str. 384

Cena egz. F. 24 (dol. 5; 40 sh.)

♦
TOM 185 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SIEDEMNASTY

Zawiera m.in. Memoriał Michała Romera z 1915 r.: Polska a Litwa; St. Kirkora: „Korespondencje” J. I. Kraszewskiego; W. Jędrzejewicza: Sprawa Wilna w lipcu 1920; L. Mitkiewicza: Placówka „Star” oraz Relacje, Recenzje i Polemiki.

Str. 240

Cena F. 18,50 (dol. 4; 30 sh.)

Cena 6,00 F